WYDANIE SPECJALNE NA MAJÓWKĘ – 108 STRON

Korwin-Mikke w ostrym wywiadzie: Broniarz powinien siedzieć!

Cenckiewicz tropi, dlaczego IPN „uśmiercił" gen. Janiszewskiego z WRON

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT) NR 17–18/320 23 KWIETNIA–5 MAJA 2019

ŁYSIAK SKŁADA HOŁD LEONARDOWI DA VINCI – W 500. ROCZNICĘ JEGO ŚMIERCI

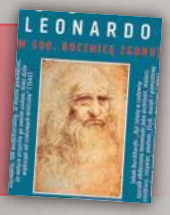

Ambasador Magierowski, czyli głos Polski w Izraelu

ZIEMKIEWICZ STAWIA DIAGNOZĘ:

Choroba wściekłych profesorów

U GÓRY: PROF. PAWEŁ ŚPIEWAK, PROF. MONIKA PŁATEK, PROF. LESZEK BALCEROWICZ, PROF. ANDRZEJ RZEPLIŃSKI
U DOŁU: PROF. WOJCIECH SADURSKI, PROF. MAGDALENA ŚRODA, PROF. MARCIN MATCZAK, PROF. JAN HARTMAN

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829 Nakład: 78 tys. egzemplarzy

sprasa.pl 4e0c707824

WYWIEŚ FLAGĘ

Bądź dumny, że jesteś Polakiem

niepodległa | POLSKA STULECIE ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI

ORLEN

eprasa.pl 4e0c707824

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pochód nowej bolszewii

Profesor Ryszard Legutko miał wygłosić wykład o totalitaryzmie w Middlebury College w stanie Vermont w USA. Część wykładowców i liczna grupa studentów zaczęła jednak protestować i wzywać uczelnię, by do wykładu profesora nie dopuścić. Tak się też stało, szkoła naciskom uległa.

„Na szczęście – mówi prof. Legutko w zamieszczonym na FB nagraniu – znaleźli się studenci i profesorowie, którzy – jak za dawnych czasów – przeprowadzili mnie tylnym wejściem do gmachu uniwersyteckiego. Odbyło się spotkanie w gronie seminaryjnym z tymi, którzy chcieli słuchać i rozmawiać, choć nieco potajemnie. Cała sprawa jest jednak mocno nieprzyjemna i mówi wiele o dzisiejszych czasach".

Od dawna piszę, co spotyka się czasem ze zrozumieniem, a czasem z niedowierzaniem i ironią, że dzisiejszy Zachód ma coraz mniej wspólnego z tym, który poznaliśmy w drugiej połowie XX w. To nie strefa wolności słowa i otwartej debaty, ale w coraz większym stopniu obszar posuwającego się krok po kroku zamordyzmu.

Nowa bolszewia opanowała najpierw uniwersytety i szkoły wyższe, zaczynając od wydziałów humanistycznych. Sprawa prof. Legutki, tak jak wcześniej protesty przeciw wykładom znanego brytyjskiego filozofa Richarda Swinburne'a czy próba zamknięcia ust Rogerowi Scrutonowi, jest kolejnym smutnym dowodem na to, jak rozumieją wolność wymiany opinii coraz liczniejsi studenci i nauczyciele akademiccy. Mamy tu do czynienia z prawdziwą zdradą klerków, z faktycznym zerwaniem i odrzuceniem najważniejszej zasady, jaka do tej pory kierowała życiem umysłowym: z próbą ograniczenia swobody opinii i podporządkowania wolności słowa różnym modnym dziś ideologiom. Jednym słowem na uniwersytetach zachodnich rządzi coraz potężniej nowa komuna. Nic dziwnego zatem, że – jak pokazały niedawno omawiane przez tygodnik „Do Rzeczy" badania – rośnie liczba Amerykanów i Brytyjczyków, którzy boją się ujawniać swoje poglądy.

Europoseł PiS prof. Ryszard Legutko, który jest także autorem książek na temat współczesnej demokracji, tłumaczem dialogów Platona, wreszcie nauczycielem uniwersyteckim, pojechał do USA z wykładem zatytułowanym „Demony w demokracji: Totalitarne pokusy w wolnym społeczeństwie". Kto lepiej mógłby o tym powiedzieć niż przenikliwy znawca i komentator myśli najgłębszego krytyka demokracji, którym był zapewne autor „Państwa", „Praw" czy „Obrony Sokratesa"? Wszystkie zalety w oczach amerykańskich bolszewików niewiele jednak znaczą. Uznali, że prof. Legutko reprezentuje „homofobiczny, ksenofobiczny, rasistowski i mizoginiczny dyskurs" i dlatego słuchać go nie należy. Pomijam to, że wszystkie te określenia w odniesieniu do polskiego profesora to brednie. O jakim rasizmie tu mowa? O jakiej mizoginii? Wszystkie te słowa są częścią współczesnego języka radykałów. Niczym, powtarzam, niczym, nie różnią się oni od wcześniejszych bolszewickich studentów czy aktywistów rewolucji kulturalnej w Chinach. Są tak samo tępi, ograniczeni, tak samo pozbawiono ich zdolności samodzielnego myślenia. Nie umieją mówić i argumentować, wolą krzyczeć i protestować. Do działania pobudzają ich emocje, dzięki czemu występują razem, w stadzie, w masie. Te wszystkie oskarżenia – ksenofobia, rasizm, homofobia – to hasła, które mają wywołać odruch Pawłowa i pobudzić do oburzania się. Na wielu uniwersytetach już się nie myśli, nie rozważa, nie argumentuje, ale właśnie „się oburza". Lewicowo-feministyczne hordy mają coraz większy wpływ na stan umysłów Amerykanów i zachodnich Europejczyków. Nie jest to niestety przypadłość uniwersytetów, choć to one były wylęgarnią. Ten sam sposób rozumienia debaty – oponenta należy zakrzyczeć, zamknąć mu usta, zdelegitymizować, wykluczyć, pozbawić wpływu, opatrzyć łatką, napiętnować – jest coraz częściej obecny u polityków i publicystów. Lewica skutecznie podbija opinię publiczną Zachodu.

Na tym tle Polska jest prawdziwą oazą wolności. Wprawdzie i na polskich uniwersytetach próbuje się zamykać usta inaczej myślącym, wprawdzie i polskie liberalne media chcą wymusić wprowadzenie ustaw o walce z „mową nienawiści" – żałosny trik, za którym skrywa się próba zniszczenia wolności – ale większość Polaków, dzięki pamięci pokoleniowej i doświadczeniu sowieckiego totalitaryzmu wciąż na te zabiegi pozostaje immunizowana. Oby jak najdłużej. Tak, to Polska jest obecnie w miejscu, gdzie dawniej był Zachód, a Zachód coraz częściej tam, gdzie kiedyś był Wschód. ©℗

NASTĘPNY NUMER „DO RZECZY" UKAŻE SIĘ W PONIEDZIAŁEK 6 MAJA

eprasa.pl 4e0c707824

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
CHOROBA WŚCIEKŁYCH PROFESORÓW
Nienaukowa nienawiść

18 ROZMOWA Z PROF. KRYSTYNĄ PAWŁOWICZ
LEWACKIE BREDNIE TO NIE NAUKA

KRAJ

22 PIOTR SEMKA
PIĘĆ UŚMIECHÓW LOSU DLA PIS
Nastroje przed majowym sprawdzianem

24 ŁUKASZ WARZECHA
NIEBEZPIECZNY SOJUSZ

26 KAMILA BARANOWSKA
STRAJKOWE SZLAGIERY

28 MARCIN MAKOWSKI
MAGIEROWSKI – AMBASADOR Z REFLEKSEM

31 ROZMOWA Z DR. JAROSŁAWEM SZARKIEM
BADANIE „POLSKICH ZBRODNI" SIĘ OPŁACA

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
TYLKO DLA KOBIET

36 ROZMOWA Z PSYCHOLOG KAMILĄ GRYN
NA RATUNEK POLSKIM DZIECIOM

40 WOJCIECH WYBRANOWSKI raport DO RZECZY
FALA URZĘDOWYCH UPROWADZEŃ

KULTURA

42 WALDEMAR ŁYSIAK
LOGO GENIUSZU: LEONARDO
W 500. rocznicę zgonu Leonarda da Vinci

50 ROZMOWA Z PISARKĄ AŁBENĄ GRABOWSKĄ
STULECIE W BRWINOWIE

53 MONIKA MAŁKOWSKA
SZTUKA ODCHODZI W NIEBYT

56 PIOTR GOCIEK
ZAWSZE JEST JAKAŚ GWIAZDA

NIE PRZEGAP

59 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

64 ROZMOWA Z JANUSZEM KORWIN-MIKKEM
BRONIARZ POWINIEN SIEDZIEĆ!
PiS to sanacja

HISTORIA

68 PIOTR SEMKA
JAK SZCZECHOSŁOWAKIZOWANO KOSZYCE?
Od obelisku republiki do pomnika św. Wacława

71 ŁUKASZ CZARNECKI
POLSKI MARCO POLO

ŚWIAT

76 GRZEGORZ KUCHARCZYK
DLA NASZEJ PANI
Katedra Notre Dame, czyli dzieje cywilizacji

80 OLIVIER BAULT
Z CENTRUM W LEWO

82 TERESA STYLIŃSKA
IZBA GMIN POD RZĄDAMI JOHNA BERCOWA

EKONOMIA

86 ROZMOWA Z EKONOMISTĄ PROF. RYSZARDEM BUGAJEM
WYŚCIG DWÓCH POPULIZMÓW
Taka koniunktura w gospodarce nigdy nie jest na stałe

90 JACEK PRZYBYLSKI
REKORDY NA POLSKIM NIEBIE

SPORT

96 ŁUKASZ ZBORALSKI
DZIEWCZYNA Z RASZYNA
17-latka najlepszą tenisistką Polski

O ZDROWIU

98 KATARZYNA PINKOSZ
PSYCHIATRIA 2019

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZALEWSKI, WOLSKI (66), ZYCHOWICZ, KOPER (74), WARZECHA (84), GABRYEL, RYBIŃSKI (89), KOMUDA (100), CENCKIEWICZ (104), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (105), KATARYNA (106), ŁYSIAK (107)

eprasa.pl 4e0c707824

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Marek Budzisz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **YOUTUBE, Montaż JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 78 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy

Dziękujemy za wszystkie życzenia wielkanocne. I zachęcamy, abyście pisali do nas nie tylko od święta. E-maile prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Życzenia i przeprosiny

Całej Redakcji „Do Rzeczy" życzę zdrowych, radosnych, pełnych miłości i ciepła rodzinnego Świąt Wielkanocnych. Korzystając z okazji, chciałabym za coś przeprosić. Może to będzie przysłowiowa musztarda po obiedzie, bo sprawa dotyczy napisanego przeze mnie listu ok. dwa lata temu. Skrytykowałam w tym liście toczoną na łamach „Do Rzeczy" polemikę pomiędzy publicystami będącymi zwolennikami endecji a zwolennikami sanacji. Przepraszam za to moje niepotrzebne wtrącenie się [...] Zabrzmi to może paradoksalnie, ale tak naprawdę to cenię Wasz tygodnik, m.in. właśnie za to, że można znaleźć w nim różne punkty widzenia, że jest w nim miejsce i dla Piotra Semki, i dla Łukasza Warzechy, i dla Waldemara Łysiaka, i dla Rafała Ziemkiewicza, i innych.

Z poważaniem
Bożena Piechocka

„Pociąg do Japonii", Piotr Gabryel, „DRz" 16/2019

Szanowny Panie Redaktorze, jak zwykle z zainteresowaniem przeglądam dzisiejszy numer „Do Rzeczy", a w nim pański felieton nt. japońskich kolei. Dla kogoś, kto nie korzystał z ich usług, troska o 20 sekund uchybienia w rozkładzie brzmi ekstrawagancko. Podczas moich pobytów w Japonii miałem okazję korzystać z różnych linii. W linii Hankyu (rejon Kansai) obserwowałem przez szybę kabiny pracę maszynisty. O ile pasażerowie znają rozkład jazdy minutowy, o tyle maszynista miał rozpisane czynności w odstępach 10-sekundowych: pasażerowie wsiedli – dajemy sygnał – zamykamy drzwi – ruszamy. Wcześniejszy odjazd może sugerować pominięcie czegoś lub niechlujstwo, co nie licuje z mundurem i białymi rękawiczkami. W moich podróżach po Japonii wiedziałem, że o określonej porze wysiadam na żądanej stacji bez znajomości języka. Na trasie Tokio – Osaka (ok. 600 km) shinkansen przyjeżdża co 10 minut i nie ma miejsca na spóźnienia.

Z poważaniem
Tadeusz Wasiutyński

List młodej nauczycielki do innych belfrów

Sytuacja, którą obserwuję w czasie strajku, smuci mnie bardzo. Nie chodzi mi tu o konflikt rząd – ZNP, ale o nasz wewnętrzny – „nauczyciele strajkujący" vs „nauczyciele niestrajkujący".

Obok rodziców jesteśmy tymi, którzy mają nauczyć dzieci poszanowania wolności drugiego – „szanuję cię, więc zostawiam ci przestrzeń do własnego zdania". Niestety – fala hejtu w pokoju nauczycielskim z dnia na dzień jest coraz większa. Przyznam, że obserwując nauczycieli, mam wrażenie, jakbym patrzyła na wyrostków z różnych subkultur – „jestem metalowcem, ty słuchasz hip-hopu, więc cię stłukę" – tyle że tym razem nie o glany chodzi, ale o politykę. Sytuacja ta smuci mnie po pierwsze dlatego, że mam w głowie silny nauczycielski etos, którego źródłem są nauczyciele o dużej klasie i kulturze osobistej z liceum, do którego chodziłam. Słuchając plotek, komentarzy, patrząc na spojrzenia wobec niestrajkujących, zastanawiam się, gdzie są te wzorce? Czy to ma być szacunek do odmienności w poglądach, którego uczymy młodych?

Po drugie – przykro mi, że wyłączacie, koleżanki i koledzy, MYŚLENIE KRYTYCZNE, a nierzadko nawet swoje sumienie. Mówicie w małym gronie, co wam leży na sercu, a nie potraficie powiedzieć na forum, że myślicie inaczej. [...]

Cieszę się, bo wyłania się coraz więcej osób, które nie dają się wmanipulować w mowę nienawiści i podziały między przyjaciółmi z pracy. Dziękuję panu A. za to, że potrafił publicznie sprzeciwić się fali hejtu wobec tych, którzy są „po drugiej stronie". Taki jeden głos sprawił, że ludzie zaczęli myśleć.

Czy ja strajkuję? Nieważne. Ja tylko apeluję o wzajemny szacunek i o to, żebyśmy byli autentyczni, kiedy mówimy uczniom, że „każdy ma prawo do swojej opinii".

Wierzę w nauczycieli.

Karolina

eprasa.pl 4e0c707824

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Kto „ulepszy” Notre Dame?

W licznych publikacjach we francuskich i światowych mediach na temat pożaru katedry Notre Dame w Paryżu nikt nie pyta, w imię czego nadal obowiązuje wprowadzona 113 lat temu zasada prawa własności wszystkich kościołów przez Republikę Francuską. To prawo wynikające z ustawy o rozdziale państwa od Kościoła było dziełem antykatolickiego socjalisty Aristide Brianda. Wprowadzone w życie 9 grudnia 1905 r. miało być elementem nacisku na księży katolickich. Każdy kapłan krytykujący wówczas np. usunięcie religii ze szkół czy tzw. inwentaryzację mienia kościelnego musiał liczyć się z odebraniem mu kościoła.

Teraz przy okazji pożaru w najbardziej znanej świątyni Paryża wychodzą na jaw konsekwencje takiej polityki władz. Katedra nie była ubezpieczona, bo państwo nie widziało potrzeby, aby wydawać dodatkowe pieniądze na swoją własność. Sumy przeznaczane na remont Notre Dame były dalece niewystarczające.

O tym, co w praktyce oznacza państwowa własność w stosunku do Notre Dame, przypomniało też spotkanie u prezydenta Emmanuela Macrona, które odbyło się 17 kwietnia. Polityk zapowiedział odbudowę świątyni jeszcze piękniejszej, niż była przed pożarem. Na spotkanie zaproszono premiera Édouarda Philippe'a, burmistrz Paryża Anne Hidalgo, dyrektor generalną UNESCO Audrey Azoulay, szefa Narodowego Centrum Pomników Sztuki Philippe'a Bélavala i dopiero na końcu arcybiskupa Paryża Michela Aupetita.

Premier Philippe ogłosił rozpisanie konkursu architektonicznego, który zadecyduje o kształcie odbudowy. Ci, dla których było oczywiste, że iglica katedry zostanie odbudowana według wzoru z XIX w. autorstwa architekta Eugène'a Viollet-le-Duca, usłyszeli, że nie jest to wcale takie pewne. Jak stwierdził premier Philippe: „Mam nadzieję, że powstanie nowa iglica dostosowana do technik i wyzwań naszych czasów”. Francuski architekt Alexandre Chassang już umieścił w sieci wizualizację nowej iglicy – szklanej wieży w modernistycznym stylu. Jego zwolennicy powołują się na zasadę „signum temporis”, w myśl której nie ma sensu dokładne odbudowywanie zabytku. „Każda epoka winna odcisnąć swe piętno na zabytku” – pada argument. W tym wypadku na katedrze swe piętno odciśnie laicka Republika.

Tym bardziej że – jak można podejrzewać ze składu zaproszonych gości – o wyborze projektu odbudowy katedry zadecyduje kolegium, którego jednym z wielu członków będzie arcybiskup Paryża.

Konserwatywni Francuzi przypominają, jak w 1989 r. na 200-lecie rewolucji „unowocześniono” dziedziniec Luwru, stawiając tam szklaną piramidę, której przypisywano wolnomyślicielską symbolikę. Czy to samo może się powtórzyć przy projektowaniu na nowo iglicy? Rząd uważa katedrę za swoją własność. I zrobi, co zechce.

A dla lewicy spór o iglicę może być bardzo wygodny. Oto waśń symboliczna – zwolennicy nowoczesnych rozwiązań kontra zacofani katole, którzy chcą odtwarzać tylko to, co minione. Plus księża postępowcy, którzy z zapałem poprą nowatorski projekt. Czyż to nie wspaniały pomysł na batalię ideową, która podzieli Francję w trakcie najbliższych sześciu lat odbudowy Notre Dame? ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIERWSZY LOT NAJWIĘKSZEGO SAMOLOTU ŚWIATA

Aż 117 m. Tyle wynosi rozpiętość skrzydeł samolotu Stratolaunch, który w połowie kwietnia wykonał swój dziewiczy lot. Maszyna napędzana sześcioma silnikami stosowanymi do napędu jumbo jetów Boeing 747 ma posłużyć do wynoszenia rakiet nośnych na wysokość kilkunastu kilometrów, skąd będą one odlatywać na orbitę. Firmę Stratolaunch Systems Corporation założył w 2011 r. współtwórca Microsoftu Paul Allen. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

Grecy żądają reparacji

Parlament Grecji przytłaczającą większością głosów zdecydował, że rząd w Atenach ma oficjalnie żądać od Niemiec reparacji za zniszczenia i zbrodnie wojenne z okresu II wojny światowej. Według greckiej komisji ekspertów w grę wchodzi co najmniej 300 mld euro, chociaż greccy parlamentarzyści nie wspominają oficjalnie o żadnej kwocie.

– Żądanie reparacji jest dla nas historycznym i moralnym obowiązkiem – mówił w parlamencie premier Aleksis Cipras pod koniec 12-godzinnej debaty przed głosowaniem w tej sprawie.

Niemieckie władze kwestię reparacji uważają za zamkniętą. Na mocy porozumienia z 1960 r. władze RFN wypłaciły Grecji tytułem zadośćuczynienia 115 mln zachodnioniemieckich marek.

– Kwestia niemieckich reparacji została ostatecznie rozstrzygnięta, zarówno prawnie, jak i politycznie – ogłosił rzecznik niemieckiego rządu Steffen Seibert. ***(jap)***

RYSUNEK TYGODNIA

Z KSIĘDZEM JANEM SIKORSKIM ROZMOWY O ŻYCIU

Jak wyglądało duszpasterstwo internowanych oraz kulisy tworzącego się dopiero duszpasterstwa więźniów – opowiada Emilii Jakubowskiej ksiądz Jan Sikorski. Z wywiadu rzeki można się również dowiedzieć więcej o prężnie działającej parafii, gdy przez 20 lat jej proboszczem był ksiądz infułat Jan Sikorski, cieszący się opinią „niezwykłego, dynamicznego i niekonwencjonalnego proboszcza, »trzymającego sztamę« ze świeckimi". Kapłan archidiecezji warszawskiej, doktor teologii, honorowy prałat Jego Świątobliwości i pierwszy naczelny kapelan Duszpasterstwa Więziennego RP opowiada też o swoim dzieciństwie i młodości.

Ksiądz infułat Jan Sikorski od początku wiernie towarzyszy też tygodnikowi „Do Rzeczy" w świątecznych spotkaniach w redakcji. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

Prestige MJM · MARCELIN MANAGEMENT · 100 · POZnań · Teatr Muzyczny w Poznaniu · TVP 3 Poznań · Głos Wielkopolski · Do Rzeczy · Gazeta Bankowa · Viva! · Uroda · pap · cgm.pl · WP · naszemiasto. · Multikino · empik · Press Service · Vixon · ams

eprasa.pl 4e0c707824

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Strajk świra

Tygodnik „Polityka", który strajk nauczycieli powitał spontanicznie umieszczeniem na okładce tyrady Adasia Miauczyńskiego z filmu „Dzień świra", raz jeszcze trafił – mówiąc niezapomnianą frazą z Barei – w tradycyjną dziesiątkę. Zwłaszcza jeśli pamiętać, że owa tyrada o frustracji „sióstr polonistek i braci polonistów" kończyła się – z jakiegoś powodu przez tygodnik pominiętym – okrzykiem: „O, czemuż nie jestem chamem ze sztachetą! Ktoś by się ze mną liczył!".

> **„O, czemuż nie jestem chamem ze sztachetą! Ktoś by się ze mną liczył!"**

To właśnie marzenie zrealizowali nauczyciele w ostatnich dniach. O, być jak Samoobrona za jej heroicznych, Lepperowskich czasów! Pokazać, że my też umiemy mieć wszystko w d..., poza kasą. P...nąć precz inteligenckie skrupuły, zablokować, sparaliżować, wziąć bachorów na zakładników i też kasę wydusić, jak rolnicy na swe krowy i świnie, i jak górnicy nap... jący mutrami. A co!

Niestety, Adaś, archetypiczny nieudacznik III RP, cokolwiek robi, wychodzi groteskowo. Bluzgi, u „chama ze sztachetą" groźne i brutalne, w jego ustach śmieszą, a pogróżek, że „też może dać w ryj, dać może" jakoś nikt się nie chce przestraszyć. Może dlatego, że Adaś przede wszystkim jest grafomanem żyjącym nadzieją, iż wyszedłby poza pierwszy wers, gdyby mu nie przeszkadzała znienawidzona praca.

I oto strajkowa bezczynność obudziła i tego demona. Ten aspekt strajku ZNP będzie, jak sądzę, najtrwalszym jego dziedzictwem. Okazało się, że szkoły pełne są artystów, którym się nie udało. Sieć nabrzmiała zupełnie niewiarygodną ilością grafomańskich przyśpiewek o krowach, świniach i minister Zalewskiej. „Już czas, już czas, karczować ciemnogrodu las", „dwa tysiące na mym koncie to jak strzał z pioruna w prącie", „nauczanie trudna rzecz, do Biedronki precz" czy wreszcie hymn na cześć wspierającego belfrów TVN – to hity, których już się nie da odzobaczyć ani zapomnieć.

Lamenty opozycji nad rzekomym „hejtem" czy „propagandą" państwowych mediów przeciwko strajkującym są doprawdy żałosne. Tutaj nikt nie musi hejtować – wystarczy kliknąć, a potem mocno, oburącz trzymać szczękę, by nie upadła na podłogę. O negatywnej selekcji do zawodu nauczycielskiego niby wiadomo od dawna, ale aż do obecnej erupcji tych koszmarków belfro polo nikt chyba nie podejrzewał, że jest aż tak źle. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Biedroń tango down

Błądzić jest rzeczą ludzką. Co gorsza, nawet prawicowym publicystom zdarza się mylić, a w wypadku Roberta Biedronia wielu z nich pomyliło się dość okrutnie, zwiastując, że jego partia skończy się jesienią. Wygląda na to, że Wiosna nie doczeka końca wiosny, bo tuż przed świętami Wielkiejnocy rozpoczęło się wygaszanie projektu Biedronia. Oto bowiem kilka mediów, w tym tabloidy, wyciągnęło kwity z przeszłości, pisząc, że ten liberalno-tęczowy polityk ma haniebną plamę na życiorysie. Otóż blisko 19 lat temu miał on – jak twierdzi „SE" – rzekomo znęcać się nad mamą. Teraz rodzina Biedronia zaprzecza temu, twierdząc, że to kłamstwa, ale medialna narracja już się rozeszła, a dla olbrzymiej części polskiego społeczeństwa brak szacunku do rodziców jest niewybaczalny.

A to tylko początek medialnych wrzutek topiących Biedronia. Ponoć w kolejce czekają materiały i ludzie z czasów, gdy Biedroń blisko współpracował z Szymonem Niemcem, także działaczem gejowskim. Ich rozstanie było spektakularne – pełne wzajemnych oskarżeń, m.in. o skok na kasę z UE.

Inna rzecz, że nie trzeba medialnych wrzutek sprzed lat, by na projekcie Biedronia postawić krzyżyk. W zasadzie ów polityk sam robi wszystko, by Wiosnę pochować. A to zbłaźni się prymitywnie głupimi tekstami pod adresem lidera obozu rządzącego, a to w niezwykle infantylny sposób obraża katolików, porównując pożar katedry Notre Dame z pożarem mostu Łazienkowskiego i kpiąc z Drogi Krzyżowej, a to okazuje się, że nie ma nic do powiedzenia na temat rozwoju polskiej kultury, modernizacji armii czy polityki zagranicznej.

Jedno natomiast tęczowemu kandydatowi z całą pewnością się udało – rozpoczął zwijanie własnego projektu jeszcze szybciej, niż udało się to Ryszardowi Petru. ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Krótka historia o zabijaniu

Pani Alessandra Giordano z Katanii była nauczycielką i mieszkającą samotnie bezdzietną rozwódką. Dokuczał jej czasem ból głowy, ucha i oka, bo cierpiała na tzw. zespół Eagle'a. Dwa lata temu, w wieku 45 lat, kobieta, choć otoczona czułą opieką siostry i brata, popadła w depresję. Przestała pracować. Nie kryła przed rodzeństwem myśli samobójczych i chęci skorzystania z zaspokajającej takie potrzeby kliniki Dignitas w Szwajcarii. Skończyło się na długiej psychoterapii.

Jednak 25 marca do brata Alessandry zadzwonił znajomy i powiedział, że właśnie widział ją na lotnisku. Odlatywała do Zurychu. Rodzeństwo skontaktowało się z kliniką Dignitas, aby błagać o wstrzymanie egzekucji, bo Alessandra cierpi na depresję i nie odpowiada w pełni za swoje decyzje. Odpowiedź była bardzo wymijająca. Nazajutrz, za poradą zawiadomionego o sprawie włoskiego MSZ, rodzeństwo poleciało do Zurychu i zwróciło się o pomoc do szwajcarskiej policji. Klinika Dignitas oświadczyła policjantom, że nie ma takiej pacjentki. Następnego dnia klinika powiadomiła szwajcarską policję, że Alessandra Giordano zmarła na własne życzenie po uśmiercającym zabiegu.

Jak się potem okazało, zgodę na wykonanie legalnej w Szwajcarii eutanazji wydał lekarz-konsultant kliniki po zdiagnozowaniu u Alessandry nieuleczalnego stanu zespołu Eagle'a. Włoscy lekarze byli innego zdania. Poza tym klinika zlekceważyła informację, że kobieta cierpiała na zdiagnozowaną we Włoszech głęboką depresję. Zabieg kosztował wpłacone przez pacjentkę w dwóch ratach 10 tys. euro. Okazało się również, że przed śmiercią Alessandra Giordano została członkiem zawiadującego kliniką stowarzyszenia „Dignitas" i przekazała mu swoje oszczędności oraz dom w Katanii. Wszystko odbyło się w zgodzie z panującym w Szwajcarii prawem. Sprawa wyszła na jaw dopiero teraz, bo rodzeństwo postanowiło wytoczyć klinice proces, którego – biorąc pod uwagę precedensy – nie jest w stanie wygrać. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Nie ma przypadków, są tylko znaki

Spłonęło sklepienie katedry Notre Dame, a przez polskiego Twittera przeszła burza komentarzy, których autorzy widzieli w tych wydarzeniach znaki czasu albo zbiegi okoliczności. Niektórzy, jak zwykle, zobaczyli jednak tylko czubek własnego nosa. „Czy mówimy o tej samej katedrze Notre Dame, w której figura przedstawiająca synagogę to ślepa kobieta spowita jadowitym wężem? Na razie ten budynek przypomina nam o chrześcijańskich mordach na Żydach, a nie jakichkolwiek wspólnych fundamentach..." – napisał np. Michał Bilewicz, komentując słowa prezydenta o odbudowie wspólnych, judeochrześcijańskich fundamentów Europy, poprzez odbudowę paryskiego kościoła.

„Podczas gdy po prawej stronie Twittera na wyścigi powstają komentarze o znakach, laicyzacji, końcu Francji, »byłej córce Kościoła« itd., to ci tzw. lewacy solidaryzują się z Paryżem i ubolewają nad wielką stratą perły architektury, kamiennego świadka historii" – stwierdziła Estera Flieger z „Gazety Wyborczej". Oddajmy zatem głos lewakom. „Nie gaście gówna, cud, że się pali" – napisał Jaś Kapela, ale na Facebooku, więc mogło umknąć.

A to już sama „Krytyka Polityczna", do której pisuje Kapela, tym razem na Twitterze. „Poj...ało ich? Czy młody minister na A., poseł narodowiec na W., popularny redaktor i pisarz na R., niedoszła lwica lewicy na O., względnie rozegzaltowany inkwizytor na T. – czy oni są popieprzeni moralnie, czy tylko poznawczo? #NotreDame #Paryż" – dywagował szacowny think tank.

Pochylmy się jeszcze nad innym intelektualistą. „Tropicielom metafizyki po pożarze Notre Dame: w 1755 r. w niedzielę Lizbona została zniszczona w trzęsieniu ziemi. 60 tys. ludzi zginęło, modląc się. Od tej pory na zachodzie zaczęto podejrzewać, że możliwe są zbiegi okoliczności, a nie gniew Boży. Oświeceniem się to nazywało" – napisał Bartłomiej Sienkiewicz. „A potem w imię rozumu urządzono rzeź setek tysięcy ludzi zwaną rewolucją francuską" – przytomnie odpowiedział mu Michał Szułdrzyński. A żegnam się z państwem słowami docenta Jerzego Gątarza: „Dziś pora na specjalistów od gaszenia pożarów, jutro od odbudowy katedr. Tylko robić nie ma komu. Dobrej nocy". ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. PAWEŁ GRONKOWSKI

WIELKANOC W WIELKI CZWARTEK

Magda Gessler poinformowała świat, że w Święta Wielkanocne wylatuje do męża, do Kanady. W związku z tym postanowiła przyspieszyć nieco święta i doszła do wniosku, że śniadanie wielkanocne zorganizuje sobie trzy dni wcześniej, czyli... w Wielki Czwartek. Wymieniła nawet w rozmowie z mediami, co zamierza zaserwować. – Podam swojską białą kiełbasę z chrzanem i koglem-moglem oraz gęś faszerowaną wątróbkami – zapowiada celebrytka. – Następnego dnia wylatuję do Kanady, do mojego męża Waldka, spędzimy razem trochę czasu – dodaje. Za jednym zamachem przed wylotem do Kanady powinna jeszcze Wigilię odhaczyć. Niech obok białej kiełbasy poda karpia. Do końca roku będzie miała spokój.

JEDYNY RATUNEK W HERBACIE

Dramat Cezarego Pazury! Okazuje się, że znany aktor do roli w serialu „Ślepnąc od świateł" na podstawie książki Jakuba Żulczyka musiał schudnąć aż 10 kg. „Nigdy nie miałem z tym problemów – powiedział w rozmowie z »Faktem«. – To przychodzi mi bardzo łatwo. Natychmiast zrzuciłem bez problemu jakieś 10 kg. Gorzej było w przeciwną stronę" – dodaje. No właśnie, Czarek próbuje i próbuje, i ciągle nie może przytyć, by powrócić do swojej wagi sprzed serialu. „Po zakończeniu pracy nad serialem mam ogromny kłopot z odzyskaniem poprzedniej wagi – narzeka. – Przy moim wzroście powinienem ważyć jakieś 84 kg. Wciąż brakuje mi około pięciu. I to wcale nie wygląda tak, że jak będę dużo jadł, to od razu nabiorę wagi" – żali się aktor. Tabloid „Fakt" postanowił mu pomóc. O radę zapytał aktora o słusznej wadze Mirosława Hryniewicza. Ten poradził Cezaremu dietę golonkowo-piwną oraz sery panierowane. „Dobrze też zjeść schabowego, szaszłyk z boczkiem. A może też pić dużo herbaty? Jolanta Kwaśniewska mówiła, że Olek tyje od herbaty" – stwierdził życzliwie. Niech będzie, że od herbaty. To... na zdrowie!

FOT. KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

LOGIKA NIE BOLI

Cztery lata temu Beata Kozidrak przeniosła się z domu pod Lublinem do Warszawy, aby nagrać swoją pierwszą w pełni autorską płytę. W tle był ponoć kryzys małżeński. Kozidrak kupiła willę pod Warszawą, nagrała zapowiadaną płytę, a z mężem się rozwiodła. Zrobiwszy to wszystko, postanowiła teraz wrócić na Lubelszczyznę. „Beata zaczęła narzekać, że tempo w Warszawie jej przeszkadza – ujawnia znajomy piosenkarki w rozmowie z »Faktem«. – Tęskni za spokojniejszym miejscem do życia. Mogłaby się tam częściej widywać z byłym mężem, bo teraz on krąży między Lublinem a Warszawą" – wyjaśnia. Wrócić do byłego domu, aby móc częściej widywać się z byłym mężem. Brzmi logicznie.

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

JAK ŻYĆ ZA GROSZE?

Młoda celebrytka Julia Wieniawa została zapytana, co sądzi o strajku nauczycieli. Odpowiedziała, że jest rozdarta, bo z jednej strony rozumie nauczycieli, a z drugiej ma siostrę, która bardzo stresowała się egzaminami, gdyż do końca nie było wiadomo, czy się odbędą. Dlatego też celebrytce ciężko mieć jednoznaczne stanowisko w tej sprawie. – Nie chcę się opowiadać po żadnej ze stron, bo jestem w tej sytuacji między młotem a kowadłem: bo moja siostra się stresuje, ale i też rozumiem nauczycieli – powiedziała. – Mam siostrę, która teraz będzie zdawała egzaminy do liceum. Współczuję jej, bo ona jest poniekąd ofiarą tych zmian, ponieważ stresuje się, czy te egzaminy będą, czy nie, to ma na nią duży wpływ. Z drugiej strony rozumiem nauczycieli, którzy mają naprawdę ogromnie ważną rolę w społeczeństwie, bo przekazują wiedzę dalej, a żyją za grosze – stwierdziła. O życiu za grosze mówi 20-letnia celebrytka, która – jak donoszą kolorówki – tylko w ubiegłym roku zarobiła ok. 1 mln zł. Za grosz wstydu! ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, niby ta Anglia taka postępowa, niby taka afirmacja LGBTQWERTY na trybunach ligi piłkarskiej, a jak przychodzi co do czego, to dochodzi w niej do głosu mentalne angielskie podkarpacie, jakieś Lincolnshire czy coś.

Otósh wyobraźcie sobie, iż jeden z piłkarzy klubu Burnley dostał żółtą kartkę za to, iż... pocałował swojego rywala z klubu Cardiff! Oznacza to, iż ten przyjazny i postępowy gest został potraktowany tak, jak np. faul lub niesportowe zachowanie. Sędzia, który podjął taką decyzję, powinien zostać usunięty z grona sędziów, dostać dożywotnią dyskwalifikację i sędziować co najwyżej w polskim Trybunale Konstytucyjnym. Jeśli w taki sposób angielska liga piłkarska ma zamiar postępować wobec osób promujących nowoczesne wartości, to może niech sobie lepiej zrobią ten brexit, nie potrzebujemy takich w Unii.

Przed nami długi majowy weekend, a więc znowu to narodowe święto, podczas którego janusze odpalą grille, będą piec kiełbasy, pić piwerko i wódkę, a wszystko oczywiście za „500+" finansowane z naszych podatków!!! Co najgorsze, nie można teraz być pewnym, gdzie pojechać, iżby nie spotkać tłumu rozwrzeszczanych matek z dziećmi, które od czasu „500+" ośmielają się wypuszczać poza granice jurysdykcji swoich ośrodków pomocy społecznej. W dodatku rząd obiecał też „500+" na każde dziecko, a więc janusze i grażyny z podkarpacia rzucą się po chwilówki, które potem pospłacają z pieniędzy na dzieci, iżby tylko gdzieś na długi weekend pojechać i zepsuć nam wypoczynek.

A jak do tego dodamy ten patriotyczny bogoojczyźniany festiwal kultywowania barw narodowych i pełnych hipokryzji zachwytów nad Konstytucją 3 maja, którą sprzedali za „500+", to w ogóle nam się odechciewa długiego weekendu w tym kraju :(

Zewsząd ostatnio atakują nas informacje o ostatnim sezonie „Gry o tron". Nawet byśmy sobie obejrzeli, ale jednak jest to propozycja too mainstream. Nie będziemy ukrywać: jesteśmy ciekawi jak cholera, co się w tym serialu dzieje, ale jednak dbając o wizerunek, musimy się poświęcić i oglądać kolejne niskobudżetowe produkcje irańskie, pakistańskie i turkmeńskie.

Ostatecznie zawsze możemy w trakcie rozmowy z frendami, którzy „Grę o tron" oglądają, wspomnieć, iż nie interesują nas komercyjne przedsięwzięcia, a jedynie prawdziwa sztuka, która nie chowa się za popularnością. A potem pewnie i tak zobaczymy, jak nikt nie będzie widział. ©℗

REKLAMA

eprasa.pl 4e0c707824

dwaj panowie g

Zmiany, zmiany, zmiany. Miała być rekonstrukcja rządu, ale nie będzie. Nie było przed Wielkanocą, nie będzie po Wielkanocy. Egzaminy przeprowadzone, w sondażach spokój, tradycyjna strategia „poczekamy, zobaczymy" znów się sprawdziła. Najnowsze doniesienia z rządu i Nowogrodzkiej brzmią: niczego nie ruszamy aż do eurowyborów. A wtedy wiecie sami, nastąpi naturalna eurorekonstrukcja.

Czary-mary, barba-czary i postryk! Jedno wystąpienie Kaczora Dyktatora sprawiło, że Kołalicja Łeuropejska zamieniła się w Kołalicję Euro-pejską, czyli taką, co to chce w Polsce waluty euro. Pozostaje pytanie: Jak w takim razie zwać luźną koalicję tych, którzy waluty euro nie chcą? Mamy pomysł. Złotopolscy. A właściwie Złoty-polscy.

Zabawna rzecz z tym okrągłym stołem w sprawie oświaty. Pierwszy pomysł był taki, żeby spotkać się od razu we wtorek po świętach. Ministrowie zaprotestowali jednak, mówiąc, że jeszcze muszą wrócić ze świąt. Wtedy zasugerowano środę. Ale okazało się, że jeden dzień to za mało na porządny powrót. W chwili, gdy zamykaliśmy to wydanie naszej rubryki, hamletowskie rozważania „czwartek czy piątek" trwały. Jak widać, rząd potrafi zajmować się także sprawami naprawdę ważnymi.

Tymczasem w szkołach. A właściwie wokół szkół. Piana wściekłości występuje na ustach rodziców coraz częściej. Co ciekawe, wprost proporcjonalnie do tego, jak często strajkujący nauczyciele jednocześnie zupełnie komercyjnie udzielają korepetycji po tradycyjnych stawkach. Rodzice zachowują się przy tym zupełnie nieodpowiedzialnie. Winią nauczycieli, a nie PiS-owską dyktaturę.

Tylko świnie pilnują na egzaminie" – to hasło zrobiło furorę w pewnych kręgach przy okazji strajku nauczycieli. Jakie to kręgi, świadczy samo hasło. Chcielibyśmy jednakowoż zauważyć, że to ryzykowna zabawa. Drugie słowo hasła rymuje się bowiem ze „Schetynie", co rodzi nowe ciekawe możliwości dla kreatywnych. Czekamy na jakieś zgrabne hasełka o knurach. W końcu „knury" rymuje się z „matury".

Wiewiórki mówią, że pomysł wprowadzenia sędziów pokoju od rozsądzania dupereli się utrzyma

Niestety, kiedy wydawało się, że gorzej już nie można, nauczyciele z Wysokiej pod Wrocławiem ubogacili strajk piosenką własnego autorstwa, w której zaśpiewali „Dwa tysiące na mym koncie to jak strzał z pioruna w prącie" oraz „Kaczki, kury rządzą Polską". Nie krytykujemy. Dostrzegliśmy w utworze także celne tony autokrytyki. Wszak we wspólnym śpiewaniu brali udział ludzie odpowiednio wykształceni. Stąd zapewne wers „Studia to w tych czasach kupa wielka".

Dobre i złe wieści z frontu walki o reformę sądów. Wiewiórki mówią, że pomysł wprowadzenia sędziów pokoju od rozsądzania dupereli się utrzyma. To dobra wiadomość. I że będą wybierani przez lud. To nawet druga dobra wiadomość. Jest i zła: koncepcja, by nie musieli mieć wykształcenia prawniczego, raczej się nie utrzyma. No i klops.

Już wyjaśniamy, dlaczego klops. Gadaliśmy jakiś czas temu z wykładowcą prawa na pewnym prestiżowym polskim uniwerku. Gdy zapytaliśmy, ilu studentów to miłośnicy PeŁo, KoŁe i skandowania „Kon-sty-tu-cja", zamyślił się głęboko i oświadczył, że tak ośmiu na dziesięciu. A może i dziewięciu na dziesięciu. Wygląda więc na to, że nazbyt często wybór sędziów będzie polegał na wybieraniu między złem większym a większym.

Ze Śląska. Tu też zmiany. Dawna kandydatka partii Ślonzoki Razem, niejaka Aleksandra Jelonek, kandyduje do Parlamentu Europejskiego z listy Kukiz'15. Co oburzyło okrutnie zarówno RAŚ, jak i Związek Górnośląski związany z PeŁo. Oburzonym ślązakowcom przypominamy, że Oberführer RAŚ Jerzy Gorzelik w roku 2009 startował do PE z listy KKW Narodowy Komitet Wyborczy Macieja Płażyńskiego. Jeśli chcą więc utrupić jakiegoś zdrajcę, to nie muszą szukać aż na listach kukistów.

À propos kukistów. Źli ludzie opowiadają o wielkim zainteresowaniu tamtejszych działaczy miejscami od drugiego w dół na warszawskiej liście do europarlamentu. Nie, nie dlatego, że będzie tam dodatkowy mandat do wzięcia. „Chodzi o to, że im więcej głosów zbierze lista, tym większa szansa, że mandat weźmie startujący z jedynki Tyszka Stanisław i wyemigruje zarobkowo do Brukseli. Już się nie możemy doczekać" – opowiadał z nadzieją pewien wpływowy kukista.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

eprasa.pl 4e0c707824

Ciekawa sprawa, z awansu Tyszki do Brukseli ucieszono by się także na Nowogrodzkiej. Tak przynajmniej słyszeliśmy. Chodzi o to, że Kaczor Dyktator nie przepada za Staszkiem, a już zupełnie nie przypadł mu go gustu pomysł, by w przypadku jesiennej współpracy PiS z kukistami Tyszka trafił do rządu. Tak się więc składa, że jedni i drudzy trzymają w eurowyborach kciuki za Staszka. Staszku, musisz!

Jeszcze ze Śląska. Kandydatem partii Wiosna w okręgu katowickim jest między innymi Roman Nehrebecki. To syn Władysława Nehrebeckiego, jednego z twórców serii „Bolek i Lolek". Wspominamy o tym, bo kandydat Roman, kiedy był jeszcze małym Romkiem, stał się pierwowzorem postaci Lolka. W ten sposób odbywa się wymiana pokoleń w polskiej polityce. Gaśnie gwiazda Bolka, a wschodzi – Lolka.

Z awansu Tyszki do Brukseli ucieszono by się na Nowogrodzkiej. Chodzi o to, że Kaczor Dyktator nie przepada za Staszkiem

Wielu zdziwiło się, widząc na okładce „Lisweeka" nieortodoksyjne świąteczne gołębie zamiast kurczaczków. Nas nie. Widzimy w tym drugie dno. To nawiązanie do myśli i dzieł wielkiego Adama Szejnfelda, legendy PeŁo. Tego, który obwieścił kiedyś, widząc ptaszki na swym balkonie: „Wybrała mnie biała gołębica, aby mieć potomstwo. Oto na moim balkonie powstanie nowe życie".

Nowe życie ma dać Einer Totalopposition zły Donald z Brukseli. Poznaliśmy założenia jego wystąpienia planowanego na 3 maja. Będzie mówił o Europie, solidarności, wartościach i praworządności. Insynuując, ale nie wskazując paluchem. Skąd to wiemy? A taka tam, ekstrapolacja.

Całkiem serio to wielu w Eine Totalopposition z większą niecierpliwością czeka na wystąpienie złego (to znaczy według nich dobrego) Donalda zaplanowane na 4 czerwca. Ma wtedy dojść do zaboru zjednoczenia. W wyborach europejskich właścicielem zjednoczenia, czyli twórcą Kołalicji Łeuropejskiej jest bowiem Grzegorz Schetyna. Ale pomysł jest taki, żeby jesienią jednak szły do wyborów osobne listy partyjne, za to pełne zjednoczenie nastąpiło w walce o Senat. Ale właścicielem senackiego Ruchu 4 Czerwca będzie już zły Donald, a nie żulik lwowski Grzegorz. Stąd termin „zabór". ©℗

REKLAMA

Pod Patronatem Narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości

1918·2018

Organizatorzy:

Fundacja Promocji Kultury i Historii Polski

niepodległa

Partnerzy:

ORLEN

instytut muzyki i tańca

Patroni medialni:

Jedynka POLSKIE RADIO

Trójka POLSKIE RADIO

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości.
Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

eprasa.pl 4e0c707824

Rafał A. Ziemkiewicz

Choroba wściekłych profesorów

Po okresie, gdy twarzami „totalnej opozycji" byli głównie starzejący się aktorzy, weszliśmy w czasy, gdy rolę tę przyjęli ludzie z tytułami naukowymi

W Polsce nie ma demokracji – takie radykalne deklaracje mocno już nam spowszedniały i puszczamy je mimo uszu. Są wywrzaskiwane na wiecach KOD i skrajnej lewicy, wypisywane w mediach społecznościowych, rzadziej i bardziej oględnie, bo tu już obowiązuje pewna odpowiedzialność za słowo, w komentarzach i wstępniakach antyrządowych mediów. Gdy jednak z tezą taką występuje prawnik konstytucjonalista, profesor, mało tego, były przewodniczący Trybunału Konstytucyjnego – mamy do czynienia z odczuciem, które psychologia nazywa dysonansem poznawczym.

Można wątpić, czy demokracja w Polsce funkcjonuje dobrze – ale co do jej istnienia nie ma przecież wątpliwości. Nic nie przeszkodziło opozycji wygrać samorządowych wyborów w wielu kluczowych miastach, a jeśli kolejne wybory przegra, to bynajmniej nie dlatego, że rząd pozamyka w więzieniach jej kandydatów i mężów zaufania, sterroryzuje liczących głosy i unieważni listy wyborcze – tylko dlatego że jest nieudolna, prostacko agresywna i budzi w wyborcach coraz większe zniechęcenie. O jej słabnącej popularności świadczą sondaże wykonywane przez niezależne ośrodki, publikowane w mediach, z których większość – i to te najbardziej wpływowe – nieustannie krytykuje rząd, wręcz go „hejtuje", tak jak liberalne media amerykańskie Donalda Trumpa albo włoskie Matteo Salviniego. I podobnie jak tam nie spotykają ich za to żadne represje.

Nawet gdyby przyjąć, że „konwalidacja" wyboru wszystkich pięciu sędziów TK wybranych w poprzedniej kadencji głosami koalicji PO-PSL była wadliwa, gdyż – jak później orzekł trybunał, jeszcze pod przewodnictwem Andrzeja Rzeplińskiego – niewłaściwie wybrano tylko dwóch z nich, to i tak na mocy zasady „domniemania konstytucyjności" orzeczenie to obowiązuje na przyszłość, a ci, którzy już zostali przez PiS wybrani i zaprzysiężeni,

eprasa.pl 4e0c707824

Profesor Andrzej Rzepliński (z lewej) twierdzi, że „w Polsce nie ma demokracji". Profesor Andrzej Zoll wzywał do impeachmentu

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

są sędziami, a nie żadnymi „dublerami". W żaden sposób nie zmienia to prawomocności Trybunału w obecnym składzie, podobnie jak ociąganie się swego czasu przez rząd z publikacją orzeczenia, które prawo nakazywało mu opublikować, ale nic nie wspominało, w jakim terminie.

I Andrzej Rzepliński, który głosi publicznie, że „w Polsce nie ma demokracji", doskonale o tym wszystkim wie. Podobnie jak wiedział, że ma jako prezes obowiązek prowadzić obrady TK zgodnie z procedurą narzuconą nową ustawą, przynajmniej tak długo, jak długo jej TK nie uzna – zgodnie z ową procedurą – za niekonstytucyjną. Poszedł jednak wtedy „na rympał" i złamał prawo, twierdząc, że ustawa została przyjęta „w złych intencjach" i że nie podporządkowując się jej, „działa w stanie pewnej takiej vis maior".

Wreszcie – nawet gdybyśmy mieli do czynienia nie z naginaniem prawa przez władzę czy wykorzystywania luk w konstytucji i ustawach, ale z ich łamaniem, jak twierdzi opozycja, i nawet gdyby orzekł to TSUE – to i wtedy nie wolno byłoby nikomu mówić, że z tej przyczyny nie ma w Polsce demokracji. Wszystkim krajom UE zdarzało się, że TSUE zakwestionowało takie czy inne ich rozstrzygnięcie, niemal wszystkie różnych orzeczeń TSUE nie wykonują (tak się składa, że rekordzistami są w tym Niemcy) i bynajmniej nie czyni ich to autokratycznymi reżimami.

Jak więc profesor, konstytucjonalista, sędzia Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku i jego były przewodniczący może publicznie wygadywać takie brednie?

RZEPLIŃSKI, ZOLL I MARKOWSKI

A to wszystko jeszcze nic. Andrzej Rzepliński orzekł w cytowanym już wywiadzie w Radiu TOK FM, że „demokracja w Polsce skończyła się w dniu pierwszego posiedzenia sejmu VIII kadencji". A więc skończyła się nie z racji jakiegoś konkretnego posunięcia, „skończyła się", zanim w ogóle nowo wybrana władza zdołała zrobić cokolwiek – wyłącznie z tej przyczyny, że większość w Sejmie straciły partie, które Rzepliński akceptował i popierał. Tę karkołomną tezę profesor uzasadnia dwojako: po pierwsze, że nowy Sejm ustanawia prawo „pospiesznie, bez debaty, z pominięciem tworzenia specjalnych komisji", a po drugie dlatego, że „wszystkim kieruje de facto niesprawujący żadnych funkcji Jarosław Kaczyński", któremu przy tej okazji ubliża namiętnie, nazywając go tchórzem i drobnym cwaniaczkiem. Tego, że Jarosław Kaczyński kieruje „wszystkim" nie przemocą ani w żaden inny niedemokratyczny sposób, ale dlatego że jest prezesem partii, która zdobyła w wyborach większość, Rzepliński nie zauważa; podobnie jak nie wyjaśnia, dlaczego nie protestował, gdy „wszystkim" kierował również niesprawujący żadnej funkcji, poza przewodzeniem partii, Marian Krzaklewski.

Proszę wybaczyć zbyt może szczegółowe streszczenie tylko jednego z licznych utrzymanych w podobnym duchu wywiadów, udzielanych nie tylko przez jednego Rzeplińskiego, lecz także innych, mających podobne jak on formalne tytuły do wypowiadania się z pozycji autorytetu. Niestety trzeba minimum uwagi i wgłębienia się w prezentowane tezy, by uświadomić sobie, jak horrendalne i kompromitujące go brednie potrafi wygadywać nienawidzący obecnej władzy profesor. Nie mamy na to czasu, puszczamy te idiotyzmy licznych profesorów mimo uszu i z przyzwyczajenia pozwalamy im nadal uchodzić za ludzi poważnych.

Ze swą tezą, że demokracja skończyła się „w dniu pierwszego posiedzenia

eprasa.pl 4e0c707824

Sejmu VIII kadencji", Rzepliński i tak nie jest najbardziej radykalny. Andrzej Zoll – też profesor i też były prezes TK – jeszcze zanim Sejm zdążył się zebrać, orzekł w TVN24, że prezydent Duda powinien być złożony z urzędu, ponieważ „złamał konstytucję", ułaskawiając byłego szefa CBA przed prawomocnym wyrokiem. Mimo że o tym, iż prezydent RP ma prawo stosować prawo łaski na każdym etapie postępowania, można przeczytać nawet w podręcznikach, z których uczą się studenci obu profesorów. Chociaż sądy nie pozostawiły potem najmniejszych wątpliwości, że Andrzej Zoll swymi wezwaniami do impeachmentu ośmieszył się, nie przeszkodziło mu to potem wielokrotnie zabierać głosu w kwestiach „praworządności" – nieodmiennie w tym samym duchu co Rzepliński.

A może trzeba sięgnąć jeszcze po innego związanego z opozycją profesora, Radosława Markowskiego? Ten wprawdzie nie ogłosił wprost „końca demokracji", ale jeszcze przed wspomnianymi wyznaczył narrację: „Te rządy narzuciła nam wieś". Ergo – nie są to rządy, którym elity powinny się podporządkowywać. Wręcz przeciwnie, muszą je obalić, gdyż – jak wyjaśniał istotę zła inny były prezes TK, Jerzy Stępień – „oni chcą wymienić całą elitę".

Prof. Monika Płatek stwierdziła, że większość ludzi, którzy wykorzystują dzieci, to nie pedofile, a normalni mężczyźni

FOT. STEFAN MASZEWSKI/REPORTER

SADURSKI I MATCZAK

Chociaż jednak zarówno Rzepliński, jak i Zoll i inni wyżej wspomniani wypowiadali się w mediach opozycji bardzo chętnie, zawsze radykalnie i zawsze przeciwko władzy, mimo wszystko i tak stosunkowo mało kojarzą się z antypisowską zapiekłością. Prawdopodobnie dlatego, że nie udzielają się w mediach społecznościowych.

Zupełnie inaczej jest z prof. Wojciechem Sadurskim. Ten krążący między Polską a Australią prawnik należy do równie gorliwych użytkowników Twittera jak prof. Leszek Balcerowicz (który w jednym z wywiadów mówił, że gdy z jakichś powodów nie może tweetować, spisuje swe antypisowskie złote myśli w specjalnym notesiku, aby zamieścić je później). Praktycznie nie ma dnia, by Sadurski nie dopuścił się w sieci jakiegoś przekroczenia granic, grzmiąc w dwóch językach na „polską kołtuńską głupotę", demaskując z imienia i nazwiska „agentów Putina", neonazistów (brunatnymi chłopakami nazwał ostatnio publicystów internetowego Tygodnika TVP za użycie utworzonego przez Jana Pawła II pojęcia „cywilizacja śmierci") etc.

Podobnie jak u Rzeplińskiego bluzgi idą w parze z demonstrowaniem, że prawo, w imię którego rzekomo prowadzi swą batalię, w istocie ma w głębokim poważaniu. Nie ograniczając się do internetowych kompulsji, z pracowitością, z jaką hobbyści fantastyki rysują mapy i spisują historię fantastycznych królestw, stworzył projekt „Obywatelskiego Trybunału Stanu", który osądzić ma „osoby ważne dla państwa PiS", „w chwili gdy zajdą ku temu polityczne warunki". Sadurski przygotował też i opublikował na portalu Tomasza Lisa „akt oskarżenia", a w Internecie uzasadnił „konieczność" powołania „trybunału obywatelskiego" tym, że niestety „obecne prawo nie daje narzędzi" do wymarzonego skazania premiera, prezydenta i prezesa PiS. Dodajmy, że nie oparty na żadnych, poza nienawiścią do PiS, podstawach prawnych „trybunał" Sadurskiego nie jest bynajmniej projektowany jako ciało symboliczne – ma „pełnić rolę pomocniczą" względem Trybunału Stanu przewidzianego konstytucją, który będzie nadawał jego „wyrokom" sankcję wykonalności, i organów ścigania, które je wykonają. Trudno nie dopatrzyć się tu inspiracji prawnym statusem „pomocniczej policji" w nazizmie, z którym skądinąd Sadurski, podobnie jak jego bracia i siostry w szaleństwie, obsesyjnie porównuje „państwo PiS".

Sadurskiemu w sukurs przychodzi prof. Maciej Matczak. Na facebookowym portalu Video-KOD można znaleźć zapisy jego spotkań z działaczami, podczas których opowiadał o planach „prawnego blitzkriegu" po odzyskaniu władzy. Między innymi przez powołanie dyscyplinarnego ciała „byłych sędziów Trybunału Konstytucyjnego", według obliczeń Matczaka ok. 30 osób, które dekretami usunie z obecnego TK oraz ze stanu sędziowskiego „mianowańców" PiS i wszelkich wrogów „praworządności".

Na jakiej podstawie prawnej miałoby działać owo inkwizycyjne ciało? Profesor Matczak nie ukrywa, że na takiej samej jak „obywatelski" trybunał Sadurskiego. Czyli, cytując wykładnię prof. Rzeplińskiego, „pewnej takiej vis maior".

Profesor Maciej Matczak, jeden z dyżurnych ekspertów TVN24, nie stroni od sformułowań równie histerycznych jak Sadurski, czego dowodzą choćby jego sławne twitterowe sugestie pod adresem blogera, że załatwi u znajomych na wrocławskiej uczelni odpowiednie potraktowanie jego studiującej tam córki. Z drugiej strony, w innym wpisie przechwalał się Matczak (a jest specjalistą od prawa farmaceutycznego), ile to płacą mu wielkie koncerny za prawnicze „myki", które potrafi wymyślić. Trudno doprawdy rozgryźć, na ile powoduje nim szaleństwo, na ile wyrachowanie – zwłaszcza że we wspomnianych zapowiedziach sugeruje wyraźnie, iż pomysły błyskawicznego i radykalnego odwrócenia reform PiS były skonsultowane z politykami opozycji. I że owe dochody, z których tak jest dumny, czerpie Matczak nie tylko ze zleceń międzynarodowych koncernów, lecz także kontrolowanych przez PO samorządów.

HARTMAN, ŚPIEWAK, KRZEMIŃSKI

Warto śledzić podobne do Video-KOD profile, rozmaite internetowe „wolne radia"

eprasa.pl 4e0c707824

czy „obywatelskie telewizje" zakładane przez aktywistów radykalnych organizacji, które często zamieszczają relacje z „obywatelskich" spotkań z rozmaitymi profesorami. Tam, gdzie opozycyjni „eksperci" czują się wśród swoich i otwierają się, przestając zupełnie liczyć się ze słowami, można się dowiedzieć, co naprawdę roi się w ich głowach. W istocie, goście takich spotkań sprawiają wrażenie dotkniętych jedną i tą samą chorobą, dającą takie same objawy.

Obcowanie z długimi, zwykle ponadgodzinnymi wywodami, w których mielone są uporczywie te same wątki (jak za Hitlera, jak za Stalina, w peerelowskim DTV i znowu jak za Hitlera) jest jednak czasochłonne. Dlatego jeśli ktokolwiek zechce zbadać schorzenie, szerzące się wśród nienawidzących PiS profesorów, źródłem nieocenionym będzie dla niego komunikator Twitter – z natury sprzyjający publicznemu dzieleniu się przychodzącymi do głowy komentarzami, zanim się je przemyśli. Tu najlepiej widać, że życie ofiar choroby wypełnione jest nieopisane silnymi emocjami.

Czytając na przykład wpisy Jana Hartmana, osaczanego na każdym kroku przez „brutalny fanatyzm religijny połączony z antysemityzmem", można wręcz wyznaczać maniakalno-depresyjną sinusoidę, w której od czasu do czasu pojawiają się też okresy wzmożenia, gdy wydaje się, że PiS zaczyna coś iść źle – np. wybucha strajk nauczycieli. „Uff! Nareszcie strajk przeciwko PiS! – cieszył się wtedy Hartman. – Nie dajcie d! Dopiszcie nowe postulaty, jak w '80! Wolność słowa, prawda na lekcjach historii, świeckość szkolnej przestrzeni, wychowanie seksualne i antydyskryminacyjne, wartości konstytucyjne i europejskie w programach nauczania!" Albo kiedy zapowiadany jest wybuch jakiejś afery, która wreszcie PiS skompromituje: „Sprawa Kuchcińskiego… media nabrały wody w usta. Ale jak już pi...nie, to na maksa!".

W wypowiedziach tkniętych chorobą profesorów charakterystyczne jest, że – podobnie jak np. w wypowiedziach działaczek feministycznych – akcent kładziony jest w nich na wyznawanie własnych stanów emocjonalnych. Profesor Paweł Śpiewak w wywiadzie dla „Polityki"stwierdził, że światowa gwiazda piłki nożnej Lionel Messi twierdzi, iż Polska to faszystowski kraj. Profesor wiedzę tę zaczerpnął... z internetowego mema. A gdy mu to wytknięto w Radiu Zet, odpowiedział: – OK, dobrze, to był fejk, co z tego?

Jest charakterystycznym syndromem profesorskiego „urojenia wyższościowego" przekonanie, że skoro profesor popada w histerię, i to taką histerię, samo w sobie stanowi to dowód, iż dzieje się coś nieopisanie strasznego.

Jedną z pierwszych osób, której profesorski tytuł i dorobek nie przeszkadzały popadać przed kamerą w stan autentycznej histerii, z łamiącym się głosem, obelgami i innymi objawami szaleństwa (a mediom nie przeszkadzało to, by go zapraszać), był Ireneusz Krzemiński. Ten ceniony niegdyś socjolog potrafi dziś głosić nawet rzeczy tak horrendalne jak to, że „PiS wymyślił Żołnierzy Wyklętych, którzy mordowali Żydów i nasze mniejszości narodowe, żeby rozpętać nacjonalistyczne nastroje" i oprzeć się na „grupach nacjonalistycznych, antysemickich" (wypowiedź dla portalu Wp.pl w narodowym dniu Żołnierzy Wyklętych, 1 marca).

PŁATEK I ŚRODA

Być może nie przebija to wypowiedzi innych sławnych ofiar szaleństwa, pogłębiającego się w miarę, jak straszliwe rządy PiS nie chcą się skończyć – tu rekordy, przynajmniej sądząc po liczbie cytowań, należą zresztą chyba do feministek. Słowa prof. Moniki Płatek, karnistki z UW, że „w związkach homoseksualnych przychodzi na świat tyle samo dzieci co w heteroseksualnych albo i więcej" czy niedawne „większość ludzi, która wykorzystuje dzieci do seksu, (...) to nie są żadni pedofile, to są normalni mężczyźni", stały się przebojami Internetu. Ostatnio dorzuciła jeszcze, podczas wysłuchania kandydatów do PE: „Słuchając polityków, którzy mówią o tym, że dziecko uczone jest masturbacji w wieku od zera do czterech lat, najwyraźniej nie rozumiemy tego, że jako ludzie jesteśmy bardzo ciekawymi zwierzętami".

Podobnie popularne w sieci są wypowiedzi Magdaleny Środy, która potrafi każde możliwe nieszczęście przypisać Kościołowi, choćby w sposób zupełnie karkołomny. Co nie znaczy, że feministki ustępują wyżej wspomnianym w zezwierzęceniu, gdy mowa o polityce. PiS to – jak wyjaśniała Środa „Newsweekowi" – „groźna, rakowa narośl, ale nadejdzie czas operacji", a Jarosław Kaczyński „jest tchórzem" i „ma potężne problemy emocjonalne", bo – szaleństwo sprawia, że nawet tak zajadła feministka może powiedzieć coś takiego, byle tylko znienawidzonego Kaczyńskiego dotknąć – „w 100 procentach ulegał matce".

Po okresie, gdy twarzami „totalnej opozycji" byli głównie starzejący się aktorzy, weszliśmy w czasy, gdy rolę tę przyjęli ludzie z profesorskimi tytułami. Wspomniani wyżej nie wyczerpują bynajmniej zjawiska, ba – można już nawet mówić o dziedziczeniu choroby, odkąd prof. Fryderyk Zoll, syn Andrzeja, poprowadził w Krakowie paradę wulgarnych i prymitywnych antypisowskich karykatur, w części zresztą przywiezionych z podobnej parady z Niemiec.

Pierwsze wypadki można było zaobserwować wcześniej, ale histeria wytworzona przez media antypisu w ostatnich latach doprowadziła do prawdziwej epidemii. „W stanie pewnej takiej vis maior", czyli pod presją „nadzwyczajnej konieczności", by przeciwstawiać się rządom „gorszym niż Hitler, gorszym niż Stalin", środowiska tradycyjnie niechętne prawicy i jej wartościom uznały, że wszelkie dotychczasowe normy muszą ulec zawieszeniu. Na profesorach odbiło się to w sposób najstraszniejszy, zapewne dlatego że w większości, jako ludzie wąsko specjalizowani, nie mają oni zupełnie kontaktu z realnym światem i żyją całkowicie w matriksie mediów. Te zaś media, z którymi obcowali, stopniowo nasyciły ich poczuciem apokalipsy, zwalniającej z wszelkich obowiązków, które dawniej wiązały się z prestiżową pozycją. Zarówno z obowiązku ogólnej przyzwoitości, przestrzegania norm debaty publicznej – jak i z intelektualnej uczciwości, choćby tak elementarnej, jak w wypadku utytułowanego prawnika szacunek dla prawa. I popchnęły ich do zużywania posiadanych tytułów w doraźnej politycznej bijatyce, w sposób kompletnie odbierający im prawo do publicznego szacunku, a nawet gorzej – do traktowania profesury serio.

W wypowiedziach tkniętych chorobą profesorów charakterystyczne jest, że akcent kładziony jest w nich na wyznawanie własnych stanów emocjonalnych

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

Z prof. Krystyną Pawłowicz, poseł PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Lewackie brednie to nie nauka

MACIEJ PIECZYŃSKI: Pewnego dnia do kawiarni SPATiF wpadł pijany Jan Himilsbach i krzyknął: „Inteligencja – wyp...ć!". Po chwili konsternacji od stolika wstał Gustaw Holoubek i grzecznie powiedział: „Nie wiem, jak państwo, ale ja wyp...lam". Czy nie ma pani wrażenia, że ta słynna anegdota może posłużyć jako opis tego, co dziś się dzieje w relacjach na linii: inteligencja–władza? Z tą tylko różnicą, że na odwrót: szacowni profesorowie używają języka tłumu w walce z PiS, każąc partii Kaczyńskiego dosłownie „wyp...ć" z politycznej sceny.

KRYSTYNA PAWŁOWICZ: Niezbyt trafne porównanie. Profesorowie, którzy wulgarnie atakują dziś władzę, to nie jest żadna inteligencja.

Za takową się uważają. Mają tytuły naukowe.

To o niczym nie świadczy. Stasia Gierkowa też była doktorem, choć nieszczególnie na ten tytuł zasługiwała. Ta nominalna obecna inteligencja podzieliła się na dwa obozy: jeden popiera konserwatywną władzę, drugi – lewacko-liberalną opozycję. W tej drugiej grupie wyróżnić można wśród tej tzw. profesorskiej inteligencji dwie podgrupy: naukowy palikotyzm i prawniczy anarchiści. W pierwszej podgrupie, mimo tytułów, nie ma naukowców z prawdziwego zdarzenia, a wulgarni pałkarze, bojówkarze ideologii lewackiej. Należą do nich profesorowie Hartman, Fuszara, Środa, Płatek. Do drugiej podgrupy zaliczam profesorów Gersdorf, Zajadło, Popiołka czy Łętowską, którzy wbrew ustalonym zasadom doktryny prawa anarchizują polski system prawny, wymyślając np. „rozproszoną ocenę konstytucyjności prawa", która należy przecież konstytucyjnie tylko do TK, podważający domniemanie konstytucyjności prawa czy zasady demokracji, czyli rządów większości. Obóz lewacko-liberalny cechują większa agresja i nienawiść do przeciwników politycznych. To nie jest mój wymysł, tylko wynik niedawno ogłoszonych badań socjologicznych. Nazywanie tego środowiska naukowego palikotyzmu i prawniczych anarchistów inteligencją jest nadużyciem. Ci ludzie swoim agresywnym zachowaniem zaprzeczają etosowi intelektualisty i naukowca. Od profesora powinno się oczekiwać nie tylko tytułu, lecz także pewnej kultury osobistej oraz odpowiedniej wiedzy opartej na jakimś systemie wartości. Wielu z nich natomiast okazuje z reguły swoją lewacką pogardę, stosuje słowną przemoc wobec tych, którzy myślą inaczej. Zamiast wiedzą, wykazują się tabloidowym szokowaniem publiczności. Często się ośmieszają. Czy słowa prof. Płatek o tym, że w związkach homoseksualnych rodzi się więcej dzieci niż w związkach heteroseksualnych, albo jej pochwały masturbacji czteroletnich dzieci mają coś wspólnego z nauką?! A czy mam traktować poważnie prof. Hartmana,

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

zachwalającego kazirodztwo, albo panią Fuszarę, która na uniwersytecie promuje rodziny patchworkowe?!

Ale przecież właśnie w tym kierunku zmierza postęp naukowy – płeć staje się sprawą kultury, nie biologii, tradycyjna rodzina to przeżytek... Pani jest nie na czasie.

Ale mówimy o nauce czy o lewackich bredniach?! Proszę nie relatywizować, proszę z siebie nie robić takiego pseudonaukowca...

Ja tylko przytaczam opinie, które naprawdę są coraz częściej formułowane w naukach humanistycznych. Za to prof. Paweł Śpiewak niedawno wymyślił „opinię" Messiego. Argentyński piłkarz miał powiedzieć, że w Polsce panuje faszyzm. Jak to możliwe, że poważany socjolog z 40-letnim stażem bierze na poważnie internetowe żarty i głosi publicznie niesprawdzone informacje?

To była kompromitująca wypowiedź prof. Śpiewaka. Osoby o lewackich poglądach nie potrafią przyznać się do błędu.

Ten sam prof. Śpiewak stwierdził w wywiadzie dla jednego z czeskich tygodników, że Polacy zabili więcej Żydów niż Niemców.

Szkoda komentować. To, że profesorowie Śpiewak, Matczak, Sadurski czy Hartman mają tytuły, wcale nie sprawia, że trzeba wierzyć w naukowość ich wypowiedzi. W Polsce powinna nastąpić jakaś weryfikacja etyczna i merytoryczna środowiska akademickiego, ale myślę, że samo środowisko nie jest w stanie tego dokonać, gdyż dziś w większości ma podobne poglądy. Na państwowych uczelniach wciąż pracuje mnóstwo pseudonaukowców o komunistycznych rodowodach, którzy kariery zrobili wyłącznie dzięki przynależności do PRL-owskich układów.

Zajmijmy się pani ulubieńcem – prof. Wojciechem Sadurskim, z którym toczy pani regularne twitterowe boje...

To nie jest mój ulubieniec. Znaliśmy się kiedyś prywatnie. Nawet w kilka osób spędziliśmy kiedyś wspólnie wakacje. Ja byłam świeżo po studiach. Wojtek wydawał się wtedy normalnym człowiekiem, od niedawna też pracował na uczelni. Nie rozmawialiśmy wtedy o polityce. Jestem zszokowana, jak bardzo agresywnym i wulgarnym publicystą się stał. I jak bardzo manipuluje faktami. Niedawno bronił na Twitterze idei Solidarności. Nazwałam go wtedy wątpliwym obrońcą tych idei, gdyż w latach 80. nikt nie przypominał sobie jego bohaterskich czynów w walce z komunizmem. Jego zaangażowanie w Solidarność było bezobjawowe. Nigdy nie miał natury rewolucjonisty, szybko wyjechał na stypendia zagraniczne. Dzisiaj niby walczy z władzą. Ale co to za pluszowe bohaterstwo! W czasach wolności i demokracji odwaga jest bardzo tania. Zwłaszcza spoza granic Polski i z bogatego australijskiego uniwersytetu. Profesor Sadurski był jednak zdolnym prawnikiem. Jeden z jego artykułów na temat równości prawa nawet polecałam studentom. Szkoda, że Wojtek stał się wulgarnym, agresywnym bojownikiem anty-PiS, określającym np. prezesa Kaczyńskiego gnomem, krasnalem, karłem moralnym, idiotą i debilem... Czasami wydaje mi się, że Wojtek z nienawiści i bezsilności zwariował.

Kiedyś zasugerował, że członkowie rodziny Kulczyków powinni „obić twarz" prof. Zybertowiczowi, albo chciałby, by ktoś zdiagnozował ksenoparanoję u Kaczyńskiego. Jednak prof. Sadurski twierdzi z kolei, że pani na niego pisała donosy.

Żadnych donosów nigdy na nikogo nie pisałam. Na Twitterze zapytałam Wojtka tylko, czy władze uczelni, na której jest zatrudniony, wiedzą, jak ich pracownik wulgarnie i agresywnie zachowuje się

REKLAMA

Materiał promocyjny został sfinansowany ze środków finansowych pochodzących z 1% podatku dochodowego od osób fizycznych.

eprasa.pl 4e0c707824

w Polsce. Sadurski nie przebiera w wulgarnych słowach. To chamstwo jest bezsilną reakcją na utratę władzy. Ci wszyscy profesorowie tak samo „naukowo" mówią: „Jeśli nasi rządzą, to jest demokracja. A jak PiS – to dyktatura i faszyzm". Jeden z profesorów z grupy „prawniczych anarchistów" prof. Zajadło twierdzi np., że opozycja może naruszyć konstytucję, żeby ją „ratować". Z kolei prof. Popiołek kwestionuje wyraźny przepis konstytucji, który mówi, że suwerenem w RP jest naród, i publicznie na zjeździe prawników forsuje tezę, że suwerenem są wartości konstytucyjne, których interpretatorami są sędziowie. To oczywiste anarchizowanie prawa i obalanie jego bezdyskusyjnych fundamentów.

Nie tylko u prawników jesteście na cenzurowanym. Słów krytyki nie szczędzą wam również etycy: prof. Magdalena Środa i prof. Jan Hartman. Środa, znana ze swojego antyklerykalizmu, ostatnio interpretowała nawet Słowo Boże...

Pani Środa jest gorącą zwolenniczką konwencji antyprzemocowej, zgodnie z którą rzekomo Kościół jest źródłem wszelkiego zła w rodzinie i przemocy wobec kobiet. Atakując wiarę, prof. Środa tym samym krzewi sowieckie metody pseudonauki i podobnie jak bolszewiccy „naukawcy", z braku argumentów, swoim adwersarzom przypisuje chorobę psychiczną i wysyła ich na leczenie, szczując na nich szeroko w mediach. To są ludzie chorzy z nienawiści.

„Uff! Nareszcie strajk przeciw PiS! Nie dajcie d! Dopiszcie nowe postulaty, jak w '80! Wolność słowa, prawda na lekcjach historii, świeckość szkolnej przestrzeni, wychowanie seksualne i antydyskryminacyjne, wartości konstytucyjne i europejskie w programach nauczania!" – ekscytował się niedawno prof. Hartman.

Pan Hartman, znany z poparcia dla kazirodztwa, nie będąc jednak znanym jako sympatyk antykomunistycznej opozycji, nie powinien zabierać dziś głosu. Historyczna Solidarność była nierozerwalnie związana z Kościołem. Hartman, jako antyklerykał, pewnie wolałby uczestniczyć w czarnej mszy niż we mszy świętej.

Czy można mówić o swego rodzaju „chorobie wściekłych profesorów", wściekłych z nienawiści?

Nie jestem psychologiem ani socjologiem, ale z pewnością są to ludzie chorzy z nienawiści nawet nie tyle do PiS, ile do swojej ojczyzny, do polskości, do wszystkich, którzy mają konserwatywne poglądy. Nadużywają swoich tytułów i stanowisk, aby szkodzić i kłamać o Polsce w Europie i na świecie. Ci lewaccy i anarchistyczni profesorowie są oikofobami, biorą pieniądze z zagranicy na oczernianie naszego kraju, będąc często na stypendiach fundowanych przez wrogów Polski.

Dlaczego intelektualiści z kręgów PiS nie mają takiej siły przebicia na Zachodzie? Dlaczego międzynarodowym poważaniem cieszą się Sadurski, Środa, Gersdorf, a nie Zybertowicz, Krasnodębski, Legutko? Może ci wasi profesorowie są zbyt łagodni, a przez to mało medialni?

Naukowcy właśnie tacy powinni być – nie tyle medialni, ile wiarygodni i wbrew wszystkiemu szukający prawdy.

Dlaczego zatem prof. Krystyna Pawłowicz używa ostrego języka wobec przeciwników?

Przykłady poproszę! Używanie przeze mnie języka dosadnego, barwnego, często żartobliwego nie może być uznane za równoznaczne z używaniem wulgaryzmów poniżających inne osoby. A że moje wypowiedzi są często trafne, jedyny argument, który przeciwko mnie się stosuje, to argument „wulgarnego i ostrego języka", mimo że nigdy nie używam wulgarnych określeń wobec innych osób.

„Wasza postawa jest postawą faszystów, którzy nie uznają demokratycznych wyborów" – powiedziała pani o opozycji. A jak PiS przykleja się łatkę faszyzmu, to jest afera... Może lepiej po prostu unikać tak brutalnych sformułowań w debacie publicznej?

Pojęcie faszyzmu nie jest pojęciem wulgarnym. Oznacza brutalny system. Moja wypowiedź jest formą jasnego, precyzyjnego nazwania działań przeciwnika. Nasi przeciwnicy często naprawdę stosują faszystowskie metody walki politycznej, manipulując faktami, kłamiąc na nasz temat, wykorzystując przemoc fizyczną i psychiczną – niszczą nasze biura. Tymi sposobami chcą siłą odsunąć nas od władzy, co jest typowe dla formacji faszystowskich.

Nazwała pani Rafała Trzaskowskiego „krzewicielem komuny i macania dzieci". Nie przesadziła pani?

Nie przesadziłam. Ja tylko precyzyjnie powtórzyłam program lansowany przez Trzaskowskiego z Karty LGBT, zalecający dosłownie naukę masturbacji dzieci od niemowlęctwa. Jest to przecież dosłownie macaniem dzieci. Jak to inaczej nazwać?! To jest pedofilia! Proszę mnie nie namawiać do politycznej poprawności i fałszowania języka.

Zawsze można to samo powiedzieć w łagodniejszy sposób.

Nasi przeciwnicy ciągle nas atakują raz faszystowskimi, raz komunistycznymi metodami. Ja to tylko dokładnie opisuję, i proszę mi tego nie zabraniać. Poza tym każe mi pan się tłumaczyć z moich wypowiedzi, zrównując mnie tym samym z profesorami naukowego palikotyzmu lub prawniczymi anarchistami.

Pani, jako profesor, powinna być mądrzejsza od swoich przeciwników i nie odpowiadać im na tym samym poziomie.

Jeszcze raz panu mówię, że nie odpowiadam na tym samym poziomie. Nie nazywam nikogo idiotą ani karłem, nie zachęcam do propagowania masturbacji dzieci ani kazirodztwa. Dzisiaj jestem przede wszystkim politykiem, nie uczę już młodzieży, dlatego mam prawo nazywać rzeczy po imieniu.

A jakie ma pani relacje z dawnymi kolegami w pracy na Uniwersytecie Warszawskim?

Nie utrzymuję żadnych kontaktów z nikim, od dawna jestem na emeryturze. Od ośmiu lat mam swoje środowisko w Sejmie, ale bardzo dobrze wspominam swą pracę uniwersytecką. Myślę, że studenci lubili mnie niezależnie od moich poglądów. Dodam jednak, że zawiodłam się na części moich byłych kolegów, którzy inicjowali zbiórkę podpisów pod petycją o wyrzucenie mnie z pracy, którą wykonywałam, będąc na emeryturze. Osobiście nie podpisywałabym podobnej petycji nawet przeciwko Marcinowi Matczakowi, którego uważam za wyjątkowego szkodnika.

Ci lewaccy i anarchistyczni profesorowie są oikofobami, biorą pieniądze z zagranicy na oczernianie naszego kraju, będąc często na stypendiach fundowanych przez wrogów Polski

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

WSTRZĄSAJĄCY WYWIAD Z ŻOŁNIERZEM NSZ PRZEŚLADOWANYM PRZEZ KOMUNĘ

Ronen Bergman – **Egzekutorzy z Mosadu**
Marcin Bartnicki – **Seks dla Izraela**
Piotr Zychowicz – **Wpadki zabójców z gwiazdą Dawida**
Sławomir Cenckiewicz – **Plusy i minusy „Kuriera"**
Sławomir Koper – **Żony i kochanki Sienkiewicza**
Sebastian Bojemski – **Zanim Hitler runie, śmierć komunie!**
Mikołaj Iwanow – **Żydowscy partyzanci Stalina**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Rasa Ariów i sieroty po Marksie**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 4e0c707824

Piotr Semka

Pięć uśmiechów losu dla PiS

FOT. ANDRZEJ IWANCZUK/REPORTER

Do eurowyborów pozostaje miesiąc. W warunkach kampanii to wieczność. Na razie jednak PiS-owi los sprzyja

Na nieco ponad cztery tygodnie przed 26 maja – datą eurowyborów – w kolejnych sondażach powtarza się wciąż ten sam wynik. PiS – ok. 41–42 proc., Koalicja Europejska na poziomie 37–39 proc. i wreszcie partia Wiosna na poziomie ok. 7–8 proc. Dwie kolejne siły – Kukiz'15 i Konfederacja – oscylują wokół progu wyborczego – Kukiz zazwyczaj powyżej progu i Konfederacja zazwyczaj poniżej. PiS utrzymał prowadzenie w większości sondaży, choć jest ono niewielkie – od 3 do 4 proc.

KORZYSTNE OKOLICZNOŚCI

W ciągu ostatniego pół roku opozycja parokrotnie miała wielkie nadzieje na osłabienie pozycji PiS. W listopadzie zeszłego roku, gdy Roman Giertych ujawnił nagrania szefa KNF sporządzone przez bankiera Leszka Czarneckiego, przedstawiano to jako ostateczny cios w wizerunek PiS jako partii czystych rąk, a wrażenie to próbowano wzmacniać jeszcze ujawnieniem wysokich pensji w NBP kierowanym przez Adama Glapińskiego. W styczniu 2019 r. – po zabójstwie Pawła Adamowicza – część polityków opozycji starała się obarczyć rządzącą partię winą za wzrost agresji w życiu publicznym. Także w styczniu 2019 r. „Gazeta Wyborcza" opublikowała zapis taśm nagranych przez Austriaka Geralda Birgfellnera w rozmowach z prezesem PiS. Nagrania te miały zniszczyć osobisty wizerunek Jarosława Kaczyńskiego jako osoby skromnej i niezamożnej.

Żaden z tych ciosów nie powalił PiS. Najbardziej dolegliwa była afera KNF, która nadal nie jest wyjaśniona, a najbardziej „przestrzelona" była domniemana afera z austriackim biznesmenem w tle. W przypadku śmierci prezydenta Gdańska PiS skutecznie zadbał o maksymalną powściągliwość w reakcjach i słowach. Prezydent i premier bez komentarza znieśli nawet lekceważące usadzenie ich poza pierwszymi ławkami w czasie mszy żałobnej w gdańskim kościele Mariackim. Najświeższym z ciosów, który miał powalić PiS, był strajk ZNP. Protest mógł wprowadzić szkoły w ostry kryzys, za który opinia publiczna mogłaby obciążyć rząd.

Jak się jednak okazało – arogancja części nauczycieli, która dopuszczała zerwanie egzaminów lub brak klasyfikacji maturalnej uczniów, wywołała irytację sporej części rodziców. Filmiki z przyśpiewkami strajkowymi, przebieranie się pedagogów za krowy – wywołały u wielu Polaków nie najlepsze wrażenie. A wsparcie dla nauczycieli ze strony KOD czy znanych aktorów dla strajku tylko zwiększyło wrażenie politycznego protestu. Mało trafna była też opinia publicystów wspierających opozycję, że nauczycieli potępił prawicowy lud pisowski. Jak wskazuje odległy od prawej strony portal Politykawsieci.pl: „Ponad 80 proc. wypowiedzi krytykujących strajk nauczycieli to młode matki politycznie neutralne lub lekko lewicowe z małych i średnich miast".

Drugą korzystną dla PiS okolicznością kampanii jest reaktywność Koalicji Europejskiej. Przy tak eklektycznym składzie KE musiała skupić się na ogólnikowych hasłach „powrotu do Europy" i walki z polexitem. PiS w tej sytuacji z łatwością przekierował uwagę Polaków na socjalne

eprasa.pl 4e0c707824

konkrety bezpośrednio wpływające na życie przeciętnego Kowalskiego, ze słynną piątką Morawieckiego-Kaczyńskiego na czele. Potrafił też narzucać własne tematy – od kampanii stołecznego ratusza na rzecz LGBT poprzez wolność Internetu do waluty euro.

Liderzy opozycji nie zrozumieli na czas, że rząd ma ważny instrument kształtowania przebiegu kampanii. Może zmieniać rzeczywistość „tu i teraz", a opozycja jedynie może obiecywać, że coś zrobi po przejęciu władzy. Na dodatek nie zauważają, że natężenie emocjonalnych ataków polityków KE na PiS różni się od poziomu emocji przeciętnego Polaka. Również takiego, którego partia Jarosława Kaczyńskiego mocno rozczarowała. Nawet życzliwy Platformie socjolog Janusz Czapiński w wywiadzie dla „Newsweeka" ostrzegł Grzegorza Schetynę, że budowanie Koalicji Europejskiej jedynie na nienawiści do PiS ma krótkie nogi.

Po trzecie – czas wykazał, że PiS nie musi się obawiać Wiosny Roberta Biedronia jako konkurenta we wrażliwości społecznej. Nowy ruch szybko stracił początkowy dynamizm. Kto dziś pamięta, jak w lutym tego roku lewicowy publicysta Galopujący Major ogłaszał, że oto PiS wyrósł skuteczny rywal potrafiący przebić „prezenty" rządzącej partii. Owszem Biedroń na paru wiecach „otwarcia" ogłaszał hasła typu emerytura obywatelska, ale szybko znudziła mu się rola czułego socjalnie progresisty, a w retoryce lidera Wiosny pojawiły się hasła antyklerykalne.

W kwestii polityki socjalnej PiS pozostał najbardziej wiarygodną partią.

Po czwarte – bardzo szybko zbladła powaga koalicji Konfederacji, czyli sojuszu Korwin-Mikkego, Liroya, Grzegorza Brauna i narodowców, do których dołączyła Kaja Godek – liderka akcji „Zatrzymaj Aborcję". Dla PiS było to wyjątkowo groźne zajście „z prawej".

Nagromadzenie tak dużej liczby bardzo różnych osobowości nie szło w parze z ujednoliceniem przekazu i pewnym wyciszeniem wyrazistości. Padły dość ostre deklaracje Brauna o potrzebie penalizacji homoseksualizmu. Pojawiły się twitterowe ataki Kai Godek na Marka Jurka, który po upadku inicjatywy Chrześcijańskiego Kongresu Społecznego wybrał start z list Kukiz'15. Takie niedojrzałe zachowania odstraszyły część konserwatywnych wyborców, którzy mogli poprzeć Konfederację zamiast PiS.

I wreszcie czynnik piąty – szybka i bezrefleksyjna obrona programów LGBT w warszawskim ratuszu podjętych przez Rafała Trzaskowskiego, co przesunęło PO na lewo. Był to wymóg rywalizacji z Wiosną, ale blok Schetyny odsunął się od wielkomiejskiego elektoratu mającego dystans do postulatów mniejszości seksualnych.

Cenę za obecność w KE w jakimś stopniu zapłaci też PSL. Wyborcy wiejscy mogą zapamiętać sobie drwienie z programów „świnia plus" i „krowa plus". Pseudośmieszne kpiny celebrytów z tych dopłat długo nie mogły doczekać się reakcji polityków PSL, na czele z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. A to przejmowanie przez PiS elektoratu wiejskiego może być istotne dla wyniku eurowyborów.

JAK NA POLU MINOWYM

PiS dotrwał bez większych wpadek do ostatnich czterech tygodni kampanii. Jednak przed wyborami miesiąc to niemal wieczność. „Walka będzie niezwykle twarda i wynik decydować się będzie do ostatniego dnia" – deklaruje Adam Bielan.

Największym zagrożeniem wciąż jest strajk nauczycielski. Ludwik Dorn wskazuje, że ostateczna ocena, kto zawinił w sporze o szkoły, wyklaruje się w trakcie rodzinnych dyskusji przy świątecznych stołach. „Nie można wykluczyć, że winą za zaburzenie spokoju dnia codziennego – a tym są perturbacje z egzaminami – może zostać obciążony jeszcze rząd jako siła posiadająca większą moc sprawczą w państwie".

Nikt w rządzącej partii nie wie, jak duża będzie grupa nauczycieli, których poczucie upokorzenia będzie pchało do dalszych protestów. Owszem, sporej części społeczeństwa ich działania będą kojarzyć się z akcjami KOD, ale wlekący się do wyborów konflikt będzie dla PiS kulą u nogi. Wciąż w każdej chwili jedna wypowiedź polityka PiS może dać paliwo opozycji do ataków. Tak było ze słowami senatora Grzegorza Biereckiego o „oczyszczaniu Polski z niegodnych ludzi".

W sztabie partii rządzącej dobrze zapamiętano sobie fatalny błąd z poprzedniej kampanii. Emisję klipu o uchodźcach, który rozeźlił i zmobilizował antypisowski elektorat wielkomiejski.

Politycy PiS głowią się, jakie pociski w wojnie propagandowej Koalicja Europejska i sprzyjające jej media szykują na ostatnie dni kampanii. Jeden trafny strzał – np. jakaś afera obyczajowa – może wysadzić PiS z siodła lidera.

Mniejsze znaczenie będzie miała opinia rzecznika TSUE w sprawie pytań prejudycjalnych, której ogłoszenie wyznaczono na 23 maja. Tu wszyscy wiedzą, że PiS jest na ścieżce wojennej z instytucjami UE i żadnego zaskoczenia nie będzie, choć opozycja z pewnością tę sprawę nagłośni.

Adam Hofman – były rzecznik PiS, a dziś PR-owiec – uważa, że kluczowe jest, ile osób z poszczególnych grup wyborców pójdzie głosować. „Podejrzewam, że w tej kampanii obie strony będą grały wygodnymi dla siebie sondażami, tak aby mobilizować swoich wyborców. Jak wyborcy z prawa będą mieli przekonanie, że jest wyraźna przewaga PiS – iluś ludzi zostanie w domu. Z kolei jeśli sondaże będą wskazywać remis z leciutką przewagą PiS – wyborcy niechętni PiS mogą się zmobilizować. Spece z obu sztabów będą kreować alarmujący przekaz »Wróg u bram!«" – wieszczy Hofman.

Ważne jest, z jakim wynikiem Wiosna przekroczy próg. Jeśli Biedroń zdobędzie więcej, niż wskazują sondaże – zabierze Schetynie szansę na pierwsze miejsce. Jeśli Konfederacja jest niedoszacowana i przejdzie próg wyborczy – zabierze głosy PiS-owi.

Czesław Bielecki, bystry obserwator życia politycznego, wskazuje, że rośnie liczba osób, które będą wybierać PiS jako mniejsze zło, a nie jak cztery lata temu – jako nadzieję na generalną zmianę w polskiej polityce. „Platforma to było osiem lat rządów bez wizji uzdrowienia państwa, ale z względnie niekonfliktowym zarządzaniem. Ten patent na uwodzenie Polaków wyczerpał się wraz z aferą taśmową. W wypadku PiS – do władzy doszła partia z wizją zreformowania państwa, ale z ograniczoną skutecznością w jej realizowaniu. To, że PiS wciąż jest pierwszy w sondażach, pokazuje, że partia Kaczyńskiego nadal ma jednak pewien kredyt zaufania".

Ludwik Dorn wskazuje z kolei, że ostra walka odbędzie się o elektorat lewicy, oceniany na ok. 15 proc. „W tej płytkiej wodzie łowią i Koalicja Europejska, i Wiosna, i partia Razem. Dla wszystkich głosów nie wystarczy. Ktoś musi ponieść porażkę".

Adam Bielan wskazuje na jeszcze jeden czynnik, który może zadecydować. To 10–15 proc. wyborców, którzy są niezdecydowani. Oni podejmą decyzję o pójściu na wybory lub pozostaniu w domu w ostatniej chwili. To na nich najsilniej oddziaływać będą sensacje odpalane w ostatnich dniach kampanii.

Ten, kto dostanie nawet jeden punkt procentowy więcej, ogłosi się zwycięzcą i faworytem jesieni.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

Niebezpieczny sojusz

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Łukasz Warzecha

Jasne jest, że PiS traktuje Solidarność jako swoje polityczne zaplecze. A może jest odwrotnie – może to związkowcy od Piotra Dudy uważają, że PiS jest ich ramieniem wykonawczym?

Biorąc pod uwagę, z jakim zapamiętaniem rząd obstaje przy całkowitej likwidacji niedzielnego handlu, można dojść do wniosku, że liderzy Solidarności mają prawo tak właśnie widzieć obecną władzę. Nie wiadomo natomiast, czy ktokolwiek w PiS analizuje obecną opłacalność tego sojuszu. Bilans mógłby być ujemny.

Wchodzenie w przymierze ugrupowania politycznego ze związkiem zawodowym jest zawsze trochę jak wchodzenie w sojusz z mafią przez kogoś, kto chce robić jednak legalne interesy. Owszem, w krótkim okresie może to pomóc osiągnąć doraźną przewagę nad konkurentami, ale też można mieć pewność, że mafia w którymś momencie upomni się o swoje i bezwzględnie wykorzysta swojego sojusznika.

Związek zawodowy kieruje się własną logiką, odmienną od logiki większości partii politycznych – chyba że mowa o partii obsługującej interes bardzo wąskiej i bardzo konkretnej grupy obywateli. Związek zawodowy z zasady nie patrzy ani na państwo, ani na gospodarkę jako na całość. Interesuje go tylko sytuacja jego własnych członków. Jest, rzec by można, zawodowym wydzieraczem państwowego sukna. Do tego należy doliczyć czynnik ludzki: wielkimi związkami zawodowymi rządzą, na ogół po wiele kadencji, zawodowi działacze, którzy w swoich profesjach nie pracowali od wielu lat. Żyją ze związkowych pensji i zależy im, żeby stołki utrzymać.

Piotr Duda dopiero co został wybrany na kolejną, trzecią już kadencję, zapewne w dużej mierze dzięki doprowadzeniu do uchwalenia zakazu handlu w niedzielę. PiS spłacił w ten sposób polityczny dług wobec Dudy za poparcie w 2015 r. Tym razem jednak Duda porządzi sobie w związku dłużej, bo specjalnie na jego potrzeby zmieniono statut organizacji i teraz kadencja będzie nie cztero-, lecz pięcioletnia.

ZAWÓD ZWIĄZKOWIEC

Duda ostatni raz w swoim zawodzie tokarza pracował w połowie lat 90. Gdy dobrych już parę lat temu, jeszcze podczas jego pierwszej kadencji, gościłem przewodniczącego Solidarności w studiu Wirtualnej Polski i zapytałem go, kiedy po raz ostatni stał przy maszynie, bardzo się zdenerwował. Nic dziwnego – takie pytania zawsze irytują zawodowych związkowców.

Założenie będące podstawą sojuszu związku z partią polityczną jest proste: związek ma przyprowadzić do urn swoich członków, a partia, jeśli wygra, ma spełniać żądania związkowców. Czy jednak ma to sens? Solidarność ma ok. 600 tys. członków (choć ta liczba po ostatnich wydarzeniach związanych ze strajkiem nauczycieli może zacząć spadać). To oczywiście znacząca liczba,

eprasa.pl 4e0c707824

ale czy władze związku mają faktycznie wpływ na sposób głosowania większości z nich? To nie do sprawdzenia. Można jednak też spytać inaczej: czy opłaca się płacić za poparcie, które miałoby się i tak? PiS usytuował się przecież jednoznacznie w spektrum politycznym jako ugrupowanie socjaldemokratyczne. Przy względnie konserwatywnym nastawieniu do spraw światopoglądowych można założyć, że jest i tak partią pierwszego wyboru dla bardzo dużej części członków Solidarności, nawet bez jakichkolwiek umów z kierownictwem związku. Tymczasem opłacenie poparcia Dudy zakazem handlu w najbardziej restrykcyjnej i nieelastycznej postaci może zrazić inną grupę wyborców lub zmobilizować ją do głosowania przeciwko PiS.

Twarda postawa minister Jadwigi Emilewicz w sprawie niehandlowych niedziel może wskazywać, że rząd boi się, iż sojusznik zmieni się w przeciwnika. A jest to prawdopodobne, bo liderzy Solidarności balansują pomiędzy politycznym dilem z rządzącymi a zapotrzebowaniem swoich członków i muszą te dwa czynniki równoważyć, jeżeli nie chcą utracić zaufania działaczy. Cierpliwość szeregowych związkowców może się zaś wyczerpywać. Ich oczekiwania zostały rozbudzone na dwa sposoby: po pierwsze – poprzez przekonanie, że Duda ma rząd w kieszeni i zawsze dostanie to, czego się będzie domagał; po drugie – przez nieumiarkowane opowieści władzy o gigantycznym sukcesie gospodarczym i finansowym.

Paradoksalnie wydarzenia związane ze strajkiem nauczycieli tworzą dla przymierza Solidarności z rządem poważne zagrożenie. Do protestu przystąpiły trzy centrale związkowe, ale tylko Krajowa Sekcja Oświaty i Wychowania Solidarności pod kierownictwem Ryszarda Proksy, prywatnie radnego PiS w Ostrowcu Świętokrzyskim, podpisała porozumienie. Proksa został szefem nauczycielskiej sekcji Solidarności po raz trzeci w ubiegłym roku, ma więc typowy dla zawodowych związkowców długi staż. Jednak jego separatystyczny „pokój" z rządem może narobić mu problemów w związku.

Po pierwsze, może spowodować masowe odejścia z Solidarności do ZNP – wszak dla zrzeszonych w związkach liczy się dzisiaj przede wszystkim skuteczność (inna sprawa, że skuteczność ZNP też nie jest oszałamiająca), a nie pompatyczne przemówienia Dudy o solidarnościowym etosie. Tym bardziej że nauczyciele z Solidarności, którzy przecież mentalnością nie różnią się jakoś specjalnie od swoich kolegów z innych związków, także uważają, że to „walka o godność", zaś występ Proksy, nawet dla tych, którzy strajku nie popierają, musiał być żenujący.

Po drugie, ci, którzy w Solidarności pozostaną, będą prawdopodobnie próbowali Proksę odwołać – a to byłby już otwarty bunt związkowych dołów przeciwko związkowej elicie i układowi Dudy. O tym, czy przewodniczący oświatowej Solidarności pozostanie na stanowisku, za kilka miesięcy może zdecydować zwołany specjalnie w tym celu zjazd delegatów związku.

Dlaczego wszystko to jest złą wiadomością dla rządu? Ponieważ oznacza, że kierownictwo związku będzie prawdopodobnie musiało utwardzić swoje stanowisko. Duda widzi, że w przypadku strajku nauczycieli współdziałanie z władzą było zbyt ostentacyjne, więc żeby nie stracić wiarygodności, będzie musiał naciskać gdzie indziej. Na przykład w kwestii wynagrodzeń administracji publicznej (jej urzędnicy, zgodnie z polskim prawem, nie mają prawa do strajku, ale mogą przecież protestować na inne sposoby), w której pensje faktycznie nie były od dawna podnoszone. Dla zwolenników choćby poluzowania zakazu handlu to z kolei bardzo złe wieści, bo jeżeli rząd nie jest w stanie zapewnić ustępstw wobec ewentualnych żądań płacowych Solidarności np. w tej sprawie, to będzie to kompensował trwaniem przy najostrzejszej postaci zakazu handlu, żeby przynajmniej tutaj nie uderzać w Dudę.

NIE TYLKO ZAROBKI

Tymczasem problemy szykują się i na innych polach. Wrócił dopiero co temat zniesienia limitu 30-krotności przy składkach na ZUS, co oznaczałoby, że najlepiej zarabiający etatowcy mieliby netto kilka, a nawet kilkanaście tysięcy złotych mniej rocznie. Ustawę odesłał do Trybunału Konstytucyjnego jeszcze w styczniu 2018 r. prezydent, nie zakwestionował jednak jej istoty, lecz tylko tryb procedowania. TK wydał niekorzystne dla ustawodawcy orzeczenie pod koniec ubiegłego roku i wydawało się, że sprawa upadła. Aż do teraz. Co ciekawe, krytyczna była wobec niej od samego początku właśnie Solidarność. Złośliwi twierdzili, że to dlatego, że zniesienie limitu uderzyłoby w działaczy, bardzo dobrze zarabiających na związkowych etatach. Jeżeli PiS faktycznie będzie chciał do pomysłu wracać – a przecież kasa jest pilnie potrzebna na coraz hojniejszy socjal – może skonfrontować się z Solidarnością.

W sprawach czysto politycznych przymierze rządzących ze związkiem Dudy nie budzi chyba niczyich wątpliwości. Rząd wojuje z obecnym kierownictwem Europejskiego Centrum Solidarności – i wojuje z nim także Solidarność. W piśmie skierowanym do szefa ECS Basila Kerskiego Piotr Duda oznajmia, że brak akceptacji związku dla działań Centrum oznacza wycofanie zgody na korzystanie przez tę instytucję ze znaku graficznego Solidarności (poza wystawą stałą).

SPÓR O DZIEDZICTWO

Ten spór – poza tym, że sprzyja działaniom rządu w sprawie gdańskiej instytucji – dotyka jeszcze jednego czułego punktu: wykorzystywania w swoich bieżących politycznych działaniach przez Solidarność historycznego dziedzictwa. Jest to kwestia, najdelikatniej mówiąc, wątpliwa, bo dzisiejszy związek z tym z czasów komuny nie ma w zasadzie nic wspólnego. Dzisiaj Solidarność to już nie jest masowy ruch społeczny, łączący najróżniejsze postaci, ale klasyczny roszczeniowo nastawiony związek zawodowy, nawiązujący polityczne sojusze w ramach wyniszczającego konfliktu politycznego.

Jeśli mowa o ECS, nie ma wątpliwości, że Centrum w tym konflikcie także bierze udział po jednej ze stron. Nie zmienia to jednak faktu, że dzisiaj wykorzystywanie przez związek kierowany przez Dudę argumentu o historycznym dziedzictwie, z czego wynikać ma m.in. wyłączne prawo do rozporządzania znakiem graficznym Solidarności, wydaje się naciągane. Wyjściem byłoby być może przekazanie praw do tego, co przekracza zakres działania dzisiejszej Solidarności (m.in. do historycznego logo), specjalnie powołanej instytucji, której zarząd godziłby różne poglądy i wybory. To jednak z całą pewnością nie jest możliwe przy obecnej władzy – krajowej i tej w związku.

Jeżeli zaś dojdzie do procesu o znak Solidarności między związkiem Dudy a ECS, to będzie to bez wątpienia interesujące widowisko sądowo-polityczne z nieoczywistym finałem. ©℗

Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

Kamila Baranowska

Strajkowe szlagiery

Popisy, nie tylko te wokalne, części strajkujących nauczycieli pokazały, jak istotny w debacie o przyszłości polskiej edukacji jest temat jakości kadry nauczycielskiej

Filmik, na którym uczniowie jednego z liceów proszą swoją nauczycielkę o informację, co będzie z ich maturami i ocenami końcowymi, argumentując, że chodzi o ich przyszłość i że chcieliby wiedzieć, na czym stoją, a w odpowiedzi słyszą: „Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie" był jednym z szerzej komentowanych w kontekście nauczycielskiego strajku. Zwłaszcza że nauczycielka nie starała się wykazać zrozumienia dla argumentów swoich uczniów, odesłała ich do… minister Zalewskiej i premiera, który „nie chce z nami rozmawiać".

Kolejne dni strajku nauczycieli przynoszą zupełnie nieoczekiwane skutki uboczne. Dobrze ujął to aktor Redbad Klynstra-Komarnicki. „Rozumiem, że jednym z efektów ubocznych strajku nauczycielskiego jest to, że rodzice są w stanie lepiej poznać nauczycieli swoich dzieci: ich światopogląd, mocne i słabe strony, poziom intelektualny, kulturę osobistą i świadomość polityczną. To chyba jakaś wartość, prawda?" – zapytał retorycznie na Twitterze.

OBCIACH I GROTESKA

Trudno powiedzieć, co myśleli sobie nauczyciele nagrywający i wrzucający do Internetu swoje „protest songi". Miało być fajnie i na luzie, wyszło obciachowo i groteskowo. „Reforma się nie udała, nic nam nie zostało. Świnia z krową więcej warte" – śpiewają nauczyciele z podstawówki w Poznaniu, a w momencie wyśpiewywania ostatniego zdania w kadr wkracza jeden z nich: na czworaka, w przebraniu krowy i mucząc w takt piosenki. „Są tacy, to nie żart, dla których jesteś wart, mniej niż krowaaa, mniej niż krowaaa, mniej niż krowaaa, mniej niż krowaaaa" – śpiewają z kolei na melodię piosenki Lady Pank „Mniej niż zero" nauczyciele z Zielonej Góry. Krowa, w związku z obiecanymi przez Jarosława Kaczyńskiego dopłatami dla rolników, stała się już stałym motywem strajkowych piosenek. „Belfer nie świnia. Belfer dzisiaj zerem jest. I choć się stara, jak może, krowa dziś ważniejsza rzecz" – tak utwór zespołu Big Cyc „Facet to świnia" przerobili nauczyciele z Kielc.

Popisy wokalne nie są jednak największym rozczarowaniem, jeśli chodzi o strajkującą kadrę nauczycielską. To, co uderzyło najbardziej, to podejście części strajkujących do kolegów nauczycieli, którzy do strajku nie dołączyli. Wszystkich tych, którzy wbrew strajkowi postanowili umożliwić gimnazjalistom i ósmoklasistom zdanie egzaminów końcowych, okrzyknięto mianem „łamistrajków". Na słowach jednak nie poprzestano.

„Szpaler ubranych na czarno nauczycieli ustawił się w środę rano przy wejściu do jednej z sosnowieckich szkół i w milczeniu witał osoby spoza placówki, które zgłosiły się do pracy w zespole nadzorującym przebieg egzaminu gimnazjalnego. W ten sposób strajkujący okazali dezaprobatę łamistrajkom" – pisała „Gazeta Wyborcza", relacjonując sytuację w jednej z sosnowieckich szkół. – To manifestacja żałoby po zniszczonej godności wszystkich pracowników

eprasa.pl 4e0c707824

– tłumaczyła szefowa tamtejszego oddziału ZNP. Ich zachowanie oburzyło nawet prezydenta miasta Arkadiusza Chęcińskiego (jest z Platformy), który powiedział, że kojarzy mu się z najgorszymi czasami w polskiej historii.
– Takie traktowanie osób, które przyszły do szkoły po to, aby umożliwić uczniom przystąpienie do ich pierwszego w życiu egzaminu, szokuje. Wspieramy nauczycieli i będziemy to robić nadal, dlatego mamy nadzieję, że był to jednostkowy przypadek – stwierdził.

Warszawa, 17 kwietnia. Demonstracja nauczycieli przed MEN FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

Podobna sytuacja miała miejsce w jednej ze szkół w Legnicy, gdzie nauczyciele ustawili się po obu stronach wejścia do sali, w której miały się odbyć egzaminy gimnazjalne i „witali" nauczycieli, którzy zgodzili się wziąć w nich udział buczeniem i niepochlebnymi komentarzami. „Szłam przez ten szpaler, dławiąc się własnymi łzami. Widziałam pogardę w oczach moich koleżanek" – napisała później na Facebooku jedna z nauczycielek, która brała udział w egzaminie. „Kiedy o tym myślę, łzy same płyną. Kiedy rozpoczął się egzamin, przez pół godziny płakałam i tylko rozum kazał mi się pozbierać dla tych dzieci". Podobne szpalery wstydu robiono w wielu innych szkołach. „Tylko świnie pilnują na egzaminie!" – to z kolei plakat ze szkoły w Szczecinie.

Skąd tak mało eleganckie, a często agresywne zachowania strajkujących? Trudności w przeprowadzeniu egzaminów, a nawet fakt, że w ogóle się nie odbędą (lub zostaną przesunięte), miał być jednym z elementów nacisku na rząd, by przychylniej spojrzał na postulaty środowiska nauczycielskiego. Kiedy udało się zgromadzić wystarczającą liczbę nauczycieli i egzaminy się odbyły bez większych przeszkód, złość strajkujących skupiła na właśnie na nich.

W Gorzowie Wielkopolskim doszło do sytuacji, w której wspierająca strajk grupa aktywistów Komitetu Obrony Demokracji przyszła pikietować pod szkołą w czasie egzaminów. Puszczali pod oknami odgłosy świń i krów, co spotkało się z pozytywną reakcją strajkujących nauczycieli, którzy zaczęli bić im brawo.

Po takich wydarzeniach trudno wyobrazić sobie, jak będą wyglądały relacje tych nauczycieli już po zakończeniu strajku. O tym, jaki przykład daje to dzieciom i młodzieży, nawet nie wspominając. Jak szkolna młodzież ma poważnie traktować nauczyciela, który muczy w przebraniu krowy? Jak mają go poważnie traktować potem rodzice? Jak nauczyciele, którzy obrażają dziś swoich kolegów i urządzają im szpalery wstydu, chcą mówić uczniom o szacunku dla drugiego człowieka?

Widocznie podobne pytania zaczęli zadawać sobie rodzice. Z ostatniego sondażu Kantar Public dla „Faktów" TVN wynika, że poparcie dla strajku nauczycieli spada, a przeciwników protestu jest już więcej niż zwolenników (większość badanych, bo 49 proc. odpowiedziało, że nie popiera strajku nauczycieli, poparcie dla strajku wyraża 47 proc.). Najwięcej osób – 36 proc. – uważa też, że za brak porozumienia odpowiadają obie strony po równo. Te wyniki powinny dać środowisku nauczycielskiemu do myślenia, zwłaszcza jeśli chodzi o pojawiające się pomysły z niedopuszczeniem uczniów do matur.

OBROŃCY WSZYSTKIEGO

Emocje, które wywołał strajk nauczycieli, rozłożyły się po linii politycznej. „Nie strajkujesz, znaczy, że jesteś za PiS" – ten automatyzm myślenia i oceniania od razu wyklucza inne motywacje, takie jak odpowiedzialność za uczniów czy chęć oszczędzenia im dodatkowego stresu, jakim byłoby odkładanie egzaminów w czasie. Ten sam automatyzm obowiązuje w przypadku sympatyków strajku i tych, którzy krytykują jego formę, nawet jeśli zgadzają się co do tego, że nauczyciele powinni zarabiać więcej. „Nie popierasz nauczycieli? Jesteś PiSior". Proste i sprawdzone chwyty są najlepsze, bo skuteczne.

W najbardziej jaskrawy sposób widać to wśród gwiazd i gwiazdeczek show-biznesu, które od razu wyczuwają, po której stronie warto stanąć. Bycie anty-PiS zawsze się w show-biznesie opłacało bardziej, toteż teraz, gdy PiS rządzi, mamy istny wysyp obrońców sądów, puszczy, dzików, konstytucji, demokracji, a teraz nauczycieli do kompletu. Zmieniają się tylko nakładki na facebookowych i instagramowych profilach. Rzadko zdarzają się głosy rozsądku, tak jak ten modelki Violi Kołakowskiej, która nie tylko poszła wbrew swojemu środowisku w ocenie strajku, ale jeszcze wyśmiała wszystkich tych, którzy wypowiadają się w temacie, o którym nie mają pojęcia. „Czasami mniej znaczy więcej, naprawdę, dobrze czasem pomilczeć... Jak ja słyszę, jak wypowiadają się na temat strajku nauczycieli osoby, które nie mają dzieci w szkole, to robi mi się słabo!" – napisała na swoim Instagramie. Stwierdziła też, że nauczyciele powinni godnie zarabiać, podobnie jak lekarze, bo to też zawód z powołaniem. „Czy ktoś jednak pomyślał, że wszystko, co się teraz dzieje, jest kosztem naszych dzieci, które w tym momencie są totalnie pominięte. Nie mają zajęć, szkoły i obowiązku, który jest najważniejszym dla nich i każdego dnia staramy się im to przekazywać. Jaki więc dajemy przykład? Dlaczego teraz, w najważniejszym momencie roku szkolnego? Czy to nie aby skrajny egoizm?" – pyta. „Jak zwykle wszystko odbywa się czyimś kosztem, szkoda, że tym razem to są dzieci, i że ci, którzy nie powinni się na ten temat wypowiadać, robią pokazową szopkę" – kończy swój wpis.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

Marcin Makowski

Marek Magierowski ambasadorem w Izraelu jest niecały rok, a ma za sobą wiele imponujących akcji w mediach i Internecie. Czy to dobry pomysł na dyplomację?

Ambasador z refleksem

Był poranek 20 lutego. Kilka dni po konferencji bliskowschodniej, słowach szefa izraelskiego MSZ o „antysemityzmie wyssanym z mlekiem polskich matek", ostentacyjnym zachowaniu Beniamina Netanjahu w Warszawie i odwołaniu wizyty premiera Mateusza Morawieckiego na szczycie V4 w Jerozolimie. W przeciwieństwie do kryzysu wywołanego nowelizacją ustawy o IPN ponad rok wcześniej, tym razem światowa opinia publiczna w dużej mierze sympatyzowała z Polską. W takich okolicznościach odezwał się do mnie znajomy izraelski dziennikarz. „Widziałeś to już? Dzisiaj temat numer jeden w naszych mediach" – wyświetlił mi się komunikat na WhatsAppie, a w nim link do Jewish Telegraphic Agency – jednej z największych na świecie i najstarszych żydowskich agencji informacyjnych.

Nagłówek bił po oczach sensacyjną informacją o „zdewastowaniu żydowskiego cmentarza w Świdnicy", a w treści uzupełniał, że incydent wydarzył się w odpowiedzi na „narastające napięcie na linii Polska–Izrael". Rzecz zobrazowana zdjęciem z poprzewracanymi nagrobkami obiegła czołowe media w Izraelu: od „Jerusalem Post" do „The Times of Israel". Oburzenie na „polski antysemityzm" stopniowo rozlewało się po mediach społecznościowych i wychodziło poza granicę bilateralności. Ponieważ żadne polskie portale czy gazety nie pisały ani słowem o przestępstwie, a zdjęcie wydawało się nienaturalnie słoneczne jak na porę roku, postanowiłem działać. Okazało się, że fotografia pochodzi nie ze Świdnicy, ale z Olkusza z kwietnia 2015 r. i dotyczy… satanistycznego aktu wandalizmu. Czym innym było jednak opisanie fake newsa na Twitterze, a czym innym powstrzymanie jego rozprzestrzeniania u źródeł. W tym momencie na scenę wkroczył ambasador Marek Magierowski.

Wysłałem mu opis sytuacji, a po trzech minutach dostałem odpowiedź: „Dzwonimy do Świdnicy. Zdjęcia podejrzane, z lata lub wiosny". Dwie godziny później żydowska agencja informacyjna, postawiona na nogi przed czwartą rano czasu nowojorskiego, gdzie mieści się jej siedziba, pisała o swoim błędzie, prostując wcześniejszą depeszę. W tekście wypowiadał się polski ambasador, jego słowa potwierdzał prezydent Świdnicy, o kłamstwie mówił również prezes Związku Żydowskich Gmin Wyznaniowych. – Cały Marek. W sytuacjach kryzysowych nie traci głowy, nie czeka na instrukcje, tylko działa – mówi mój rozmówca z kręgów dyplomatycznych.

NOWOCZESNA DYPLOMACJA

Na tle dotychczasowych polskich ambasadorów Magierowski błyszczy znajomością medialnych labiryntów. Był m.in. szefem działu zagranicznego „Newsweeka", wicenaczelnym „Rzeczpospolitej". Pracował też w „Do Rzeczy", był stałym felietonistą i publicystą naszego tygodnika, zajmował się głównie kwestiami cywilizacyjnymi. Jednak wyróżnia go coś jeszcze. – Ambasadorowie muszą znać języki, ale Magierowski w tym gronie zdecydowanie się wybija. To po prostu poliglota – mówi Sławomir Dębski, szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych. Aby zrozumieć, o czym mowa, wystarczy obejrzeć wywiad o ustawie IPN dla telewizji iNews24, którego udzielił w marcu w języku hiszpańskim, opowiadając o zawiłościach polityki historycznej z nienagannym akcentem i emfazą. Oprócz tego Magierowski biegle posługuje się angielskim, francuskim, niemieckim, włoskim, katalońskim, portugalskim i uczy się hebrajskiego. – Marek często na prywatne albo nieformalne spotkania przychodzi w charakterystycznie rozpiętej pod szyją koszuli. Żartujemy sobie z niego, że ma styl amanta – znajoma z mediów. – Typ sportsmana, zawsze fit. Jeździł na łyżwach, biega, pływa – mówi rozmówca z Pałacu. – Magierowski to niewątpliwie indywidualność – zapewnia Wojciech Kolarski, podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta.

Swoją skuteczność opierając na charyzmie i sprycie, w jakimś sensie podąża jednak przetartą ścieżką. Opisał ją w szczegó-

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. ANDRZEJ HULIMKA/REPORTER

łach inny ambasador, mianowany w 2011 r. w wieku 36 lat na przedstawiciela Wielkiej Brytanii w Libii – Tom Fletcher. Spędzając na placówce najintensywniejszy okres arabskiej wiosny, stanowiącej pierwszą rewolucję transmitowaną i prowadzoną przy użyciu mediów społecznościowych, siłą rzeczy musiał zacząć mówić nie tylko dyplomatycznym żargonem, lecz także językiem cyfrowym. To, czego się nauczył, opisał w książce „Naked Dyplomacy" („Naga dyplomacja"), stanowiącej dzisiaj rodzaj podręcznika dla ambasadorów niebojących się wychodzić poza kanon.
– Żyjemy w świecie, w którym Twittera używają przywódcy państw. Oczekiwanie, że dyplomacja nie będzie się dostosowywać do wymogów współczesności, byłoby niedorzeczne – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" Jakub Kumoch, również aktywny w Internecie ambasador RP w Szwajcarii, były dziennikarz.

– Magierowski to przede wszystkim osobowość, a to otwiera mu wiele drzwi w jego pracy. Zabawny, bystry i komunikatywny facet, który nie zachowuje się jak polityk albo nudny, zblazowany dyplomata – opowiada Ofer Aderet, reporter izraelskiego dziennika „Haaretz".

Ludzie tacy jak Fletcher, Kumoch czy Magierowski stanowią w tym zawodzie mniejszość. Jak mówi mi ambasador Polski w USA prof. Piotr Wilczek, większość jego kolegów z korpusu dyplomatycznego w Waszyngtonie nie prowadzi nawet osobnej komunikacji w sieci, a jeżeli już, to ogranicza się do formalnych ogłoszeń: gdzie byłem, co robiłem, jakie przemówienie wygłosiłem. – Pod tym względem Magierowski przypomina mi Richarda Grenella, ambasadora Stanów Zjednoczonych w Niemczech – twierdzi Wilczek, który dodaje, że bez względu na to, czy to się komuś podoba, czy nie, dyplomacja stopniowo zmienia swój charakter. – Kiedyś przesyłano fizyczne depesze, którymi zajmowało się wiele osób, dzisiaj mamy komunikatory, e-maile, dziesiątki kanałów wymiany informacji. Dlatego pojawia się dylemat; na ile ambasador ma prowadzić rozmowy w sposób poufny, a na ile wykorzystywać media społecznościowe do dyplomacji publicznej i kwestii politycznych? – zastanawia się przedstawiciel Polski w Ameryce. Jego zdaniem Magierowski dobrze odnajduje proporcje, będąc „pragmatycznym, bezproblemowym i otwartym" w tym, co należy do istoty jego zadań. – Moim zdaniem tego typu umiejętności powinny być szkolone i przyswajane przez wszystkich dyplomatów, a tego się niestety nie robi – słyszę z kolei od Sławomira Dębskiego.

– Myślę, że pewnym problemem dla Marka jest brak doświadczenia w dyplomacji i pracy w administracji. Tutaj chodzi o głębsze rozumienie procesów politycznych, powiązanie ich ze strategią państwa średniego, o określonych wyzwaniach i określonej predestynacji. Inną cechą jest wyjątkowa wrażliwość, rzekłbym nadwrażliwość na sprawy wizerunkowe. Trochę jest niewolnikiem pruderii wizerunkowej. Niekiedy trzeba zaryzykować odważny nieszablonowy ruch – zauważa inny rozmówca „Do Rzeczy", od lat w resorcie spraw zagranicznych.

CZEGO CHCE MAGIEROWSKI?

Były jednak i problematyczne momenty, m.in. wówczas, gdy Magierowski wszedł w polemikę z amerykańskim senatorem i kandydatem na prezydenta Bernim Sandersem. W odpowiedzi na jego tweet o „polskim przedwojennym antysemityzmie", w wyniku którego ucierpiała jego rodzina, następnie „wymordowana przez nazistów", Magierowski odparł: „Dziękuję bardzo za ten tweet Panie Sanders. Doskonale ilustruje niebezpieczeństwa semantycznego zamieszania. Jeśli jednak nalega Pan, aby używać terminu »naziści« zamiast »Niemcy«, dlaczego nie użyć pełnej nazwy: Narodowo-Socjalistyczna Niemiecka Partia Robotnicza?".

– To przecież nie były jego kompetencje. Czy polski dyplomata w Izraelu ma komentować słowa amerykańskich polityków? Poszczególne placówki nie powinny wkraczać w swoje prerogatywy – słyszę od informatora.

eprasa.pl 4e0c707824

– Współczesny ambasador musi mieć świadomość siły rażenia wiadomości elektronicznej, która może być zmultiplikowana w krótkim czasie i tym samym odnieść zwielokrotniony efekt. Nie oznacza to rezygnacji z tradycyjnych instrumentów: zamkniętego dialogu politycznego, poufnych rozmów gabinetowych, formalnych konsultacji międzyrządowych – twierdzi jednak inny rozmówca „Do Rzeczy", były współpracownik Magierowskiego, który uważa, że ambasador w Izraelu dobrze czyta te różnice i nie zaniedbuje zakulisowych negocjacji.

– Marek okazał się znacznie sprytniejszym i planującym do przodu graczem, niż wiele osób się spodziewało. Myślałam, że zostanie zjedzony w bieżących grach politycznych, a dzisiaj bierze na siebie ciężar kierowania jedną z najtrudniejszych placówek na świecie. Jak na faceta spoza PiS, spoza kręgu zaufanych ludzi prezesa, to jest duży awans – mówi mi jedna z dziennikarek dużej komercyjnej telewizji, znajoma Magierowskiego.

Jak twierdzą inni informatorzy, zaznajomieni z pracą ambasady w Tel Awiwie, dla Magierowskiego ważną częścią działalności jest utrzymywanie dobrych kontaktów z partnerami z Unii Europejskiej. Wiele wysiłku wkłada w budowanie relacji z Emanuele Giaufretem, Włochem, szefem Delegatury UE w Izraelu i ambasadorami najważniejszych państw unijnych.

– Magierowski chce pokazać, że Polska to ważny gracz w Europie. Przed konferencją bliskowschodnią zorganizował briefing dla przedstawicieli unijnych, niedawno w jego rezydencji odbyło się seminarium na temat przyszłości stosunków Unia–Izrael. Myślę, że dla niego istotne jest to, jakie będą relacje między naszymi państwami za 20, 30 lat, a nie za miesiąc czy dzień – opowiada mój rozmówca z Tel Awiwu, który zaznacza, że cała placówka mocno inwestuje w rozmowy z młodymi Izraelczykami, opowiadając im o współczesnej Polsce przez pryzmat kultury, sportu, gier czy nowoczesnych technologii.

– Od momentu przejęcia placówki Marek Magierowski wprowadził wiele innowacyjnych inicjatyw budujących wizerunek Polski jako nowoczesnego kraju, przyjaznego biznesowi. Jego nieformalne podejście do spraw i otwartość dobrze pasują do charakteru tutejszych przedsiębiorców – chwali ambasadora Elroy Knebel, szef Polsko-Izraelskiej Izby Handlowej.

– On stara się patrzeć na szerszy obraz, żydowską kulturę i teraźniejszość, co motywuje również nas do bycia bliżej polskiej kultury. Jest wielu innych ambasadorów, ale on jest unikatowy, bo naprawdę stara się zrozumieć Izrael i traktuje swoją pracę serio. A przecież to jest trudne. Wiemy, przez jakie problemy przechodzimy – dodaje Lea Ganor, dyrektorka Mashmaut Center, regionalnego ośrodka edukacyjnego w Kiryat Motzkin, współpracująca z ambasadą w Tel Awiwie. Są jednak i tacy, którzy widzą sprawy w nieco ciemniejszych odcieniach.

POPULARNY W SIECI

Nieszablonowe posunięcia i duża popularność w sieci w kręgach MSZ wzbudzają różne opinie. – Marek był zafiksowany na swojej karierze dyplomatycznej – słyszę od jego byłego współpracownika. – To fascynujące, bo nagle dał się poznać jako specjalista od mediów społecznościowych, a wcześniej nie było tego widać. Myślę, że w końcu znalazł swoje miejsce, tylko kluczowe pytanie brzmi: Czy Marek Magierowski w Izraelu jest ambasadorem Marka Magierowskiego w Polsce czy ambasadorem Polski w Izraelu? Większość jego działań jest robiona tak, że trafia na polski rynek – wskazuje rozmówca „Do Rzeczy". Wbrew pozorom również w kręgach dyplomatyczno-ministerialnych często na poważnie podnosi się zagadnienie skuteczności ambasadora, mierzonej jego popularnością. Na ile te rzeczy się uzupełniają, a na ile wykluczają?

Pochwalne opinie o polskim ambasadorze w Izraelu wychodzą z ust szefa „Jerusalem Post" oraz wielu innych reporterów

– Marek dusił się w swojej funkcji w pałacu, był nastawiony na osobisty sukces, co nie jest niczym złym, ale w działalności publicznej czasami należy poświęcać własne korzyści albo ujmować je w interes ogólny instytucji, dla której się pracuje – opowiada dyplomata z długim stażem.

– Lubię go i cenię, uważam, że dobrze się sprawdza jako ambasador. W pałacu był solidnym rzecznikiem. Mam wrażenie, że dopóki Krzysztof Szczerski zajmował się sprawami zagranicznymi, a Marek Magierowski był dyrektorem biura prasowego podlegającym bezpośrednio pałacowi dopóty, dopóki nie było żadnego pola do konfliktu. Sprawy zaczęły się nieco sypać, gdy on został podporządkowany Szczerskiemu – relacjonuje współpracownik prezydenta. Według innego rozmówcy momentem przełomowym było zatrudnienie na stanowisku rzecznika Krzysztofa Łapińskiego. – Gdy Magierowski się o tym dowiedział, stwierdził, że nie będzie pod Łapą pracował, i rzucił robotę bez zapowiedzi – twierdzi. – Magierowski miał chrapkę na stanowisko Szczerskiego i minimalizował jego obecność w mediach – mówi jeden z ministrów.

– A może ludzie z branży tak mówią, bo zazdroszczą? Nie przeceniałbym profesjonalizmu polskiej dyplomacji – odbija jednak piłeczkę ekspert ds. międzynarodowych.

Pytani o działalność Marka Magierowskiego w Izraelu dziennikarze nie mają przecież interesu w tym, aby go chwalić. A pochwalne opinie wychodzą z ust zarówno szefa „Jerusalem Post" Yaakova Katza, jak i wielu innych reporterów. – Przed Magierowskim nie czułem, aby ambasada była zainteresowana pracą z naszymi mediami, nie prowadziła dialogu w momencie kryzysu wokół ustawy o IPN. Marek jest na tyle widoczny, na ile powinien być ambasador, ludzie, którzy interesują się relacjami polsko-żydowskimi, na pewno go znają. Umie walczyć o polskie sprawy, jest bardzo pomocny we współpracy z dziennikarzami – przekonuje Ofer Aderet.

– Nie miałem go jeszcze szansy poznać, ale widać, że to człowiek otwarty i szalenie aktywny w social mediach. To dobrze wróży – twierdzi Barak David, starszy korespondent zagraniczny izraelskiej telewizji Chanell 13.

– Z naszych relacji z Izraelczykami, którzy odwiedzają Kraków, wynika, że ich obraz polskiej ambasady i Instytutu Kultury w Tel Awiwie jest pozytywny. Niestety, odbija się na nim szersze spektrum problemów historycznych, przez co Magierowski nie osiąga takich sukcesów, jakby mógł, gdyby komunikacja rząd–ambasada była spójna. Bardziej skupiona np. na promowaniu współczesności, polskiej kultury i technologii – mówi „Do Rzeczy" Jakub Nowakowski, dyrektor Żydowskiego Muzeum Galicja na Kazimierzu.

Poproszony o komentarz do artykułu Magierowski odpowiada, że nie jest jego rolą komentowanie tekstów o sobie, a o swojej pracy woli opowiadać jej efektami niż wywiadami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

Z dr. Jarosławem Szarkiem, prezesem Instytutu Pamięci Narodowej
rozmawia Maciej Pieczyński

Badanie „polskich zbrodni” się opłaca

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Izrael bardziej potrzebuje Polski niż Polska Izraela” – stwierdził niedawno Jan Dziedziczak, były wiceszef MSZ. Zgadza się pan z jego opinią?

DR JAROSŁAW SZAREK: To wypowiedź o charakterze politycznym. W IPN zajmujemy się badaniem historii. Oczywiście nie możemy się zgodzić z absolutnie nieuprawnionym, ale – niestety – często formułowanym w Izraelu i na Zachodzie stwierdzeniem, jakoby Polacy byli „narodem sprawców”, współpracującym z Rzeszą Niemiecką w czasie II wojny światowej. Odpowiedzią IPN jest rzetelne badanie historii. To o tyle istotne, że właśnie w tych latach odchodzi ostatnie pokolenie świadków niemieckiej okupacji.

Fakty historyczne przemawiają na korzyść Polski. Poza tym – tu wrócę do politycznej tezy byłego wiceszefa dyplomacji – mamy czym grać w relacjach z Izraelem. Dlaczego więc nasza polityka historyczna jest tak nieskuteczna w walce o dobre imię Polski?

To prawda, że za nami stoją fakty, ale na relacje z Izraelem bardziej wpływają interpretacje. A konkretnie – głośne opinie pewnych środowisk historyków, którzy zamiast rzeczowej dyskusji o przeszłości wolą posługiwać się inwektywami i insynuacjami. Przykładem niech będzie niedawna konferencja tzw. nowej polskiej szkoły historii Holokaustu w Paryżu. Wydarzenie to – podczas niektórych referatów – miało więcej wspólnego z wiecem politycznym, wymierzonym w dobre imię Polski, niż z poważną debatą naukową.

Przecież jednak w konferencji wzięli udział historycy, uważani za wybitne autorytety w dziedzinie badań nad Holokaustem: Jan Grabowski, Barbara Engelking, nie wspominając o wciąż traktowanym poważnie na Zachodzie Janie Tomaszu Grossie.

No właśnie: „uważani za wybitne autorytety”. Znaczna część tez, głoszonych przez tych badaczy, jest bardzo daleka od prawdy. Doktor Tomasz Domański z IPN napisał bardzo obszerną i rzetelną recenzję książki „Dalej jest noc…” pod redakcją prof. Grabowskiego i prof. Engelking. Wypunktował manipulacje autorów, którzy zniekształcali źródła, tak aby pasowały do ich z góry założonych tez o rzekomym polskim współsprawstwie w zagładzie Żydów. Jak w tej sytuacji można mówić o rzetelnej dyskusji z tym środowiskiem?!

Autorzy „Dalej jest noc…” bronili się, twierdząc, że ich celem było przedstawienie losów Żydów i ich strategii przetrwania, nie zaś obarczenie Polaków winą za Holokaust. Jak jednak pisze Tomasz Domański w swojej recenzji, książka jest jednostronna i nie uwzględnia kontekstu.

Już sam fakt, że autorzy dokonali ingerencji w źródła, pokazuje, że efekty ich pracy nie mogą być uznane za wiarygodne. To praktyka sprzeczna z warsztatem historyka. Rzeczywiście, Holokaust był wyjątkowym ludobójstwem, nie można jednak tej zbrodni wyabstrahować od całego obrazu okupacji niemieckiej na ziemiach polskich. Przedstawiciele tzw. nowej polskiej szkoły zdają się nie zauważać, że cały kraj był zniewolony. Trzeba pokazywać całą złożoność tego okresu. Nigdy nie uciekaliśmy od odpowiedzialności poszczególnych osób narodowości polskiej za zbrodnie na Żydach. W żadnym jednak wypadku nie można tej odpowiedzialności przypisać całemu narodowi, a pojawiają się też takie opinie. Szczególnie że rząd polski na uchodźstwie oraz Polskie Państwo Podziemne jednoznacznie odnosiły się do Zagłady, o której zresztą właśnie Polacy informowali jako pierwsi. Niestety, Zachód

FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

eprasa.pl 4e0c707824

nie chciał słuchać ani Karskiego, ani Pileckiego. W części środowiska polskich historyków zajmujących się Holokaustem można dostrzec niezdrową satysfakcję, wyrażaną za każdym razem, gdy tylko uda im się wskazać choćby jednego rodaka, uwikłanego we współpracę z niemieckim aparatem terroru. Tak, jakby chodziło o to, aby za wszelką cenę udowodnić winę Polaków.

To dlaczego o tym, co się działo w okupowanej Polsce, opowiadają Grabowski, Gross i Engelking, a nie np. Chodakiewicz?

Ta grupa badaczy Holokaustu ma potężną siłę przebicia. Niepokojąca tendencja do obarczania Polaków odpowiedzialnością za niemieckie zbrodnie nasiliła się w świecie nauki na Zachodzie kilkanaście lat temu, jeszcze zanim Gross wydał swoich „Sąsiadów".

To może czas na zbudowanie nowej polskiej szkoły historii Holokaustu? Rzetelnej i nieobarczonej antypolskim kompleksem?

Potrzebna jest nie tyle „nowa szkoła", ile „dobra szkoła". Badania nad Holokaustem nie są głównym nurtem działalności IPN. Zaczynamy jednak kłaść na tę kwestię większy nacisk. Potrzeba czasu, aby wykształcić nowe pokolenie historyków. Proszę zwrócić uwagę na wściekłą reakcję, jaką wywołała w mediach wspomniana recenzja książki „Dalej jest noc". Nie było dyskusji na argumenty naukowe. Zamiast tego dr Domański został skrytykowany jako „urzędnik państwowy", który odważył się uderzyć w świętość „autorytetów". A to bardzo zdolny i odważny badacz, który mimo młodego wieku może już pochwalić się sporym dorobkiem. Proszę sprawdzić, jakie tematy najchętniej się podejmuje w instytutach historii, na badanie jakich zagadnień najłatwiej dostać granty…

Pisanie o chlubnych kartach z przeszłości Polski jest passé?

Jeżeli młodzi historycy u progu swych karier naukowych co chwilę słyszą z ust polityków, że instytut ma być zlikwidowany, bo to „emanacja zła" we współczesnej Polsce, jeżeli najłatwiej dostać pieniądze na badania prawdziwych albo rzekomych polskich zbrodni, to trudno się dziwić, że takie właśnie są tendencje. Konformizm wydaje się dominować w środowisku naukowym, to najgorsze, co pozostało po komunizmie w polskiej nauce. Nie bez znaczenia dla takich postaw był przed laty zdecydowany sprzeciw wobec lustracji na uczelniach.

Trudno się dziwić, że jest moda na badanie ciemnych kart historii, skoro cały świat powtarza wyolbrzymioną i nieopartą na żadnych jednoznacznych danych liczbę 200 tys. Żydów rzekomo zamordowanych przez Polaków lub przy ich współudziale.

Równie dobrze można byłoby rzucić liczbę 300 tys. Tak samo byłaby „zasadna". To jest zadanie dla historyków, nie dla publicystów historycznych – policzmy, gmina po gminie, powiat po powiecie, na podstawie wiarygodnych informacji, ilu Żydów mogło zginąć z rąk polskich. Z pewnością nie będzie to liczba nawet zbliżona do wydumanych szacunków Jana Grabowskiego. Dopóki takie badania nie zostaną przeprowadzone, dopóty będziemy się przerzucać oderwanymi od rzeczywistości liczbami. Janusz Kurtyka zostawił nam w testamencie słowa: „Piszcie książki, żeby nie można było kłamać". I to jest klucz. Nawet jeśli opiniotwórcze media skrytykowały recenzję „Dalej jest noc…", to po jej publikacji trudniej będzie kłamać na temat polskiej historii II wojny światowej. Każdy rzetelny historyk, który sięgnie po tę tematykę, nie będzie mógł nie odnieść się do tego, co o ustaleniach prof. Engelking i prof. Grabowskiego napisał dr Domański.

Jak pan myśli, z perspektywy czasu – nowelizacja ustawy o IPN pomogła czy przeszkodziła w budowaniu prawdziwej narracji o polskiej historii?

Niewątpliwie pozytywnym skutkiem sporu wokół nowelizacji było to, że przestaliśmy żyć złudzeniami… Maski spadły. Okazało się, jak silny wpływ na opinię o Polsce mają niechętne nam lewicowo-liberalne środowiska intelektualne na Zachodzie. Nauka z tego jest taka, że musimy coraz aktywniej działać na polu polityki historycznej. IPN sfinansował film „Paszporty Paragwaju", opowiadający o pomocy polskich dyplomatów w Bernie, którzy współpracując z działaczami żydowskimi, dostarczyli paszporty np. Paragwaju Żydom m.in. w warszawskim getcie, dzięki czemu część uratowała życie. Na pokazie dokumentu w Waszyngtonie obecna była dyrektor Muzeum Holokaustu, wielu wpływowych ludzi… Powoli zmieniamy wizerunek Polski. Ważne, by zacząć to robić. Niedawno wróciłem z wizyty na Ukrainie. Uczestniczyłem w otwarciu naszej wystawy poświęconej operacji antypolskiej NKWD w Winnicy, a powstałej w wyniku współpracy IPN z ukraińskimi archiwami, kilka miesięcy wcześniej udało się ją pokazać w Chmielnickim. Mimo ukraińskiej blokady na ekshumacje, różnego spojrzenia na ludobójstwo na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej, są tematy, które możemy pokazywać wspólnie. Oba nasze narody były ofiarami komunistycznego terroru.

Poza tym jednak same historyczne konflikty z Ukrainą.

Niekoniecznie. Właśnie w Winnicy w 1920 r. doszło do słynnego spotkania Piłsudskiego z Petlurą. Czeka nas setna rocznica Bitwy Warszawskiej. Tę historię możemy opowiedzieć wspólnie z Kijowem, mimo że sojusz nie skończył się najlepiej.

Petlura nie jest jednak dla Ukraińców wielkim, wywołującym emocje bohaterem. Oddał Polakom Lwów, wszystko przegrał, a potem i tak go Piłsudski zdradził – tak to widzą nad Dnieprem.

Oczywiście w efekcie traktatu ryskiego część Ukrainy znalazła się pod sowiecką okupacją. To jest właśnie temat, który nas łączy. Dzisiaj bowiem na Ukrainie często się mówi, że II Rzeczpospolita okupowała zachodnią Ukrainę. Wzajemne relacje były niekiedy dramatyczne, ale absolutnie nie można używać takich określeń, były ukraińskie szkoły, posłowie do parlamentu, prasa, a po drugiej stronie granicy wielki głód. Sowieci byli naszym wspólnym wrogiem, o tym możemy mówić jednym głosem. I IPN to robi.

Wróćmy do Izraela… A może nie mamy szansy wygrać batalii o prawdę? Może Izrael zwyczajnie nie chce tej prawdy znać, bo wygodniej jest oskarżać Polskę?

To pytanie do izraelskich polityków. Podkreślam: Holokaust był wyjątkowy, ale historia społeczności żydowskiej na ziemiach polskich liczy sobie stulecia. Niestety Izrael woli pokazywać Polskę swoim obywatelom jako jeden wielki cmentarz ich przodków… Trudno dyskutować z wrażliwością ofiar. Skala tragedii Holokaustu sprawia, że trudno jest nam mówić prawdę z kolei o krzywdach, których Polacy doznali ze strony Żydów… Mam tu na myśli zarówno nadreprezentację ludności żydowskiej w aparacie komunistycznym, jak i poparcie, jakiego ludność ta udzieliła tym, którzy przyszli ze Wschodu, aby utopić nas w morzu krwi. Poparcie części – podkreślam: części! – Żydów dla sowieckich najeźdźców w latach 1920 i 1939 wciąż jest tematem tabu. Mówienie o tym jest niebezpieczne. Jeśli młody historyk chce w Polsce zrobić

eprasa.pl 4e0c707824

karierę naukową, to jak pan myśli, jakie tematy najbezpieczniej mu będzie wziąć na warsztat?

Zapewne „polskie zbrodnie na Żydach".

Niestety. Konformizm jest wielką chorobą polskiej nauki.

A może po prostu nie mamy szans w starciu z „religią Holokaustu"? Każda próba obrony dobrego imienia Polski będzie kwitowana jako zamach na świętość?

Dotknął pan bardzo ważnego problemu – braku symetrii we wzajemnym postrzeganiu przeszłości. Niedawno przytaczałem przy pewnej okazji cytat z dokumentu oddającego myślenie na Zachodzie o Polsce wiosną 1920 r. Byliśmy wówczas postrzegani jako zaściankowe państwo z anarchiczną strukturą społeczną, ciemny, antysemicki lud…

Brzmi znajomo…

A to było tuż przed Bitwą Warszawską! I jak pan myśli: gdyby teraz doszło do analogicznej sytuacji, to po której stronie stanęłyby elity lewicowo-liberalne-zaściankowej Polski czy czerwonych krzewicieli postępu?!

Rozumiem, że nie wierzy pan w ogólnonarodowe, zgodne obchody stulecia największego zwycięstwa w dziejach Polski?

Części lewicowo-liberalnych elit bliżej jest do Pałacu Kultury i Nauki niż do Ossowa. Nieskuteczne jest budowanie okazjonalnej jedności narodu. IPN postara się pokazać, jak osamotniona była Polska w 1920 r. Ku przestrodze. Dzisiaj zadaniem kluczowym powinno być wspieranie i budowanie środowisk nam przychylnych na świecie. Mamy nauczkę po awanturze wokół ustawy o IPN – brakowało wówczas głosów z zewnątrz, które by wyrażały wsparcie dla polskiego punktu widzenia.

W efekcie amerykańsko-izraelskich nacisków zostały odwołane ekshumacje w Treblince. To chyba nie najlepiej wróży naszej polityce historycznej.

Proszę o to pytać szefa Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu.

A może powinniśmy przestać ulegać zewnętrznym naciskom i przeprowadzić ekshumacje w Jedwabnem?

Dysponujemy narzędziami do tego typu badań. Od 2016 r. w strukturze IPN funkcjonuje Biuro Poszukiwań i Identyfikacji. Jednak decyzja o ewentualnych ekshumacjach nie należy do instytutu…

Nie należy też najwyraźniej w ogóle do polskich władz.

Żeby walczyć o dobre imię Polski, musimy przede wszystkim sami docenić fenomen polskości, który polega na niezwykłej zdolności do zmartwychwstania, odradzania się na nowo. Przez cały XIX i XX w. kolejni zaborcy i okupanci ucinali nam głowy, niszczyli nasze elity. A my za każdym razem potrafiliśmy się podnieść. Niedawno uczciliśmy rocznicę zbrodni katyńskiej. Wciąż nie zdajemy sobie sprawy, jak wielką tragedią była zagłada polskiej inteligencji. Dlatego właśnie „autorytety" III RP, zamiast walczyć o godność narodu, próbowały narzucać poczucie winy i wpędzać w kompleks niższości wobec Zachodu, którego częścią mieliśmy się stać na zasadzie petenta, a nie pełnoprawnego partnera. Na szczęście to się od kilku lat zmienia. Gdybyśmy w 1989 r. zaczęli bronić dobrego imienia Polski, dziś bylibyśmy w zupełnie innym miejscu historii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 4e0c707824

Tylko dla kobiet

Na festiwal The Statement wstęp miały tylko kobiety, osoby transgender oraz nieidentyfikujące się w pełni ani jako kobieta, ani mężczyzna FOT. FRIDA WINTER/AFP/EAST NEWS

Agnieszka Niewińska

Hotelowe piętro tylko dla pań, fitness z zakazem wstępu dla panów, a nawet podróżnicze oferty tylko dla płci pięknej. Czy mężczyźni mogą się już czuć dyskryminowani?

Talaria Resort & SPA w Trojanowie na Mazowszu. XIX-wieczny odrestaurowany pałac pod koniec tygodnia zamienia się w babskie królestwo. „W weekendy wypoczywają u nas wyłącznie kobiety! Serdecznie zapraszamy panów i całe rodziny w dniach od niedzieli po południu do piątku do południa" – tłumaczy na stronie internetowej właścicielka Talarii Zofia Talarek. „Ze względu na charakter obiektu prosimy o zrozumienie, że w weekendy chłopcy w wieku od sześciu lat są traktowani w Talarii jak mężczyźni" – dodaje.

Kiedy w piątek dochodzi południe, panowie muszą się spakować i pożegnać. Pałacowe „wellness z basenem, jacuzzi, zmysłowymi saunami, perłowym hammamem, ziołowym domkiem, salą cardio, wypoczywalnią i zewnętrznym parkiem relaksu i aktywności" jest wyłącznie do dyspozycji pań. Okazuje się jednak, że choć gości płci męskiej w weekendy się nie obsługuje, to Talaria nie jest zupełnie wolna od męskiego pierwiastka. „UWAGA! Terapeutami SPA są zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Masaż Lomi Lomi by Talaria wykonuje wyłącznie mężczyzna" – przestrzega gości Talaria Resort & SPA.

SAUNOMISTRZYNIE I RATOWNICZKI

Obiektów, które kierują swoją ofertę do kobiet, zaczyna u nas przybywać. W warszawskim hotelu Sound Garden można zarezerwować kobiecy pokój na kobiecym piętrze. „Ladies floor. To nasze najwyższe piętro – dzięki temu najcichsze, najbezpieczniejsze, z najlepszym widokiem tylko dla Pań. Jest to strefa z bezpłatnymi fotelami do masażu, prasą i książkami. W pokojach zainstalowaliśmy dodatkowe oświetlenie oraz lusterka do makijażu" – chwali się Sound Garden. I dodaje, że paniom oferuje także bezpłatną Voda Collagen Beauty, która według producenta zawiera dzienną dawkę kolagenu.

Rodzime hotelarstwo ma wiele do nadrobienia w kwestii udogodnień dla pań. Obecny w Chicago i San Francisco Virgine Hotel oferuje w damskich pokojach dużą szafę ze sporą liczbą wieszaków na przywiezione kreacje, więcej miejsca na kosmetyki w łazience, udogodnienia sprzyjające depilacji nóg, toaletkę i lustro do makijażu, a nawet podręczny zestaw intymny z prezerwatywami i wibratorem.

Dla pań, które nie mają możliwości, by wyjechać do sprofilowanego pod ich potrzeby hotelu za miastem, a także chciałyby pobyć w damskim towarzystwie, ofertę ma warszawskie Studio Sante – Uzdrowisko Miejskie. W poniedziałki zaprasza na Ladies Night – noc wyłącznie dla pań. Między godz. 20 a północą tylko one mogą korzystać z oferty Strefy Base-

eprasa.pl 4e0c707824

nów i Saun – gdzie znajdziemy m.in. basen, jacuzzi krzemowe, z solą himalajską oraz magnezem, słoneczną łąkę, sauny: fińską, japońską, parową, biosaunę, goldarium czy kosmiczny relaks w kapsule floatingowej. – Chcieliśmy podarować kobietom trochę swobody, luzu, a zarazem intymności – mówi Kamil Kościuch ze Studia Sante. – W czasie Ladies Night całe Studio Sante jest niedostępne dla mężczyzn – także jeśli chodzi o obsługę techniczną. W saunach panie spotkają saunomistrzynie, a na basenach ratowniczki. Ladies Night cieszą się niesłabnącą popularnością, na taki relaks decyduje się średnio od 70 do 100 pań. Co tydzień mamy inną ofertę atrakcji związanych z peelingami i zabiegami w strefie zabiegowej, z których mogą skorzystać – dodaje Kamil Kościuch.

Jak grzyby po deszczu powstają kolejne damskie siłownie czy kluby fitness. Znajdziemy je w każdym większym mieście. W Lublinie panie zaprasza Miasto Kobiet. Chociaż właścicielem jest mężczyzna, a wśród trenerów także znajdują się panowie, to w treningach mogą brać udział tylko kobiety. – Chcieliśmy stworzyć taką przestrzeń dla pań, żeby czuły się swobodnie i komfortowo – tłumaczy Mirosław Marcinek, właściciel lubelskiego klubu. – Dzięki temu, że ćwiczą w swoim towarzystwie, skupiają się na treningu. Nie oszukujmy się, kiedy na zajęciach pojawia się płeć przeciwna, to panie zaczynają się zastanawiać, czy aby na pewno dobrze wyglądają, czy założyły odpowiednią koszulkę. U nas nie trzeba myśleć o makijażu na trening, można się skupić na budowaniu formy. Panie cenią sobie klimat i atmosferę naszego klubu. Poza tym – kto lepiej zrozumie kobietę jak nie inna kobieta – mówi Mirosław Marcinek.

Także rynek usług turystycznych ma propozycje wyłącznie dla kobiet. Można znaleźć oferty skrojone pod singielki, kobiety w ciąży czy młode matki podróżujące samotnie bądź z dziećmi. Można się zdecydować na aktywny wypoczynek w babskim gronie albo wyjazd do zagranicznego kurortu, gdzie w hotelu są zapewnione damskie towarzystwo i kobieca obsługa. Nie brakuje także ofert wyjazdów weekendowych z warsztatami, które paniom mają służyć za inspirację. Kobiece weekendy z pasją organizuje np. inicjatywa Tylko Spróbuj. Proponuje wyjazdy z warsztatami kulinarnymi, masażem, zajęciami sportowymi czy warsztatami sexy dance, na których panie nauczą się zmysłowego tańca czy pięknego poruszania się na obcasach.

MĘŻCZYŹNI TYLKO W PERUKACH

Kilka lat temu na rynek kawiarniano-restauracyjny weszły z kolei lokale tylko dla kobiet. Zaczęło się od częstochowskiej klubokawiarni Babie Lato, która na swoje specjały zapraszała tylko panie. Jeśli na wejście do środka nalegał jakiś pan, to musiał założyć kolorową perukę. Założycielki Babiego Lata tłumaczyły, że lokal powstał dlatego, iż brakowało miejsca, w którym można było spokojnie wypić kawę i poplotkować. Idea damskiej kawiarni spotkała się jednak ze sprzeciwem mieszkańca Opola, który przyjechał do Częstochowy i domagał się wpuszczenia go do lokalu bez peruki. Nie udało się, więc kawiarnię pozwał. Sąd uznał jednak, że lokal dla kobiet nie dyskryminuje mężczyzn. Orzekł, że w Polsce panuje wolność gospodarcza, więc kelnerka mogła nie chcieć obsłużyć klienta mężczyzny.

Jednak mieszkaniec Opola w swoich sądach nie jest odosobniony. Powstawaniu kolejnych inicjatyw tylko dla pań towarzyszą utyskiwania mężczyzn, że to oni są dziś dyskryminowani, bo restauracja tylko dla mężczyzn byłaby nie do pomyślenia. Formalne oskarżenia o dyskryminację zdarzają się więc na całym świecie.

W zeszłym roku za dyskryminujący wobec mężczyzn został uznany festiwal muzyczny The Statement w szwedzkim Göteborgu, na który wstęp miały tylko kobiety, a także osoby nieidentyfikujące się w pełni ani jako kobieta, ani mężczyzna oraz transgender. Szwedzki ombudsman uznał organizatorki za winne dyskryminacji, ale odstąpił od wymierzenia im kary. O dyskryminację oskarżono również w zeszłym roku właściciela sieci taksówek tylko dla kobiet w Nowej Zelandii.

Niewykluczone, że dziś również wyrok polskiego sądu byłby inny. W ustawie z 3 grudnia 2010 r. o wdrożeniu niektórych przepisów Unii Europejskiej w zakresie równego traktowania znalazł się bowiem ogólny zakaz dyskryminacji w dostępie do dóbr i usług m.in. ze względu na płeć.

Mimo to lubelski fitness club Miasto Kobiet z oskarżeniami o dyskryminację ze strony mężczyzn się jak dotąd nie spotkał. – Zapraszam ich do drugiego klubu, gdzie oferujemy trening personalny zarówno dla pań, jak i dla panów – mówi Mirosław Marcinek.

Panowie korzystający ze Studio Sante do wieczorów dla kobiet już się przyzwyczaili. – Wiedzą, że w poniedziałki po godz. 20 jest Ladies Night i nigdy nie było związanych z tym skarg. Mężczyźni są u nas mile widziani i zapraszamy ich po prostu do wybrania innego terminu – mówi Kamil Kościuch. Częstochowska kawiarnia Babie Lato nie utrzymała się na rynku mimo medialnego rozgłosu. Taki lokal w Warszawie także się zamknął. Nie dopisała frekwencja. – W naszym lokalu organizowałyśmy spotkania i warsztaty, stawiałyśmy na rozwój wewnętrzny kobiet – mówiła „Dziennikowi" właścicielka kawiarni Beata Figler. – Okazało się, że mieszkanki Warszawy nie potrzebują naszej pomocy, one same doskonale zorganizowały swoje miejsca – dodała. Sukcesu nie było też w bydgoskiej restauracji Trzy Światy. Lokal, który według założycielek miał być dla dojrzałych pań oraz młodych mężatek, które ani nie chcą zamykać się w domu, ani narażać się na nachalne podrywanie, jest już nieczynny.

– My, mężczyźni, mamy jeszcze przewagę ekonomiczną, to nasza ostatnia szansa – śmieje się prof. Zbigniew Nęcki, psycholog społeczny. Jego zdaniem świat się po prostu feminizuje, a kobiety zdobywają w nim przewagę. – Mamy do czynienia z trendem zwanym ekofeminizmem, w ramach którego odchodzi się od męskich przymiotów, takich jak przemoc czy siła, a idzie w stronę wrażliwości, układności. Stawiamy na komunikację, a w tym kobiety biją mężczyzn na głowę. Sfeminizowanie dostrzegam także w psychologii, choćby w zniewieścieniu mężczyzn – mówi.

W fenomenie miejsc „tylko dla kobiet" prof. Nęcki dostrzega potrzebę kobiet do tego, by się na chwilę wyłączyć ze świata i pobyć we własnym gronie. – Zmieszanie płci zmienia charakter doświadczenia i przeżycia, nawet jeśli w grę wchodzą tylko relacje przyjacielskie. To z tego względu są kluby i miejsca tylko dla kobiet lub tylko dla mężczyzn. Wystarczy, że kobieta pojawi się na polowaniu w męskim towarzystwie, a już zmienia się charakter rozmowy, rodzaj żartów. Pojawia się jakiś mikroflirt, podglądanie płci przeciwnej, w jej oczach szuka się jakiegoś błysku – mówi. I dodaje, że kobiety choć decydują się na spotkania czy aktywności w swoim gronie, to wyłączają się tylko na chwilę. – Podział na państwo mężczyzn i kobiet spotykających się na granicy jedynie z myślą o przyszłych pokoleniach chyba nam jednak nie grozi.

współpraca Jacek Przybylski

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

Na ratunek polskim dzieciom

Z Kamilą Gryn, psycholog, która współpracowała z konsulem Sławomirem Kowalskim
rozmawia Piotr Włoczyk

PIOTR WŁOCZYK: Iloma sprawami zajmowała się pani razem z konsulem Sławomirem Kowalskim?

KAMILA GRYN: W ciągu pięciu lat zajmowaliśmy się ok. 150 polskimi rodzinami, którym Barnevernet, norweski Urząd Ochrony Praw Dzieci, odebrał dzieci.

W ilu przypadkach odebranie było zasadne?

Gdyby to się działo w Polsce, myślę, że dzieci zostałyby odebrane w... dwóch przypadkach. To jednak nie oznaczałoby, że w Polsce te dzieci nie wróciłyby potem do swoich rodzin. Konwencja o prawach dziecka zobowiązuje bowiem władze, by stale monitorowały sytuację rodziców, sprawdzały, czy wykazują poprawę, żeby dziecko mogło do nich wrócić najszybciej, jak to możliwe.

Norwegia to jednak pod tym względem zupełnie inny świat...

Jeżeli po sześciu tygodniach odebrania tymczasowego podjęta jest decyzja o zabraniu rodzicom prawa do opieki, to zazwyczaj jest to odbiór długoterminowy (do 18. roku życia). Dziecko jest wówczas odcinane od rodziny – rodzice mogą się z nim widzieć zazwyczaj cztery razy w roku po dwie godziny, ale już dziadkowie nie mają na to szans. Oczywiście oznacza to też odcięcie od polskości, czyli po prostu wynarodowienie. Muszę przyznać, że kiedy wgłębiłam się po raz pierwszy w działanie tego systemu, byłam zaskoczona, że państwo może w ten sposób traktować rodziny.

Jak łatwo stracić w Norwegii dziecko?

Opiszę to na bodaj najbardziej jaskrawym przykładzie. Polscy rodzice poskarżyli się w szkole, że ich siedmioletni syn jest mobbowany przez swoich rówieśników. Nie doczekali się reakcji. W związku z tym postanowili napisać skargę na szkołę. Spowodowało to odwet ze strony szkoły, która z kolei powiadomiła Barnevernet, że podejrzewa, iż rodzice stosują przemoc wobec swojego dziecka.

Machina ruszyła.

Tak. Dziecko zostało zabrane ze szkoły na posterunek na przesłuchanie. Rodziców zatrzymano na 48 godzin. Matka została przez policję wyprowadzona z pracy. Zanim trafiła do celi, musiała się rozebrać do naga, sprawdzono każdy otwór w jej ciele pod kątem posiadania niebezpiecznych narzędzi… Warto dodać, że ta kobieta nigdy wcześniej nie była zatrzymana, a ojca dziecka nie przeszukano w podobny sposób. Było to potworne upokorzenie dla tej kobiety, dodatkowy stres, choć przecież i bez tego była ona w niewyobrażalnie trudnej sytuacji.

Dziecko było w tym czasie w rękach specjalistów z Barnevernet. Co się z nim działo?

Było przesłuchiwane. Konsul Kowalski widział nagranie tego przesłuchania. Chłopczyk pokazywał ślady po biciu, ale wyraźnie mówił, że pochodzą one ze szkoły. Prowadząca przesłuchanie pani z policji specjalizująca się w przesłuchaniach

eprasa.pl 4e0c707824

Oslo. Protest przeciwko działaniom Barnevernet
FOT. NTB SCANPIX/REUTERS/FORUM

nieletnich cały czas nakierowywała go jednak na inny temat. Zadawała mu pytania sugerujące w stylu: „Wiemy, że byłeś bity w domu, opowiedz nam o tym". Nakłaniała go, żeby potwierdził tę tezę, ale efekt cały czas był ten sam: chłopczyk mówił, że w domu nikt go nie bije, za to w szkole inne dzieci stosują wobec niego przemoc. Po przesłuchaniu dziecko nie wróciło do domu, lecz zostało umieszczone w opiece tymczasowej u norweskiej rodziny.

Skoro ewidentnie nie było żadnych przesłanek, żeby odebrać to dziecko na stałe, to – jak rozumiem – ostatecznie wszystko skończyło się happy endem?

Tylko pod warunkiem, że happy endem nazywamy dwutygodniowe rozdzielenie rodziny, dwie noce w izbach zatrzymań i mnóstwo związanego z tym stresu. Ta historia pokazuje, jak niewiele potrzeba, żeby ruszyła machina państwowej „opieki". Nie potrzeba żadnych dowodów, wystarczą same podejrzenia przemocy w rodzinie. Tak się skończyła walka rodziców o to, żeby ich dziecko nie było gnębione w szkole.

Wygląda na to, że ta rodzina i tak mogła mówić o wielkim szczęściu w nieszczęściu, zważywszy na praktykę Barnevernet...

Tak, widać tu przepaść między Norwegią a choćby Polską w kwestii podejścia państwa do dziecka. W naszym kraju, jeżeli rodzice pracują nad sobą i dziecko chce do nich wrócić, wówczas państwo na to oczywiście pozwala. Natomiast w Norwegii to wielki biznes. Połowa rodzin zastępczych jest prowadzona przez firmy prywatne, które dostają za to od państwa pieniądze. Menedżerowie tych firm, zakładanych często przez byłych pracowników Barnevernet, zarabiają po 9 mln koron rocznie (ok. 4 mln zł). Często dzieci są tam traktowane w sposób po prostu przedmiotowy. Państwo norweskie zazwyczaj nie dostrzega, że rodzice robią wszystko, by odzyskać dzieci, m.in. chodzą na specjalne kursy i w pełni współpracują z systemem.

Wysiłek podejmowany przez rodziców zwykle nie spotyka się z reakcją państwa i raz podjęta decyzja o odebraniu nie ulega już zmianie. Jednakże kiedy konsul zgłaszał, że w norweskiej rodzinie zastępczej może dochodzić do nieprawidłowości, urzędnicy nie kwapili się do sprawdzania takich sygnałów. Potwierdza to słaby nadzór nad systemem pieczy zastępczej w Norwegii. Barnevernet często angażuje się w odebranie dziecka rodzicom, a później w jego dalszą separację, wnioskując o zmniejszanie liczby spotkań z rodzicami. Problemy w rodzinach zastępczych rzadko wychodzą na światło dzienne.

Jakie konkretne sytuacje ma tu pani na myśli?

Pewien siedmioletni polski chłopiec dostał pokój w piwnicy, podczas gdy rodzice zastępczy mieszkali ze swoją córeczką na górze... To miały być – według państwa norweskiego – „lepsze warunki" dla jego rozwoju. To dziecko zostało zabrane rodzicom, którzy naprawdę dobrze się nim opiekowali. Chłopiec zaczął się po odebraniu moczyć i seplenić. Po roku walki wrócił do rodziny w strasznym stanie.

Nigdy nie zapomnę też historii półtorarocznego chłopczyka, który miał coraz więcej łysych miejsc na głowie. Dziecko wyrywało sobie włosy z głowy... To była nasza pierwsza sprawa po nawiązaniu współpracy z panem konsulem. To dziecko zostało odebrane dobrym rodzicom wraz z sześcioletnią siostrą. Jaka była reakcja systemu na nasze pytania? Proszę usiąść: urzędnicy odpowiedzieli, że dziecko czuje się tak bezpiecznie w rodzinie zastępczej, że... odreagowuje w ten sposób dawne traumy. Jak bardzo można być głuchym i ślepym na cierpienie dziecka? Na szczęście po pół roku dzieci zostały odzyskane. Sąd podkreślił to, że norwescy urzędnicy fałszowali dokumentację.

I na tym trauma się skończyła?

Nie, te sześć miesięcy zdruzgotało psychikę dzieci. Ten chłopczyk nie mówił do czwartego roku życia. Nie wiemy, co się działo w tej rodzinie zastępczej, ale to nie mogły być normalne warunki. Starsza dziewczynka mówiła, że brat był wiązany.

Jak zaczęła się pani współpraca z konsulem Kowalskim?

Pięć lat temu realizowałam projekt pomocy psychologicznej współfinansowany przez MSZ dla Polaków pracujących w Norwegii. Gdy pan konsul dowiedział się o tym, zaprosił mnie do pomocy polskim rodzinom, którym Barnevernet odebrał dzieci. Widział ich bezbrzeżną rozpacz, ogromną determinację, by jak najszybciej je odzyskać, ale gdy patrzył w dokumenty Barnevernet, wychodziło na to, że ci ludzi kompletnie się nie nadają do opieki nad dziećmi, a wręcz są dla nich zagrożeniem. Pan konsul chciał mieć niezależną opinię psychologiczną, by sprawdzić, czy Barnevernet działa prawidłowo. Potrzebował też pomocy w kontakcie z dziećmi, które po odłączeniu od rodziców były w bardzo złym stanie. Nie da się zapomnieć tych pierwszych spotkań, kiedy dzieci, słysząc, że mówimy po polsku, dopytywały się: „Jesteście z Polski?! Jesteście z Polski?!", widząc w tym ratunek.

Nasz udział w spotkaniach był dla Barnevernet bardzo nie na rękę. Problemem dla tych urzędników było to, że widzieliśmy reakcje dzieci, kiedy do pokoju wchodzili rodzice, jak rzucały się im na szyje, jak nie chciały ich puszczać, jak wstrząsające były pożegnania. Obecność świadków powodowała, że ci urzędnicy, pisząc raporty, musieli pamiętać, iż ktoś jeszcze widział relacje dziecko-rodzic. W takich przypadkach nie dało się napisać, że dziecko boi się rodziców czy nie reaguje na rozstanie.

Była pani z konsulem Kowalskim na spotkaniu, które stało się powodem całego spięcia dyplomatycznego. Pracownicy Barnevernet nie chcieli się zgodzić na waszą obecność i wezwali policję, która nie przebierała w środkach. Oskarżenia Norwegów wobec konsula Kowalskiego o agresywne zachowanie

eprasa.pl 4e0c707824

upadły, kiedy w Internecie opublikowane zostało nagranie całej sytuacji. Jak to wyglądało z pani perspektywy?

To była bardzo stresująca sytuacja, choć nic tego nie zapowiadało. Jak zwykle pojawiliśmy się we dwoje na prośbę polskich rodziców. Urzędnicy Barnevernet byli o tym poinformowani dzień wcześniej. Nie chcieli nas jednak wpuścić, mimo że cały czas zachowywaliśmy się spokojnie i pan konsul informował o prawie do uczestniczenia w spotkaniu.

Proszę sobie wyobrazić, że policjanci zaczęli na naszych oczach zakładać rękawiczki, jakby szykowali się do ostrej interwencji. Byli niewyszkoleni, nie wiedzieli, że nie mogą tak traktować konsula. Wobec tego konsul wyjął telefon i zaczął całą sytuację nagrywać. W końcu zagrozili, że wyniosą nas siłą, i zaczęli nawet popychać konsula w stronę wyjścia.

Z nagrania wynika czarno na białym, że jeżeli ktoś zachowywał się agresywnie, to była to policja.

Potem norweskie MSZ twierdziło jednak, że zachowanie konsula w tamtej sytuacji było niedopuszczalne. Publikacja nagrania pokazała jednak, jak było naprawdę. Pan konsul Kowalski jest człowiekiem bardzo spokojnym, nigdy by sobie nie pozwolił na agresję. Natomiast tamta sytuacja pokazała, jak bardzo Barnevernet nie chciał naszej obecności, która krępowała wszechwładzę urzędników...

To ciekawe, że niemal każdy chwali konsula Kowalskiego za zaangażowanie. Przy okazji jego usunięcia z placówki na żądanie Norwegów tylko okazjonalnie słychać było u nas głosy, że skoro robi to kraj powszechnie uznawany za wzór demokracji, to konsul zapewne przekraczał ustalone granice.

Konsul Kowalski to człowiek bardzo oddany ludziom, niezwykle zaangażowany. Pomoc dzieciom nie tyle była jego pracą, ile misją. Polacy dzwonili na telefon alarmowy ambasady. To nie była urzędnicza praca „od do", tylko trzeba było być dyspozycyjnym cały czas. Jeżeli była taka potrzeba, to jeździliśmy do odebranych dzieci nawet na daleką północ. Nawiasem mówiąc, to nie jest pierwszy polski konsul, który musiał wyjechać z Norwegii. Wcześniej dwóch polskich konsulów musiało opuścić ten kraj z powodu zmagań z Barnevernet, tylko nie było o tym aż tak głośno. Wcześniej nie dochodziło do deklaracji „Persona non grata", jak to się stało w przypadku konsula Kowalskiego, bo Polacy na wcześniejszym etapie przystawali na żądania Norwegów. Okazuje się więc, że spory konsulów z Barnevernet to stała praktyka. Wygląda na to, że Norwegowie akceptują tylko takich konsulów, którzy nie interesują się małoletnimi obywatelami Polski.

W ilu przypadkach udało się pomóc rodzinom odzyskać dzieci?

Mniej więcej połowa dzieci wróciła do rodziców dzięki opiece konsula i pomocy współpracujących z nim prawników – świetnych oddanych specjalistów. W sytuacjach, gdy pan konsul od początku patrzył urzędnikom na ręce, w większości przypadków dzieci wracały do rodzin. Jednak już w sprawach z poprzednich lat, których nie prowadził pan konsul, gdy nie było świadków spotkań, powrót dzieci jest bardzo trudny, mimo że rodzice się nie poddają. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko niewyobrażalne rzeczy dla ludzi, którzy nigdy się nie zetknęli z tym systemem. Systemem, który tworzy błędne koło – niekiedy przecież odebrane dzieci same potem tracą własne dzieci.

To chyba bardzo mało znany u nas aspekt działalności Barnevernet. Spotkała się pani z takimi sytuacjami?

Jako przykład mogę podać pewną młodą Polkę, którą w dzieciństwie państwo norweskie odebrało jej matce. Powodem miało być to, że matka sobie rzekomo nie radziła z córką, która nie chciała żyć w Norwegii i nie asymilowała się. Dziewczyna buntowała się przeciw matce, ale przecież konflikt nastolatka z rodzicami jest wpisany w rozwój dziecka. Po odebraniu ta dziewczyna przeszła przez siedem różnych norweskich rodzin zastępczych i ośrodków opieki. Z każdego miejsca uciekała do matki. Norweskie służby przyjeżdżały po nią i przenosiły ją w kolejne miejsce. I tak w kółko. Jak trzeba być opornym, żeby dziecko tyle razy uciekało? Jak można być tak głuchym na potrzeby dziecka? Gdzie tu jest podmiotowość dziecka, o której chętnie mówią pracownicy norweskiego systemu?

Co było dalej?

Ta odebrana dziewczyna zaszła w ciążę, gdy była młodą kobietą. I proszę sobie wyobrazić, że państwo norweskie nie pozwoliło jej wypełniać funkcji matki. Barnevernet odebrał jej dziecko, bo urząd uznał, że po tym, co przeszła, nie nadaje się na matkę. Dla mnie jest oczywiste, że system ukarał ją za to, iż tak bardzo się przeciw niemu buntowała i robiła mu tyle problemów.

Wygląda na to, że ten system nie może się mylić. Często podaje się w tym kontekście przykład eksperta Barnevernet, psychiatry, który okazał się pedofilem. Mimo to Barnevernet uznał, że nie ma potrzeby wracać do spraw, które ten człowiek prowadził.

Ta sprawa to jawna kpina z systemu opieki nad dziećmi. Chyba nikogo nie dziwi, że rodzice, którzy utracili za jego sprawą swoje dzieci, domagają się, by wrócić do tych spraw. Jak można zakładać, że ten człowiek mógł być obiektywny? Przecież dla pedofila dziecko to przedmiot. Nie tylko my, Polacy, zwracamy uwagę na to, że brak zgody Barnevernet na sprawdzenie spraw opiniowanych przez pedofila to coś niebywałego. BBC zrobiło na ten temat obszerny materiał. Nie dziwi zainteresowanie mediów, bo to się zwyczajnym ludziom po prostu w głowach nie mieści.

Barnevernet zajmuje się też Rada Europy, a także trybunał w Strasburgu, ale nie tylko z zagranicy słychać w tej sprawie głosy ostrej krytyki. W samej Norwegii dochodzi co jakiś czas do protestów w sprawie działań tej instytucji, a mimo to niewiele się zmienia.

W 2015 r. ponad 200 norweskich specjalistów ds. opieki nad dziećmi, prawników, pedagogów i psychologów napisało Beshimilngs meldung, czyli zawiadomienie, jakie się składa na rodziców do Barnevernet. W tym przypadku była to skarga na samo Barnevernet. Toczyły się wprawdzie jakieś rozmowy, doszło do kosmetycznych zmian, ale praktyka pokazuje, że dzieci są nadal w Norwegii zagrożone pochopną separacją od swych rodzin. Instytucje takie jak Barnevernet są oczywiście potrzebne, ponieważ są rodzice, którzy krzywdzą swoje dzieci i stanowią zagrożenie.

Jest to jednak margines. Większość rodziców jest wystarczająco dobra, by opiekować się swoimi dziećmi. Niektórzy potrzebują wsparcia, poznania innych metod wychowania niż te, których doświadczyli. Natomiast z całą pewnością nie jest rozwiązaniem przedmiotowe traktowanie dzieci przez państwo norweskie. System, w którym los dziecka zależy od tego, w co zaangażuje się urzędnik – czy w pomoc rodzinie, czy w separację długoterminową – jest fatalnym przykładem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kamila Gryn – jest psychologiem, przez pięć lat współpracowała z konsulem Sławomirem Kowalskim we wspieraniu polskich rodzin żyjących w Norwegii, którym Barnevernet odebrał dzieci.

eprasa.pl 4e0c707824

10. Międzynarodowy KONKURS·WOKALNY im. Stanisława Moniuszki

5-11 maja 2019

5 maja 2019 roku cała Polska świętuje 200-lecie urodzin Stanisława Moniuszki, wybitnego polskiego kompozytora, twórcy polskiej opery narodowej. Uroczyste obchody jubileuszu uświetni Gala Otwarcia 10. Międzynarodowego Konkursu Wokalnego im. Stanisława Moniuszki z udziałem laureatów wcześniejszych jego edycji w Teatrze Wielkim - Operze Narodowej w Warszawie.

Konkurs Wokalny im. Stanisława Moniuszki jest największym przedsięwzięciem tego rodzaju w Polsce. Od 1992 roku młodzi artyści z całego świata przyjeżdżają do Warszawy, aby zaprezentować swój talent przed wybitnymi przedstawicielami świata muzyki, a odniesiony sukces staje się dla wielu z nich początkiem międzynarodowej kariery. W gronie laureatów i finalistów poprzednich edycji Konkursu znalazły się takie gwiazdy sceny operowej jak: Aleksandra Kurzak, Mariusz Kwiecień, Małgorzata Walewska, Alexei Markov, Andrzej Filończyk i Jakub Józef Orliński.

W maju 2019 roku do Teatru Wielkiego - Opery Narodowej przyjedzie 88 młodych śpiewaków z całego świata. W jury jubileuszowej, dziesiątej edycji Konkursu zasiądą managerowie największych teatrów i festiwali operowych, m.in: Royal Opera House, Metropolitan Opera, Bayerische Staatsoper, Salzburger Festspiele, Festival d'Aix-en-Provence, Staatsoper Berlin, a także wybitni polscy śpiewacy – Ewa Podleś, Izabella Kłosińska i Piotr Beczała.

Zapraszamy do śledzenia przebiegu Konkursu Moniuszkowskiego na: moniuszkocompetition.pl, vod.teatrwielki.pl, operavision.eu, w TVP Kultura oraz Programie 2 Polskiego Radia.

Moniuszko 200.
2019 ROKIEM
STANISŁAWA MONIUSZKI

Mecenasi

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PZU

Partner

UNESCO
Organizacja Narodów Zjednoczonych dla Wychowania, Nauki i Kultury

200. rocznica urodzin Stanisława Moniuszki
Obchodzona pod auspicjami UNESCO

Współorganizator dwójka POLSKIE RADIO

Koproducent TVP

Partner strategiczny PWM EDITION

Patroni medialni POLSKIE RADIO, TVP KULTURA, polmic.pl, Presto

eprasa.pl 4e0c707824

Coraz częściej Polska staje się krajem azylu dla mieszkańców innych krajów UE. O azyl poprosiła m.in. Silje Garmo (na zdjęciu z córką) FOT. AGNIESZKA ŚNIEŻKO/EAST NEWS

Fala urzędowych uprowadzeń

Wojciech Wybranowski

Co najmniej kilkadziesiąt razy w roku urzędnicy w krajach Unii Europejskiej usiłują – często z błahych przyczyn – odebrać dzieci polskim rodzinom

Łukaszowi I. i jego żonie Barbarze norwescy urzędnicy z Barnevernet chcieli odebrać prawo do opieki nad dziećmi. Powód? Donos pielęgniarki, która poczuła się urażona tym, że Polak żądał, by lekarz właściwie zaopiekował się jego synem, który właśnie złamał rękę. Jego oczekiwania uznano za „agresywne zachowanie" i „zagrożenie dla rodziny". Dzięki pomocy instytutu Ordo Iuris udało mu się z całą rodziną wrócić do Polski.

W Niemczech urzędnicy tamtejszego Jugendamtu (Urzędu ds. Dzieci i Młodzieży) odebrali Polce trzydniowe dziecko, twierdząc – mocno na wyrost – że sytuacja materialna kobiety nie pozwala jej na samodzielną opiekę nad noworodkiem. Dopiero reakcje rzecznika praw dziecka i wiceministra sprawiedliwości Michała Wójcika sprawiły, że niemiecki sąd uznał decyzję urzędników Jugendamtu za pochopną i nakazał oddanie dziecka matce.

Liczba podobnych przypadków – w których dzieci polskich rodziców lub takie, w którym jedno z rodziców pochodzi z Polski, są odbierane, często bezpodstawnie, przez urzędników tzw. opieki społecznej – wciąż jest wysoka. – Tylko do nas w ciągu roku wpływa ok. 60 zgłoszeń z różnych krajów z prośbą o interwencję, a przecież trzeba pamiętać, że anglojęzyczne czy skandynawskie media nie informują szeroko o naszej działalności – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" dr Bartosz Lewandowski, dyrektor Centrum Interwencji Procesowej Instytutu Ordo Iuris.

Coraz częściej w takich sytuacjach w pomoc rodzicom włączają się też przedstawiciele polskiego wymiaru sprawiedliwości. Jak słyszymy w Ministerstwie Sprawiedliwości, co tydzień wpływa co najmniej kilka próśb o pomoc od Polaków dotkniętych działaniami Barnevernet, niemieckiego Jugendamtu i ich odpowiedników w innych krajach UE. – Generalnie podobnych przypadków jest dziś nieco mniej niż trzy

eprasa.pl 4e0c707824

lata temu, gdy zaczynałem się zajmować tą kwestią, ale zdarzają się bardzo trudne sprawy. Interweniujemy wówczas w porozumieniu z resortem spraw zagranicznych i konsulami – mówi nam wiceminister sprawiedliwości Michał Wójcik.

USUŃ DZIECKO. NIE? ZABIERAMY

Do sytuacji, w których pracownicy wyspecjalizowanych instytucji społecznych próbują odbierać dzieci polskim rodzicom, najczęściej dochodzi w Niemczech, Norwegii, Szwecji, Wielkiej Brytanii oraz Holandii. – Jeśli chodzi o Niemcy czy Wielką Brytanię, to tam w tle jest najczęściej też jakiś konflikt rodzinny, natomiast w sprawach norweskich ewidentnie zauważalna jest nadopiekuńczość ze strony państwa – mówi nam dr Bartosz Lewandowski. Jak się to przejawia? – Zdarzają się częste przypadki wpisywania przez urzędników w notatki uzasadniające odebranie dziecka jako powód na przykład to, że matka czy ojciec są chronicznie zmęczeni albo że nadużywają paracetamolu – dodaje.

Jedną z budzących najwięcej zastrzeżeń wobec działań skandynawskich urzędników jest sprawa pani Joanny. W 2010 r. wyjechała wraz z matką do Norwegii. W 2015 r. Joanna zaszła w ciążę. Wtedy miała usłyszeć od urzędników Barnevernet, by zgodziła się na aborcję nienarodzonego dziecka. Powodem miała być trudna sytuacja materialna. Kiedy młoda, ale pełnoletnia już dziewczyna odmówiła, usłyszała: „Odbierzemy je zaraz po porodzie. Państwo się nim zaopiekuje". Pani Joanna uciekła do Polski i zatrzymała się u rodziny. W 2016 r. urodziła córeczkę. Gdy wraz z nią wróciła do Norwegii, by ponownie zamieszkać z matką, Barnevernet odebrał jej dziecko i umieścił je w rodzinie zastępczej. Zrozpaczonej kobiecie przyznano prawo do widzenia się z córką trzy razy w roku po jednej godzinie, i to pod nadzorem urzędnika.

– Obecnie pani Joanna przebywa w Polsce. Sprawą zajął się instytut Ordo Iuris, którego prawnicy skierowali do Ministerstwa Sprawiedliwości wniosek o przejęcie pieczy nad trzyletnią córką Joanny przez jej ciotkę mieszkającą w Polsce – poinformowała nas Magdalena Majkowska z Ordo Iuris.

Nieco wcześniej urzędnicy Barnevernet odebrali sześcioletniego syna innej Polce. Powód? Donos ojca pozbawionego władzy rodzicielskiej, jakoby matka nadużywała alkoholu. W dniu interwencji urzędników kobieta rzeczywiście wypiła do kolacji lampkę wina, jednak urzędnicy nie wzięli pod uwagę tego, że w tym czasie dzieckiem zajmował się dziadek, który szlachetnego trunku nie pił. Chłopiec został umieszczony w norweskiej rodzinie zastępczej, a matce przyznano prawo do sześciu spotkań w roku. Dopiero interwencja polskiej strony spowodowała, że dziecko wróciło do matki.

Ponad 200 przypadków, gdy urzędnicy socjalni i pracownicy społeczni odebrali lub próbowali odebrać dzieci polskim rodzicom, miało też miejsce w Holandii. Jeden z głośniejszych to sprawa pani Joanny P., której decyzją holenderskiego sądu odebrano dwie córeczki. Stało się tak, gdy rodziną korzystającą z pomocy społecznej zainteresowali się holenderscy urzędnicy. Niespodziewanie u kobiety stwierdzono nadpobudliwość psychoruchową. Sąd uznał, że kobieta musi się leczyć, a nie ma na to warunków, więc odebrał jej dzieci.

Ponad rok trwała walka o troje dzieci Polki mieszkającej na co dzień w Berlinie, której urzędnicy Jugendamtu odebrali prawo do opieki nad nimi po tym, gdy podczas domowej awantury, w trakcie której padła ofiarą przemocy ze strony męża, jedno z dzieci zadzwoniło na policję. Niemieckich urzędników nie zainteresowało, kto jest sprawcą całej afery ani to, że to Polka została pobita. Oskarżono ją o znęcanie się nad dziećmi, zabroniono jej widywania dzieci, a nawet rozmawiania z nimi w języku polskim. Sądowo-urzędnicze przepychanki trwały od lutego 2017 r. do końca kwietnia 2018 r. i zaangażowało się w nie polskie Ministerstwo Sprawiedliwości. Ostatecznie Polka odzyskała swoje pociechy.

OBCOKRAJOWCY PROSZĄ POLSKĘ

Coraz częściej też to Polska staje się krajem azylu dla mieszkańców innych krajów UE, którzy szukają tutaj ratunku przed wszechwładzą „nadopiekuńczych" urzędów.

– Wśród próśb o pomoc, które do nas trafiają, przybywa tych wysyłanych przez osoby innych narodowości: Rumunów, Rosjan, a także obywateli Islandii, Szwecji, Norwegii, Wielkiej Brytanii, Holandii czy Niemiec – opowiada nam dr Bartosz Lewandowski z instytutu Ordo Iuris. Dodaje też: – Po sprawie Silje Garmo poszło w świat, że z nami się można kontaktować, że potrafimy pomóc. Ostatnio zwrócił się do nas obywatel Rumunii z prośbą o pomoc, bo miał problem w Norwegii i pytał, co powinien zrobić w sytuacji, w jakiej się znalazł.

Silje Garmo wyjechała z Norwegii do Polski w maju 2017 r. po tym, gdy przyjaciele uprzedzili ją, że urzędnicy Barnevernet odbiorą jej dziecko. Rzekomo miała nadużywać paracetamolu, a także być chronicznie zmęczona. W styczniu ubiegłego roku Urząd ds. Cudzoziemców uznał, że przyznanie azylu dla Norweżki i jej córki jest uzasadnione ze względu na zagrożenie życia rodzinnego, jednak polskie MSZ stwierdziło, iż udzielenie ochrony azylowej „nie leży w interesie Rzeczypospolitej". Instytut Ordo Iuris złożył wtedy wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy przez ministerstwo. W grudniu MSZ ogłosiło, że wyraża zgodę na azyl dla Silje i Eiry Garmo.

Trwa walka o prawo do pozostania na terenie Polski kolejnej obywatelki Norwegii, która w styczniu 2018 r. po tym, jak norweski Urząd ds. Ochrony Dzieci rozpoczął działania mające na celu odebranie trojga rodzeństwa, uciekła do naszego kraju. Powód urzędniczych działań i tym razem był błahy. Pracownicy Barnevernet nie mieli żadnych zastrzeżeń co do sposobu, w jaki kobieta opiekowała się swoimi dziećmi, za to uznali, że niechętnie z nimi współpracuje.

Norwegia wydała europejski nakaz aresztowania przeciwko matce. 1 października ubiegłego roku funkcjonariusze policji zatrzymali kobietę, a jej dzieci trafiły do pogotowia opiekuńczego. Sprawa jest w toku.

Z kolei kilkanaście dni temu Sąd Rejonowy w Warszawie zdecydował, na wniosek rzecznika praw dziecka i prawników Ordo Iuris, że na terenie Polski będzie mógł pozostać obywatel Rosji Denis Lisov wraz z córkami, który uciekł do naszego kraju ze Szwecji. Wcześniej dzieci zostały odebrane przez szwedzki sąd i umieszczone w muzułmańskiej rodzinie zastępczej, mimo że są chrześcijanami. U żony Lisova podejrzewano schizofrenię i uznano, że ojciec sam nie da sobie rady z opieką nad córkami. Ostatecznie mężczyzna zabrał dzieci i po podróży promem do Polski chciał wyjechać z nimi do Rosji. W całej sprawie doszło do radykalnego pogwałcenia prawa międzynarodowego, bowiem już w Warszawie rodzinę zlokalizowały szwedzkie służby i próbowały odebrać dziewczynki. Plany Szwedów pokrzyżowali funkcjonariusze Straży Granicznej i policji. Ostatecznie polski sąd zdecydował, że dziewczynki zostaną przy ojcu. Mężczyzna wystąpił też o przyznanie mu azylu w Polsce.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

Logo geniuszu: LEONARDO

[W 500. ROCZNICĘ ZGONU]

Anonimo Magliabechiano (Gaddiano): *„Był tak niezwykły, tak wszechstronny, iż można powiedzieć, że natura uczyniła go swoim cudem, kimś dużo większym od czołowych mistrzów”* (1542)

Kredkowy autoportret Leonarda (~1512)

Jakob Burckhardt: *„Był istotą w cudowny sposób obdarzoną talentami jako architekt, malarz, rzeźbiarz, inżynier, anatom, fizyk, muzyk i pomysłowy wynalazca przedsięwzięć z wielu dziedzin”* (1855)

eprasa.pl 4e0c707824

Waldemar Łysiak

Przedmowa do węgierskiej edycji listów Leonarda (autorstwa wykładowcy kultury romańskiej na Uniwersytecie Budapeszteńskim): *„Leonardo da Vinci był wprawdzie największym i najbardziej utalentowanym człowiekiem Renesansu, ale nie mógł rozwinąć swego geniuszu w całej pełni, ponieważ nie było to możliwe przed Wielką Socjalistyczną Rewolucją Październikową”* (1954)

To już blisko, w czwartek 2 maja, przypada rocznica, którą można zwać superokrągłą — dokładnie pół tysiąca lat wcześniej zmarł we Francji (w zamku Cloux, koło Amboise) 67–letni Włoch Leonardo da Vinci, uważany dzisiaj za personifikację geniuszu renesansowego (za personifikację geniuszu nowożytnego uważany jest Napoleon Bonaparte, a geniuszu współczesnego — Albert Einstein), chociaż wielu bierze go za wszechczasowe logo geniuszu (do tego stopnia, że imię Leonardo stało się nieomal synonimem terminu *„geniusz”*). Cały świat oddaje więc rocznicowy hołd geniuszowi, bite są medale, urządzane wystawy i konferencje, drukowane panegiryki, wyciągane sensacyjki, Rosjanie ogłosili nawet (**„Komsomolskaja Prawda”**), że matka Leonarda była czerkieską niewolnicą, dlatego można zwać go Rosjaninem (Lonia Vinciew?, analogicznie do Pietia Goras?), i że sprzedany rekordowo (450 mln dolarów, aukcja Christie's, listopad 2017) obraz Leonarda **„Salvator Mundi”** to replika autorska lub pastiszowa kopia, bo oryginał posiada moskiewskie Muzeum Sztuk Pięknych im. Puszkina. Notabene: to samo (że oryginał jest w Anglii, a nie we Francji) głoszono już kilka dekad temu o najsławniejszym malarskim dziele Leonarda — o luwrzańskiej **„Monie Lisie”** vel **„Giocondzie”**, znanej nawet prostakom/burakom/menelom/analfabetom całego globu i wręcz zgadżetowanej przez popkulturę, czego motorem były/są wszelakie *„przeróbki”*, gdyż wielu artystów żeruje na tej ikonie, dekorując ją (jak Salvador Dali, który domalował jej wąsy), deformując (jak Enrico Baj czy Robert Combas), czyniąc klucznicą (jak Fernand Léger), przebierając (jak Roman Cieślewicz, który włożył jej mundur maoistowski oraz maoistowską czapkę i nazwał to: **„Mona Tse–Tung”**) bądź dozbrajając (jak Banksy, który ukazał ją z wyrzutnią rakietową na ramieniu i zatytułował ten mural: **„Mona Lisa Bazooka”**, co interpretowano per: *„dał jej wymowę antywojenną”*). Kiedy chce się wskazać dzieło literalnie *„bezcenne”* (zupełna niemożność wyznaczenia ceny) — rutynowo wskazuje się **„Giocondę”**. Ciekawostka: gdy chce się wskazać najlepszy cenowy interes w dziejach handlu sztuką — też się przywołuje pracę Leonarda, portret Bianki Sforzy (**„La Bella Principessa”**) wylicytowany na aukcji Christie's (styczeń 1998) za 19 tysięcy dolarów jako robótka anonima i dekadę później zidentyfikowany (m.in. dzięki odciskom palców Leonarda) jako arcydzieło da Vinciego. Gigantyczny skok ceny został wówczas uwieczniony *„szmoncesowo”* dialogiem dwóch polskich Żydów z Manhattanu (zyskownego odkrycia dokonano w manhattańskiej Galerii Kate Ganz):

— Mosze, czy ty wiesz co to jest interes?

— Wiem. Interes jest jak zarobisz sto procent.

— A jak zarobisz dwieście?

— No, wtedy to już jest biznes.

— A jak masz zysk dziesięciokrotny?

— Wtedy jest prawdziwy geszeft.

— A znasz nazwę dla sytuacji, gdy przebicie jest 852–krotne?...

Niżej postaram się przeanalizować nazwę *„arcygeniusz”* dla sytuacji, czy raczej dla niezwykłej wielokrotnej (wielowątkowej) *„okoliczności przyrody”* pt. Leonardo:

WSZECHSTRONNOŚĆ VERSUS PRAKTYCZNOŚĆ

Gdyby pod koniec życia kazano mu wypełnić ankietę personalną z rubryką *„zawód wykonywany”* lub *„zawód preferowany”*, nie napisałby: *„malarz”*. Napisałby: *„badacz”*, *„empiryk”*, *„przyrodnik”*, lub coś w tym rodzaju. Wcześniej, pisząc hymn pochwalny o malarstwie, **„Paragone”**, zwał malarza *„panem nad wszystkim ludzkim rodzajem, nad wszystką rzeczą”*, ale później ta wiara mu osłabła i choć dalej uważał malarską sztukę za koronę sztuk pięknych, to jednak nie za koronę możliwości ludzkiego geniuszu, lecz za działalność drugorzędną, wartą uprawiania w chwilach wolnych od czegoś poważniejszego, no i w celu zdobycia grosza na chleb. Dużo mówi nam tu tyczący da Vinciego fragment listu Pietra da Novellara do margrabiny Isabelli d'Este z 14 kwietnia 1501 roku: *„Jak słyszałem, studia naukowe tak mu malowanie obrzydziły, że trudno go przymusić, aby chwycił za pędzel”*.

Roland Barthes powiada o Einsteinie: *„Wytwarzał myśli bez ustanku, niczym młyn wytwarzający mąkę”* (1964) — i to samo można powiedzieć o da Vincim, którego zainteresowania naukowe były skierowane ku tylu dyscyplinom, że *„jego działalność nie miała granic, zdaje się ona wprost przekraczać sferę możliwości człowieka”* (Vittorio Sgarbi, 1992). Sgarbi sugerował klasę nadludzką, boską, śladem Vasariego, który kilka wieków wcześniej wyraził taki sąd o Leonardzie: *„To, czego dokonywał, każdą dziedziną się zajmując, również badaniem praw Natury, jest darem Boga, a nie ludzkich umiejętności”*. Jakie jednak było praktyczne znaczenie odkryć Leonarda? Żadne. Weźmy za przykład kwestię anatomiczną. Wielki lekarz tamtej epoki, Paracelsus, wołał: *„Medycyna jest doświadczeniem”*, co znaczyło, iż głównym kluczem jest anatomia (greckie: *„anatomé”* — krajać), bo żeby leczyć ciało, trzeba znać ciało, a ciało ludzkie nie było rozpoznane wewnętrznie. Toteż Leonardo krajał stosy trupów, dzięki czemu rozszyfrował budowę czaszki wraz z zatokami, system kostny i mięśniowy, konstrukcję oka, funkcjonowanie serca i jego

eprasa.pl 4e0c707824

zastawek, etc., etc., ale wszystkich tych odkryć trzeba było dokonać ponownie w wiekach późniejszych (wiry zastawkowe serca, wykryte przez Leonarda, medycyna ponownie odkryła w drugiej połowie XX wieku!), bo da Vinci — z obawy kary kościelnej (Kościół nie zezwalał krajać zwłok) — utajniał je na łamach swych **„Kodeksów"** pismem sekretnym, które dopiero XX stulecie rozszyfrowało. Stąd nie on, lecz Veselius uchodzi za ojca nowożytnej anatomii.

Inny przykład: wynalazki techniczne. Jean Delumeau twierdzi, że *„historia techniki jest decydującym dowodem potężnego dynamizmu Zachodu w erze Renesansu"* (1967), z czym ja się nie zgadzam, bo liczba praktycznych (stosowanych) wynalazków była wtedy nader skromna i gdyby nie Gutenberg ze swą czcionką, ówczesna wynalazczość Zachodu nie miałaby większego znaczenia dla rozwoju Cywilizacji. Takie właśnie, bez praktycznego znaczenia bieżącego, były również techniczne wynalazki Leonarda.

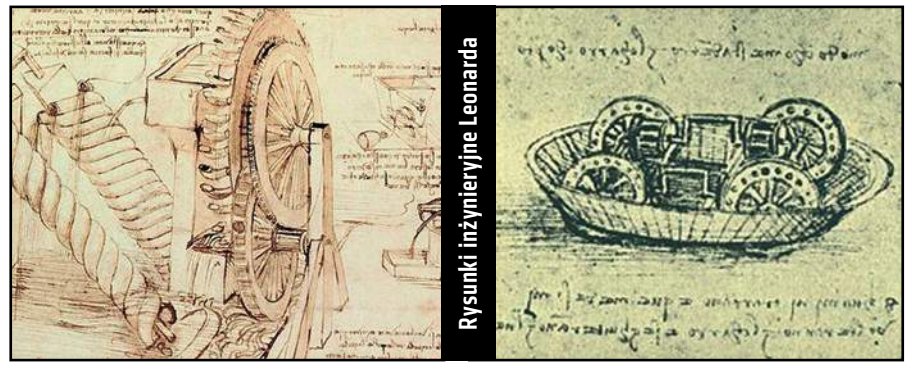

Rysunki inżynieryjne Leonarda

A JEDNAK FENOMEN

Pytanie: *„co Leonardo wynalazł?"* jest kretyńskie; sensowne pytanie brzmi: *„czego Leonardo nie wynalazł?"*. Nie wynalazł depilatora, wibratora, telewizora i telefonu. Poza tym wynalazł wszystko, od maszyn tkackich, turbin, dźwigów, pomp, wiertarek, walcarek, tokarek, szlifierek, łożysk, przegubów i planetarnego układu kół zębatych, do dział odtylcowych z gwintowaną lufą, roweru, kesonu, spadochronu, samochodu, samolotu, kulomiotu, czołgu i helikoptera. Cała ta orgia wynalazków była mało wynalazcza. Nie chodzi nawet o to, że legendarna sława da Vinciego jako inżyniera–wynalazcy jest właśnie legendarna czyli fałszywa lub przesadzona, co pierwszy udowadniał zawzięcie Bertrand Gille, krzycząc, że Leonardo nie wymyślił prawie niczego, bo inni projektowali te same maszyny w tym samym czasie lub dużo wcześniej (istotnie, taki Roger Bacon kombinował sporo rzeczy, od samochodu do skafandra, już w XIII wieku). Chodzi o to, że wynalazki Leonarda nie popchnęły rozwoju techniki, gdyż były tylko rysunkowymi bądź (rzadziej) modelowymi igraszkami geniusza bawiącego siebie i swoich mecenasów (zwłaszcza Lodovica Sforzę il Moro) na tej samej zasadzie, na jakiej Jules Verne bawił naszych dziadów swymi futurologicznymi powieściami. Nie była to praktyczna wynalazczość, lecz twórczość o charakterze *„science–fiction"*. Gdyby system rotodynamiczny, który firma Sperry Giroscope zastosowała w 1920 roku, został wcześniej zastosowany według pomysłu Leonarda, dopiero wówczas moglibyśmy mówić o Leonardzie–inżynierze, wynalazcy systemu rotodynamicznego. I tak jest z każdym Leonardowskim *„wynalazkiem"*. Więcej prawdy, niż sądził autor żartu na łamach londyńskiego **„Puncha"**, kryje ów żart: *„Począwszy od Leonarda Włosi mieli zawsze znakomite pomysły — w czasie II Wojny Światowej jako jedyni używali czołgów tylko z biegiem wstecznym"*.

Trudno się tedy dziwić, że techniczny geniusz da Vinciego miał już od połowy XX wieku złą *„prasę"*, exemplum amerykański publicysta naukowy James Holt, który zakwestionował horyzonty naukowe i talenty wynalazcze Leonarda, zwąc

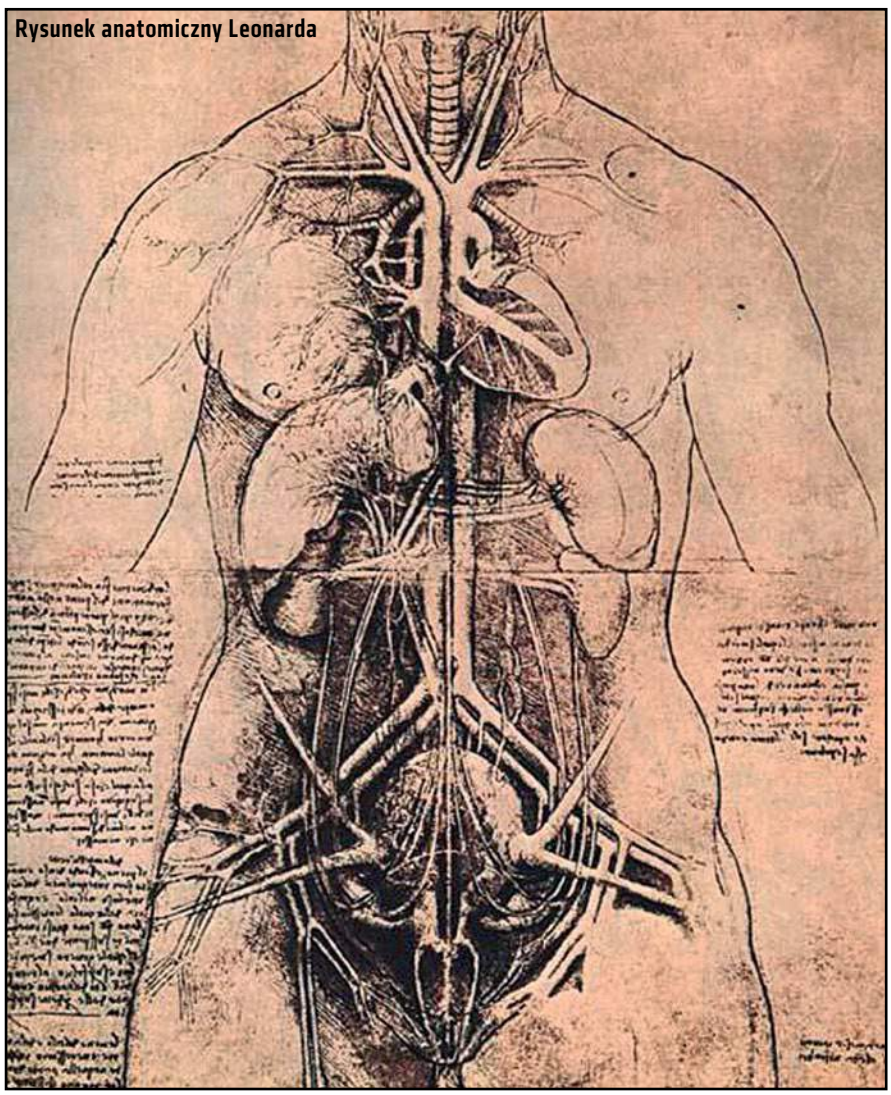

Rysunek anatomiczny Leonarda

eprasa.pl 4e0c707824

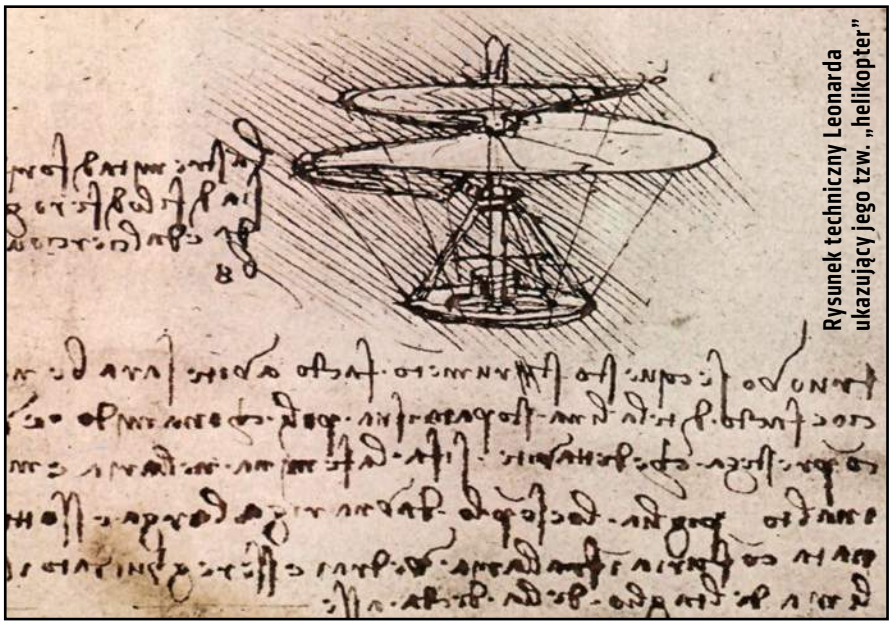

Rysunek techniczny Leonarda ukazujący jego tzw. „helikopter"

go geniuszem drugorzędnym i wskazując, że *„Leonardo miał tylko podstawowe wiadomości z zakresu algebry, a w dziedzinie dynamiki był kompletnym osłem. Większość «wynalazków» przerysował od swych współczesnych: dźwig portowy od Brunelleschiego, machiny wojenne od Niemca Keysera, tak zwany automobil od Sieneńczyka Francesca di Giorgio Martiniego"* (1996). Z kolei dla uczonych–specjalistów multiuczoność Leonarda jest trochę zbyt opozycyjna wobec uczoności prawdziwej. Już Vasari pisał, że uwielbiany przezeń Leonardo *„mógłby być uczonym, gdyby nie był taki wszechstronny"* (1568).

A teraz dość tych sceptycyzmów. Facet, który przed wiekami obmyślał i rysował tyle mechanicznych zabawek XX stulecia, był istotą anormalną. Dzięki temu wszystkiemu, oraz dzięki sztukom pięknym, badaniom anatomicznym i wielodyscyplinarnym naukowym rozważaniom, Anglosasi słusznie zwą Leonarda: *„A man for all ages"* (człowiekiem wszystkich stuleci), Francuzi: *„L'homme de tous les arts"* (człowiekiem wszystkich umiejętności), a mieszkańcy każdego kontynentu *„geniuszem"*. Tak, był geniuszem. Czyli kim?

Moim zdaniem prawdziwy geniusz to człowiek, który potrafi udzielać odpowiedzi na szczególnie trudne pytania dotyczące wszechświata i bytu, człowiek, którego twórcze dokonania wyprzedzają jego czas. Błędy, jakie taki człowiek popełnia, nie mogą odebrać mu chwały, gdyż tylko nieroby nie popełniają błędów. Da Vinci popełnił ich sporo. Błędy w obliczeniach do projektu zapory na rzece Arno spowodowały fiasko przedsięwzięcia i kosztowały władze Florencji utratę dużych sum. Fatalne eksperymentowanie techniką fresku spowodowało nieodwracalne uszkodzenia **„Ostatniej Wieczerzy"** w mediolańskim klasztorze i zagładę **„Bitwy pod Anghiari"** we florenckim pałacu. Malarstwo Leonarda pełne jest błędów geometrycznych i anatomicznych, szczególnie rażących w **„Zwiastowaniu"**, choć i w **„Ostatniej Wieczerzy"** ich nie brakuje. Całkowicie nonsensownym jego wymysłem było radzenie malarzom, aby do czterech barw podstawowych Albertiego (czerwień, błękit, zieleń i szarość) dodali biel i czerń jako odpowiedniki światła i cienia — teoria ta (której sam ściśle nie stosował!) pozbawiła obrazy jego następców czystości kolorytu, brudząc barwne płaszczyzny. Filozofia Leonarda bywa dziecinna; gdy mówi, że *„wielka miłość rodzi się z poznania przedmiotu ukochanego"*, a *„im poznanie głębsze, tym miłość gorętsza"* — bredzi, bo nigdy nie kochał kobiet męską miłością (kochał je tylko jako modelki, miłością portrecistów). Mógłbym dość długo wyliczać rozmaite głupoty Leonarda, ku uciesze dupków, dla których wpadki geniusza są balsamem; zamiast tego skupię się na cnotach i laurach *„boga Renesansu"*.

MALARZ ANALITYK I PSYCHOLOG

Ten bękart (co wówczas nie było hańbą), syn możnego prowincjonalnego notariusza i wieśniaczki, wegetarianin i półmańkut (wbrew dawnym twierdzeniom był oburęczny, ale prawą ręką rysował i pisał słabiej) — urodził się z tyloma przymiotami ciała i duszy, że budził zazdrość lub miłość wszystkich, którzy mieli okazję go spotkać. Współcześni mu licytują się wynoszeniem pod niebiosa jego atrakcyjności fizycznej (Paolo Giovio: *„Oblicze jego było najpiękniejsze w świecie"*; Giorgio Vasari: *„Piękności jego ciała nie sposób przechwalić"*), jego *„królewskiego charakteru"*, wykwintu, kultury osobistej, odwagi, wielkoduszności, sposobu wysławiania, et cetera, tudzież rozlicznych talentów artystycznych, z muzycznymi włącznie (po mistrzowsku brzdąkał lutnią). Jako człowiek ducha gardził żyjącymi tylko życiem cielesnym, twierdząc, iż zasługują na miano pokarmowych przewodów. A co z jego własnym życiem cielesnym? Historycy, którzy próbują wmawiać publiczności, iż brak dowodów homoseksualizmu Leonarda, kompromitują się — znamy nazwiska jego młodocianych przyjaciół i *„domowników"*, i wiemy, że przynajmniej raz (1476) groził mu proces o *„sodomię"* (tak zwano wówczas homoseksualizm). Ale ja mu to wybaczam, choć jestem nietolerancyjnym pedałobójcą. Kocham go za trzy rzeczy: za to, iż przestrzegał artystów, by nigdy nie podlizywali się opinii publicznej; za to, że chadzał na targ, gdzie sprzedawano świeżo złapane ptaki, kupował je i zwracał im wolność; wreszcie za jego malarski geniusz.

Badał malarstwo tak, jak biolog bada funkcjonowanie żywych organizmów. Wynajdywał efekty, które formalnie wynaleziono po nim, choćby nonsensowność tzw. *„barwy lokalnej"* (barwa danej bryły zależy między innymi od barw brył sąsiednich, co w pełni odkryje dopiero XIX–wieczny Impresjonizm), lub analogiczny problem kształtu (tzw. *„refleks form"* — tu kłania się Cézanne), lub problem konturu (nie ma ostrego konturu), czy ukochany później przez Barok problem ciał w gwałtownym ruchu obrotowym (**„Bitwa pod Anghiari"**, znana ze szkiców — bardzo chętnie kopiował ją rysunkowo Peter Paul Rubens). Roztrząsał zagadnienia każdego rodzaju perspektywy, łącznie z perspektywą barwną, powietrzną i anamorfotyczną. Wreszcie nikt inny, tylko on wprowadził do malarstwa Szekspirowską wręcz dramaturgię kompozycji i psychologię postaci, czego symbolem jest **„Ostatnia Wieczerza"**, fenomenalny teatr ludzkich charakterów, wyprzedzający — jako perfekcyjne studium natury *„homines sapientes"* — analizę zrobioną w **„Księciu"** i w **„Rozważaniach"** przez Machiavellego.

Uchwycić pędzlem tę czwartą sekundę po trzech sekundach strasznego

eprasa.pl 4e0c707824

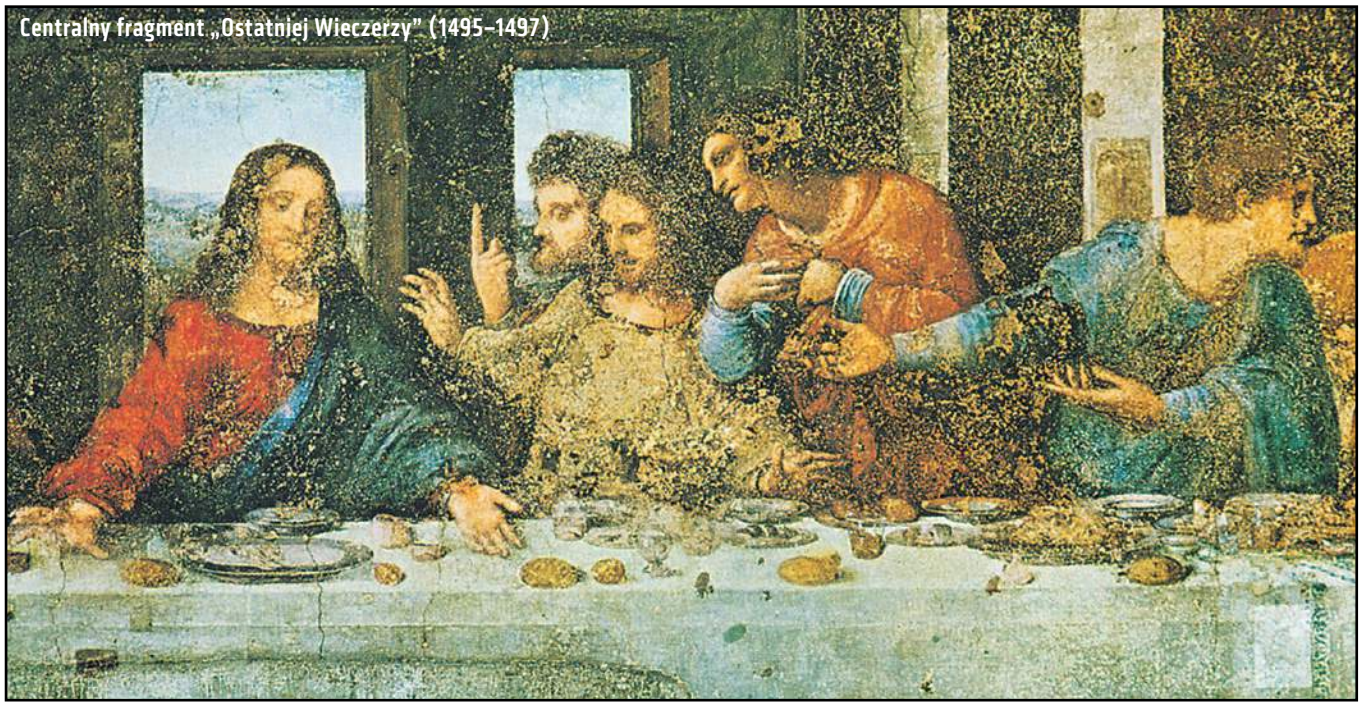
Centralny fragment „Ostatniej Wieczerzy" (1495–1497)

milczenia, które wywołał Chrystus mówiąc: *„ — Jeden spośród was mnie zdradzi"*. Ten szok, eksplozję przerażenia, osłupienia, bólu, gniewu i wstydu. Zrobić to tak kunsztowną aranżacją sceny, tak bogatą fizjonomiką twarzy i konfiguracją ciał, i tak porywającą pantomimą gestów rąk. Wymowa dłoni (studiowana przez Leonarda przy pomocy wielu szkiców) jest w tym dramacie psychologicznym, jakiego wcześniej nie znało malarstwo, symfonią może nawet ciekawszą niż koncert grany obliczami apostołów.

Za plecami Judasza widać coś bardzo bulwersującego — nóż trzymany dwudziestą siódmą dłonią, niczyją, nienależącą do żadnej z figur, których jest tu trzynaście (Bruegel, malując grupę postaci, dodał jedną nogę, ale dla żartu, gdy u Leonarda dodatkowa dłoń stanowi sekretne przesłanie, rebus). Zaś najpiękniejsza twarz — wzruszająco głęboka, czysta, szlachetna twarz Chrystusa — nie została ukończona. Ten nóż to *„segreto"* (tajemnica), a ta niedokończona fizjonomia to *„non finito"* (brak wykończenia), obydwa elementy licznika w równaniu charakteryzującym malarstwo Leonardowskie, gdzie mianownikiem jest *„sfumato"* (światłocień Leonardowski).

KRÓLUJĄCA ENIGMA

Zacznijmy od *„segreto"* — od tajemnicy, która snuje się wokół dzieła Leonarda–malarza, i od tajemniczości, która promieniuje z całego jego dorobku. Tajemniczość była, jest i będzie królewską kochanką każdej sztuki, mając zawsze tylu

„Ostatnia Wieczerza" – fragment z Judaszem i (po prawej) detal z nożem

eprasa.pl 4e0c707824

zwolenników, ilu jest przeciwników zbyt prostych odpowiedzi na rzucane sztuce wyzwania. Amerykański pisarz Frederic Prokosch rzekł: *„ — Sztuka potrzebuje tajemniczości, a nie ideologii, gdyż wszelka ideologia zabija twórczość. Jedna tylko ideologia sprzyjała tworzeniu arcydzieł, a mianowicie: Kościół. Nowoczesne malarstwo wydaje mi się zbyt statyczne. Na widok obrazów Picassa dostaję klaustrofobii. Bardzo za to lubię perspektywę płócien włoskich i flamandzkich, z ich tajemnicą"* (1985). Pod słowem *„perspektywa"* Prokosch rozumiał tutaj tła pejzażowe włoskie i flamandzkie, które hipnotyzują i wchłaniają człowieka w głąb obrazów, tak jak błędne ogniki wabią i wciągają wędrowców w głąb puszcz i bagien. Rzadko przed Leonardem transcendencja tła pejzażowego zbliżyła się do tego poziomu arcytajemniczości, który on demonstruje **„Madonną wśród skał"**, **„Ginevrą"** i **„Giocondą"**.

Leonardo da Vinci doskonale rozumiał coś, co później zostało zwerbalizowane przez Vincenta van Gogha (*„Rzeczywistość jest jak gdyby zagadką zamkniętą w zagadce"*) tudzież przez Antoine'a de Saint–Exupéry'ego (*„Tajemnica jest kluczem wszechświata"*) i przez wielu innych. Stąd tyle rzeczy na jego malowidłach jarzy się frapującym pytajnikiem. Tajemnicze są wszystkie te fantastyczne, baśniowe, zalane światłem zmierzchu krajobrazy w tłach Leonarda, tajemnicze są uśmiechy oraz półuśmiechy figur Leonarda (medialnie dominuje dzisiaj półuśmiech **„Giocondy"**), wieloznaczne i często nie do objaśnienia są symbole Leonarda, mnóstwo jego rozwiązań formalnych, jak również treściowych, budzi nieustające kontrowersje i polemiki. Przeciw każdej prawie interpretacji dzieła Leonarda da się znaleźć tak samo logiczną kontrinterpretację, zatem — być może — wszystko, co uczeni w piśmie drukują na temat jego twórczości, jest stekiem głupot. Notabene cała twórczość Leonarda–malarza, będąca *„furtą otwartą ku niespokojnym żywiołom tajemnicy"* (Ksawery Piwocki, 1977), stanowi dużą zagadkę jako dorobek, bo poza kilkoma pracami kwestionuje się autorstwo większości przypisywanych mu obrazów.

Jezuita hiszpański, Baltasar Gracián y Morales, kreator **„Brewiarza dyplomatycznego"** (pierwsza połowa XVII wieku), ganiąc zbytnią otwartość, a zalecając tajemniczość i powściągliwość, rzekł pysznie: *„Trzeba naśladować Boga, który stale trzyma ludzi w niepewności"*. Półbóg Leonardo dobrze o tym wiedział. Kenneth Clark definiuje *„zmysł tajemniczości"* Leonarda jako *„jeden z jego najgłębszych instynktów"* (1939). Również Michael Levey i właściwie każdy komentator Leonarda poświęca kilka słów tajemniczości pędzla da Vinciego. Przeczytałem, iż siła tej tajemniczości jest tak wielka, że *„łamie się w zderzeniu z nią nawet klucz psychoanalizy Freudowskiej"*. To akurat żaden komplement, bo psychoanaliza pana Freuda (który wypisał o symboliczno–onirycznych znaczeniach dzieł da Vinciego mnóstwo bzdur) była zwykłym hochsztaplerstwem, humbugiem — ale jest prawdą, że wszelki klucz łamie się przy próbach przeniknięcia dzieła Leonarda. Jego sztuka to *„czarna magia"*.

NON FINITO

Tajemnicę i tajemniczość Leonardowskiej sztuki pogłębia charakterystyczny dlań syndrom *„non finito"* — zwyczaj niewykańczania obrazów. Prawie żad-

„Madonna wśród skał" (1483–1486)

eprasa.pl 4e0c707824

nego nie zamalował do końca, odrzucał pędzel po naszkicowaniu kompozycji, lub gdy robota była gotowa w trzech czwartych, albo też w czterech piątych, różnie. Już kilka wieków krytycy i analitycy szukają odpowiedzi na proste pytanie: dlaczego? Jako pierwszy stanął przy tej tablicy Giorgio Vasari, superbiograf Renesansu. Fakt, iż Leonardo niezupełnie wykończył w **„Cenie"** twarz Judasza, a kompletnie nie ukończył twarzy Chrystusa, Vasari tłumaczy tym, że mimo długich wysiłków nie mógł znaleźć wśród żywych ludzi właściwych modeli, które by uosabiały najniższą podłość i najwyższą świętość. Generalnie jednak Vasari tak interpretuje Leonardowskie *„non finito"*: *„Dzięki swym umiejętnościom poświęcał się dla wielu dziedzin i wiele rzeczy podejmował, ale niczego nie kończył, bo wydawało mu się, że ręka ludzka doskonałości, o jakiej marzył, nie jest w stanie osiągnąć"* (1568). Tłumaczenie Vasariego zadowala licznych krytyków, nawet wielki Ernst Gombrich poszedł tym właśnie tropem: *„Wciąż słyszymy echo rozczarowań Leonarda: «Malarze często boleją, że obrazy ich nie są tak plastyczne i żywe, jak przedmioty widziane dzięki lustrzanemu odbiciu» (...) Wypowiedź ta tłumaczy źródło głębokiego niezadowolenia Leonarda z własnej sztuki. Trudno się dziwić ówczesnym autorom opisującym starość Leonarda, coraz bardziej zniecierpliwionego malarstwem, coraz głębiej pochłoniętego matematyką"* (1961).

Próba alternatywnej odpowiedzi sugeruje nam kwestię psychiczną związaną z procesem poznawczym praktykowanym przez b a d a c z a. Dla Leonarda wykończenie malowidła stawało się zbędne gdy już rozstrzygnął mentalną (naukową) zagadkę, którą akurat drążył. Nie musiała być nawet rozstrzygnięta pędzlem, starczyło, że podczas malowania została rozstrzygnięta w jego umyśle, w wyobraźni. Otwarcie mówił, że według niego malarstwo to *„una cosa mentale"* — sprawa umysłu. Mózgiem malował dużo więcej niż farbami, stąd tworzenie obrazów zajmowało mu kilka lub kilkanaście lat. Weźmy **„Cenę"** — przychodził do refektarza klasztornego, stawał pod ścianą z freskiem, stał tak parę godzin milcząc, nie wchodząc na rusztowanie, nie dotykając ściany, i wychodził. Bywało, że dzień za dniem postępował w ten sposób. Gniewano się wówczas, iż próżnuje, a on ciężko pracował, tylko że akt kreacji rozgrywał się wewnątrz jego głowy.

Nie wiem, czy ten rodzaj tłumaczenia — modus pt. stawanie się ważniejsze od finału — właściwie wyjaśnia Leonardowskie *„non finito"*. Wiem wszakże, iż modus ten, według którego celem nie jest kończenie dzieła, ale granica procesu poznawczego, był często praktykowany. Św. Tomasz z Akwinu, pisząc ostatnią swą rozprawę, doznał iluminacji, która odebrała mu chęć kończenia (przerwał robotę nad książką), gdyż wobec tego duchowego przeżycia, tego objawienia mistycznego, realizacja wydała mu się aktem zbędnym, czymś w rodzaju mieszania plew po zbożu, z którego już zrobił mąkę, już wypiekł bułkę i już ją skonsumował.

Ernst Ullmann zauważa (1980): *„«Non finito» pewnych prac Leonarda inspirowało pokolenia artystów, mobilizowało fantazję widzów, dawało smakować czar nieukończenia i w jakimś stopniu ukształtowało dzisiejszą wrażliwość estetyczną"*. Romantyzm pierwszy zaczął się bawić niedokończeniami na dużą skalę i wywołał tym silny opór tradycjonalistów. Ruskin, broniąc Turnera przed zarzutem niekończenia prac, dowodził, iż *„finito"* jest obowiązkiem kamieniarza lub przy obróbce części maszyn, gdy elementy muszą pasować do siebie precyzyjnie, ale w sztuce ukończenie polega *„na pełnym wyrażeniu idei"*, nie zaś na wypieszczeniu każdego centymetra obrazu. Leonardo kilka wieków wcześniej myślał właśnie tak.

ZADYMIANIE

A teraz mianownik całej Leonardowskiej sztuki pędzla — jego firmowy światłocień, *„sfumato"*, w wynalezieniu którego pomógł Leonardowi–malarzowi Leonardo–badacz optyki i fizyki atmosfery. Za czasów Leonarda od światłocienia nie było już odwrotu. XV–wieczną *„maniera secca e cruda"* (Vasari), styl twardych konturów wypełnianych czystym kolorem, niektórzy będą stosować jeszcze długo, lecz generalnie było już rzeczą przesądzoną, iż malarstwo znalazło swoją napędową siłę oraz cechę charakterystyczną w grze świateł i cieni. Wczesne włoskie *„chiaroscuro"* (światłocień) miało rozliczne niuansowe warianty, wszystkie one jednak traktowały światła i cienie sprawiedliwie (równoważnie), albo dawały prymat światłu. Wyjątkiem był da Vinci, bo kochał cień dużo bardziej niż światła. Ów cień, którego wszelkie gradacje (półcienie) stanowią u Leonarda klucz modelunku, nie był dlań po prostu ciemną, czarną lub szarą plamą, gdyż Leonardo wiedział już coś, co Impresjoniści wykryli kilka wieków później — że cienie są barwne, a ich tonacje zależą od siły i kierunku padania światła. Studiował to po swojemu, czyli naukowo, rozróżniając typy cieni własnych (*„ombre originale"*) od rzuconych (*„ombre derivative"*), i nimi wyrażał wszystko (bryłę, głębię, tajemniczość i paranocną mroczność swoich ujęć), można rzec: nimi pragnął rozszyfrować sekret malowania. Cień spod jego pędzla był jak mgła ożeniona z mrokiem — tajemniczość miała dzięki takim cieniom idealne medium dla wyrażania swoich stanów.

Leonardowska ucieczka ze strefy światła w strefę cienia to nie negacja świateł każdych, tylko negacja świateł ostrych, pełnosłonecznych, budujących silne kontrasty *„chiaroscuro"*. Ten rodzaj świateł da Vinci uważał za wrogi malarstwu, pisząc: *„Pełne światło spłaszcza i psuje formę (...) Gdy malujesz na dziedzińcu, wieszaj przeciwsłoneczne płachty, a uzyskasz lepsze światła. Kiedy portretujesz — rób to przy chmurach, lub pod wieczór, o zmierzchu (...) W chmurnej pogodzie i we mgle twarze mają więcej wdzięku, bo pada na nie miękkie światło"*. Zaprzeczy mu dopiero Caravaggio, który uwielbiał właśnie to (ostry kontrast), czego Leonardo nienawidził.

Tak więc cechą wyróżniającą Leonardowski światłocień jest brak kontrastów. Już nawet nie silnych kontrastów — kontrastów w ogóle. Florenckim malarzom wieku XV światłocień służył dla ukazywania wypukłości lub wklęsłości form przez kontrast (jasne–ciemne), czyli dla plastycznego modelowania, tymczasem Leonardowskie *„sfumato"* (dymność) prowadzi do rozmywania konturów każdego elementu i do stapiania ciał z otoczeniem dzięki delikatnym przejściom i gradacjom cieni — dzięki *„zadymianiu"*. Stąd nazwa, wzięta od dymu. Da Vinci radził tak: *„Między światłami a cieniami stosuj półcienie, i dbaj o to, by cienie i światła przechodziły w siebie bez kontrastów, na podobieństwo dymu"* (*„a uso di fumo"*). Innym razem pisał: *„Światło i cień winny być rozwiewne niby dym"*. I takie właśnie u niego są, co zwłaszcza w **„Monie Lisie"**, w **„Madonnie wśród skał"** i w **„Św. Annie Samotrzeciej"** budzi zachwyt, bo wszędzie tam Leonardo modeluje całościowo symfonię dzieła, likwidując mgielnym welonem *„sfumato"* twardość form, zwiększając ich plastyczność oraz iluzjonistyczną realność, nadając kompozycji świetną głębię i nową, nieznaną dotychczas poetykę.

Dzięki *„sfumato"* realizm w malarstwie zrobił duży krok. Mistrz malarskiego Romantyzmu, Eugène Delacroix: *„Można tylko zdumiewać się, jak niesłychanie*

eprasa.pl 4e0c707824

Leonardo pchnął naprzód malarską sztukę, jednym zamachem zrywając z tradycyjnym malarstwem wieku XV i osiągając rozumny, umiejętny naturalizm, wolny od retoryki, od niewolniczego kopiowania natury i od pustego ideału".

* * * * *

A co jest przeciwieństwem *„pustego ideału"* — ideałem kompletnym? Podług wielu luwrzańska **„Gioconda"**, w której jest wszystko, od modelki ciągle reinterpretowanej identyfikacyjnie (funkcjonuje nawet hipoteza transcendentnego autoportretu!), po krajobraz będący właściwie surrealistycznym kosmosem, wszechświatem. Jedyny malunek, który zadowolił da Vinciego, wyrywając mu spod pióra westchnienie: *„Zdarzyło mi się stworzyć prawdziwie boski obraz"*. Ten obraz zdumiewał legiony komentatorów, nie tylko historyków sztuki — również psychoanalityków i naćpanych dzikusów (afrykański szaman, któremu pokazano reprodukcję, krzyknął: *„ — To czarownica, żona diabła!"*). Napoleon Bonaparte trzymał ją wewnątrz swego gabinetu w pałacu Tuileries, zwąc *„Sfinksem Zachodu"*, przez co rozumiał m.in. jej wszechstronną tajemnicę (*„segreto"*), z której później wałkowano (całe dwa stulecia) zagadkę jej *„niebiańskiego bardziej niż ludzkiego uśmiechu"* (Vasari), choć w każdym stuleciu byli też szydercy — w wieku XIX pisarka George Sand wykpiwała *„uśmiech tej ponętnej brzyduli, która nie jest osobą, tylko ideą, może nawet idée fixe"*; w wieku XX pisarz William Somerset Maugham piętnował *„głupawy uśmiech tej sztywnej i niedopieszczonej kobiety"*. Dziś przez ten legendarny grymas ust większość ludzi ma na temat **„Giocondy"** skojarzenie takie, jak na temat kota z Cheshire (**„Alicja..."**) — w końcu został tylko uśmiech — bo bez przerwy czyta się egzegezy tego uśmiechu.

Dla uczonych tajemnica **„Giocondy"** tkwi gdzie indziej. Obraz przebadano wszystkim co zostało wymyślone w wieku XX (fotografia podczerwona, mikrofotografia, rentgen, itd.) i kierowniczka laboratorium Luwru, główna konserwatorka dzieł będących własnością państwowych muzeów Francji, Madeleine Hours–Miédan, oznajmiła światu: *„Z technicznego punktu widzenia to dzieło jest absolutnym unikatem na przestrzeni całej historii sztuki. Jego materia malarska opiera się wszelakim badaniom i analizom. Zbadałam dziesiątki obrazów z tamtej epoki i w żadnym z nich nie było cechy, która charakteryzuje **«Giocondę»** — tą cechą jest niematerialność! Obraz całkowicie przepuszcza promienie Roentgena, a przy badaniu faktury nie pomagają żadne mikroskopy i żadne światło. Trzeba było zastosować specjalny aparat, by otrzymać w końcu zdjęcie rentgenowskie, lecz i tak bardzo słabe, bardzo niewyraźne. Portret jest jakby przezroczysty — brak mu czegokolwiek, co by zdradziło technikę pędzla, a pigmenty są zupełnie nieuchwytne, można tylko przypuszczać, że były to roślinne barwniki stosowane do farbiarstwa, mieszane w elastycznej zawiesinie ze spoiwem tak ulotnym, iż nie zostawiło po sobie śladu. Dlatego wszystkie promienie płyną na wskroś, nie mogąc dobrze uczepić się tej amaterialnej materii, która każe zapytać: skoro obraz jest tak nieuchwytny, to czy tu jeszcze chodzi o malarstwo?"*.

Słusznie, tu chodzi o czary, jak w każdym obrazku Leonarda, tylko trochę bardziej. Mnie przekonuje werdykt wybitnego niemieckiego historyka sztuki Richarda Muthera: *„Nasuwa się przypuszczenie, że Leonardo usymbolizował tym obrazem siebie samego, swą własną duszę, nieprzeniknioną i głęboką jak duch Fausta, gdyż sam był takim właśnie sfinksem jak Mona Lisa"* (1901). ©℗

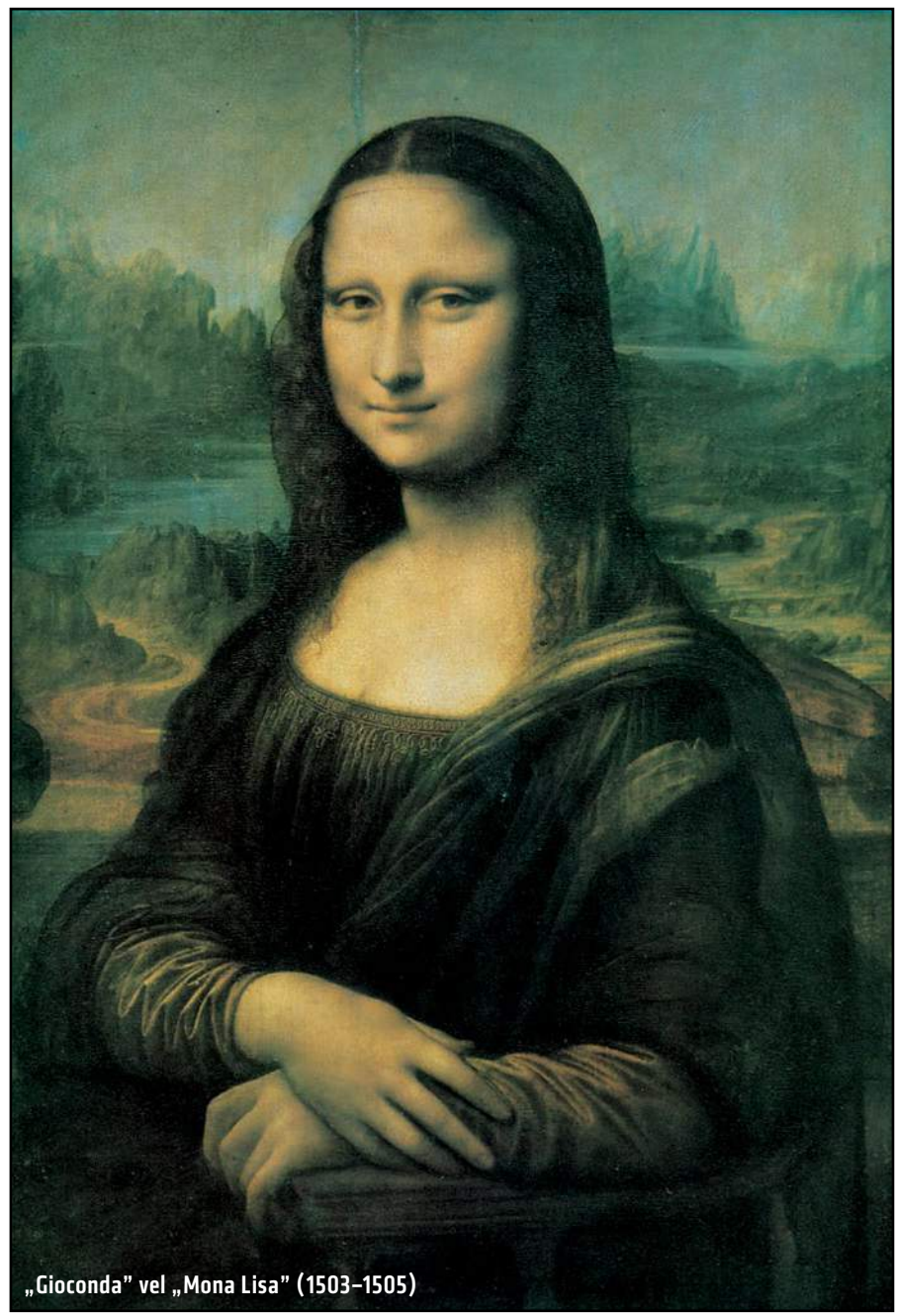

„Gioconda" vel „Mona Lisa" (1503–1505)

eprasa.pl 4e0c707824

Z Ałbeną Grabowską, pisarką, lekarzem neurologiem i epileptologiem
rozmawia
Tomasz Zbigniew Zapert

Stulecie w Brwinowie

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Zna pani twórczość Marii Rodziewiczówny, Marii Dąbrowskiej i Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz? Pytam, bo te pisarki skojarzyły mi się podczas lektury „Stulecia Winnych”.

AŁBENA GRABOWSKA: Znam spuściznę dwóch pierwszych, nie poznałam dorobku trzeciej z wymienionych autorek. Twórczość Dąbrowskiej jest dla mnie bardzo ważna i odegrała ogromną rolę w moim pisaniu. „Noce i dnie” uważam za arcydzieło pod każdym względem. Podobnie jak „Lalkę” Bolesława Prusa oraz „Sagę rodu Forsyte'ów” Johna Galsworthy'ego. Podczas lektury „Stulecia Winnych” powinny czytelnikowi przypominać się także książki Gabriela Garcíi Márqueza i Isabel Allende. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Nazwisko bohaterów wpada w oko i ucho, ale brzmi wieloznacznie. Mieli pierwowzory?

Rodzina Winnych ma pierwowzór jedynie literacki. Tworząc postać Broni Winnej, miałam w pamięci Urszulę ze „Stu lat samotności” Márqueza. Urszula jest nestorką rodu Buendía, podobnie jak Bronia – rodziny Winnych. Wydawałoby się, że te dwie bohaterki dzieli wszystko – miejsce, czas oraz zadania do wykonania – a jednak są do siebie niezwykle podobne. Obie są strażniczkami domu. Dbają o to, by był chleb na stole, grzebią bliskich, witają na świecie nowych członków rodziny, czekają, kochają i ocierają łzy własne oraz swoich dzieci i wnuków. I chociaż mężczyźni walczą na wojnie i decydują o wszystkim, to kobiety pozostają w domu. One są najbliżej tych, którzy przeżyli. Dotykają codzienności, małej historii. Podobnie nadprzyrodzony dar Ani jest „literacki”. Inspirowałam się „Domem duchów” Isabel Allende, ale też legendami bałkańskimi. Mam bułgarskie korzenie, a tam jasnowidzenie jest swego rodzaju cechą narodową.

Co do tytułu chciałam, żeby był wieloznaczny. Nazwisko głównych

eprasa.pl 4e0c707824

Kadr z serialu TVP „Stulecie winnych”
FOT. HUBERT KOMERSKI/MAT. PRAS.

bohaterów miało przyciągać czytelnika. Szukałam najbardziej odpowiedniego. Myślałam o nazwiskach „Żelazny”, „Kalambur”, „Spiżowy”. „Winni” byli najprostszym i najlepszym wyborem.

Akcja toczy się w Brwinowie. To przypadek?

Nie. Mieszkam tam od 16 lat. Urodziłam się niedaleko, w Pruszkowie. Miejsce osadzenia akcji powieściowej jest niezwykle istotne, a Brwinów okazał się idealną ilustracją historii Polski w pigułce. W czasie I wojny światowej przez miasteczko przebiegała linia demarkacyjna. Weszli Niemcy, potem wyparli ich Rosjanie. Brwinowianie znaleźli się w środku walk między dwoma agresorami. I jedni, i drudzy zabierali ludziom zwierzęta i plony, grabili i niszczyli. Po wojnie zapanowały kruchy pokój i stabilizacja, a wtedy Stanisław Lilpop postanowił zrealizować niezwykłą jak na owe czasy ideę stworzenia centrum kulturalno-literackiego – miasta ogrodu Podkowy Leśnej. Rozparcelował ziemię na niezwykle korzystnych warunkach, osiedlił się w willi Aida, zbudował Elektryczną Kolej Dojazdową. Patrzył z radością, jak do Brwinowa i Podkowy ściągają artyści i naukowcy. Po ślubie córki Anny z Jarosławem Iwaszkiewiczem w Stawisku gościli literaci. W Brwinowie mieszkał także prof. Wacław Werner, znakomity fizyk, a w Podkowie Leśnej – prof. Kazimierz Michałowski, wybitny polski archeolog i egiptolog, który spoczywa na brwinowskim cmentarzu. Piękni ludzie, niezwykłe czasy. Chciałam pokazać to wszystko z punktu widzenia zwykłego człowieka. Wybór Brwinowa na miejsce akcji powieści stał się dla mnie oczywisty.

Chyba nie wszystko w tej sadze jest jednak kreacją...

Oczywiście nie wszystko, ale kreacja przeważa. Uważam, że pisarz jest kreacjonistą. Powinien stworzyć unikalną rzeczywistość. Rodzaj lustra prawdy, w którym umieści fakty i odbije fikcję literacką. Jedno z drugim musi się płynnie przenikać. Fakty uwiarygodniają fikcję.

Precyzyjny konspekt tkwił w głowie autorki od napisania pierwszego akapitu czy kolejne epizody rodziły się z czasem?

Nie piszę konspektów. Mam całość powieści zarysowaną w głowie. Dużo myślę, zanim zacznę pisać. Zaczynam od wyboru gatunku literackiego, to podstawa. Nośnik mojej historii jest tu sprawą kluczową. Pisałam już powieści obyczajowe, thrillery psychologiczne, powieści drogi oraz kryminały, sagi i książki przygodowe. Dlatego każda moja książka jest inna. Spotykam się nawet z opiniami, że to niemożliwe, aby jedna osoba napisała „Coraz mniej olśnień” i „Tam, gdzie urodził się Orfeusz”, „Kości proroka” i „Alicję w krainie czasów”.

Następnie wybieram sposób narracji, czyli przemawiania do czytelnika. To bardzo ważny moment. Potem tworzę sylwetki bohaterów, kształtuję ich cechy indywidualne, szkicuję biografie i wprowadzam do opowieści. Kolejnym krokiem jest nadanie temu wszystkiemu biegu, spojenie w całość. Podobnie pracuję, jeśli książka wymaga poszukiwania faktów, czyli researchu. Przygotowuję się wcześniej, zaczynam pisać, ale wiele zdarzeń i informacji, które są mi potrzebne, wyszukuję w czasie tkania narracji. Wydaje mi się, że taki modus operandi wynika z tego, iż wiele lat pracowałam naukowo. Badania, które są podstawą pracy naukowej, przenoszę na tworzenie fabuły. Materiał, metoda, opis, wyniki i wnioski. W moim przypadku właśnie ta strategia sprawdza się najlepiej.

Książkę dedykuje pani konkretnym osobom...

Moim polskim dziadkom i ojcu, który zmarł w 1997 r. Niestety, nie doczekał ani wnuków, ani moich książek. Zaczęłam pisać dopiero kilka lat później. Ta dedykacja nie jest przypadkowa. Moją pierwszą książkę, „Tam, gdzie urodził się Orfeusz”, dedykowałam mojej bułgarskiej babci.

„Stulecie Winnych” jest na wskroś polskie. Mój dziadek Stefan był wielkim patriotą. Większość pieśni Moniuszki znał na pamięć, śpiewał arie z „Halki” i ze „Strasznego dworu”. Godzinami recytował Tuwima, Gałczyńskiego, Przybosia, Kubiaka. On zaprowadził mnie na grób Iwaszkiewicza w Brwinowie i podarował „Młyn nad Utratą”. Babcia była rusycystką. Szczyciła się tym, że w przeciwieństwie do dziadka, który miał chłopskie korzenie, jest pochodzenia arystokratycznego. Mój ojciec był wesoły, lubił polską kuchnię i prozę Dołęgi-Mostowicza. Oglądam serial „Stulecie Winnych” w TVP i myślę, jak bardzo ojciec by się cieszył z tej ekranizacji.

Dlaczego nie przyłożyła pani ręki do scenariusza serialu powstałego na kanwie powieści?

Uważam, że każdy powinien robić to, co potrafi najlepiej. Nie miałam do tej pory doświadczenia z pisaniem scenariuszy. Uważałam, nadal zresztą tak sądzę, że nie napisałabym go tak dobrze, jak uczyniła to grupa scenarzystów pod kierownictwem pani Ilony Łepkowskiej. Konsultowano się ze mną, zmodyfikowałam niektóre sceny medyczne, ale nie chciałam wpływać na przekład z języka filmu na język obrazu. Jest zrobiony bardzo dobrze. To wierna ekranizacja.

eprasa.pl 4e0c707824

Pisarz powinien umieć oddać swoje dzieło innym i jedynie obserwować, jak ono ewoluuje, rośnie, jak się przekształca w oczach czytelników, następnie widzów.

I jeżeli miałam jakieś wahania, to przekonały mnie dwie sprawy. Po pierwsze pytanie, czy w drugiej części „Stulecia…” są sceny czy postaci, których brak w części pierwszej, a powinny znaleźć się w serialu. Rzeczywiście, wprowadziliśmy osoby Róży Freilich oraz Antka Jamrożego, bardzo ważne w części drugiej, w pierwszej występujące jedynie epizodycznie.

AŁBENA GRABOWSKA „STULECIE WINNYCH” WYDAWNICTWO ZWIERCIADŁO 2018

Druga sprawa to umiejętność zrezygnowania z bohaterów, którzy w powieści pełnią ważną funkcję, ale w filmie stanowiliby jedynie obciążenie, konieczność rozpisywania dla nich specjalnych sekwencji. Ja bym pewnie nie umiała zrezygnować z pokazania w serialu braci Ani i Mani, a także piątego z synów Broni i Antoniego Winnych – Stefana. A scenarzysta usunął te figury z korzyścią dla serialu.

A moim zdaniem pani Łepkowska strywializowała powieść. Na obsadę filmu wpływu pani też nie miała?

Ja tak nie uważam. Jak już wspominałam, zespół scenarzystów świetnie przełożył moją prozę na język filmu i jestem mu bardzo wdzięczna. Co do obsady – wyobrażałam sobie, jak powinni wyglądać bohaterowie, ale brak mi doświadczenia filmowego. Od tego są reżyserowie castingu. Wykonali wspaniałą robotę. Nie mogłabym sobie wymarzyć lepszej obsady. Kinga Preis, Jan Wieczorkowski, Roman Gancarczyk, Arkadiusz Janiczek, Adam Ferency, Olaf Lubaszenko, Katarzyna Wajda, Anna Grycewicz, Lidia Sadowa, Jakub Zając, Patryk Szwichtenberg, Andrzej Mastalerz i wielu, wielu innych. Aktorzy dziecięcy także zostali bardzo dobrze dobrani.

Nie kusiło pani, by pokazać się choćby w dalekim planie? Przecież aktorstwo to ponoć niespełnione marzenie…

Ależ pokazałam się dwukrotnie! W piątym odcinku występuję jako gość Anieli Pilawitz, siostry Lilpopa, na przyjęciu w Aidzie wydanym z okazji odzyskania niepodległości. W szóstym jestem gościem na weselu Anny Lilpopówny i Jarosława Iwaszkiewicza. Mam piękne suknie, a w drugiej scenie efektowny kapelusz na głowie. Producenci i reżyser ziścili me filmowe marzenie!

Jak to się stało, że wykwalifikowana lekarka zamieniła stetoskop na pióro?

Odeszłam z Kliniki Neurologii i Epileptologii z powodów rodzinnych. Wcześniej pracowałam bardzo intensywnie, pisałam prace naukowe, byłam nauczycielem akademickim, oprócz tego przyjmowałam pacjentów i dyżurowałam. Niezwykle ciężka praca lekarza. Nie przyszło mi do głowy, aby pisać prozę. Kiedy zaczęłam opisywać badania wideo EEG, pojawił się czas, którego wcześniej nie miałam. Zaczęłam wtedy spisywać historie zasłyszane w dzieciństwie. Mierzyć się z dziedzictwem moich bułgarskich krewnych. Chciałam przekazać tę wiedzę swym dzieciom, aby mogły poznać kraj lat dziecinnych matki. „Tam, gdzie urodził się Orfeusz” został wydany drukiem, potem zaproponowano mi napisanie bajki terapeutycznej, a następnie napisałam historie na specjalne zamówienie mojego syna, który miał wtedy osiem lat. Po zakończeniu drugiej części przygód „Julka i Mai” miałam już pomysł na powieść dla dorosłych. Wiedziałam, że potrafię i chcę pisać.

Dlaczego literacką przygodę zainaugurowało bajkopisarstwo?

Pierwszy był „Tam, gdzie urodził się Orfeusz”, dopiero później bajka terapeutyczna oswajająca chore dzieci z padaczką. Następnie seria przygód Julka i Mai wędrujących po ludzkim umyśle. To wielka sztuka pisać dla dziecka. Nie można mu wmówić, że coś jest dobre. Ono w to nie uwierzy, jeśli tego nie poczuje. Przyzwyczailiśmy się deprecjonować literaturę dziecięcą. Tymczasem dla dzieci nie znaczy wcale „gorsze”. Trzeba mieć pomysł, iście dziecięcą radość w sobie i warsztat, aby zainteresować młodocianego czytelnika.

Bułgarski ślad w pani pisarskim dorobku wiedzie ostatnio do Płowdiw…

W 2014 r. media doniosły, że na Wyspie św. Jana koło Sozopola znaleziono kości należące do Jana Chrzciciela. Pomyślałam wtedy, że to wspaniały materiał literacki. Akcja mogłaby się toczyć równolegle w I w. n.e. i współcześnie. Nie miałam wtedy jednak pomysłu na powieść. Pisałam „Stulecie Winnych”. Potem trzytomową opowieść „Alicja w krainie czasów” i kryminał „Ostatnia chowa klucz”. Dwa lata temu pojechałam na wakacje do Bułgarii. Odwiedziliśmy z dziećmi Płowdiw, jedno z najstarszych, wciąż zamieszkanych miast na świecie. Moja babcia tam mieszkała. Znałam każdy kamień w samym centrum historycznym. Wróciłam z gotową fabułą. Co więcej, dużo się wtedy mówiło o 900. rocznicy wydarzeń, które rozegrały się w Konstantynopolu w 1118 r. na dworze cesarza Aleksego I Komnena. Wyobraziłam sobie, jak Dwunastu Bogomiłów idzie z Płowdiw, gdzie postawiono jeden z pierwszych klasztorów, do Bizancjum, aby „nawrócić” cesarza na wiarę bogomilską i ofiarować mu tajemną księgę. „Kości proroka” rozgrywają się w trzech planach czasowych.

W naszych bibliotekach na wypożyczenie „Stulecia Winnych” obowiązują zapisy, a w Bułgarii o pisarce Ałbenie Grabowskiej podobno nikt nie słyszał.

Mówię po bułgarsku bardzo dobrze, czytam, lecz nigdy nie chodziłam do bułgarskiej szkoły. Mogłabym przetłumaczyć książkę z bułgarskiego na polski, ale nie napisać po bułgarsku. Pisarz powinien pisać w ojczystym języku, a dla mnie jest to polski.

Bułgarski rynek księgarski jest dla mnie niezrozumiały i wciąż hermetyczny, większość oferty jest wydawana ze współfinansowaniem. Sądzę, że prędzej moje książki pojawią się w krajach anglo- i niemieckojęzycznych niż w Bułgarii, w której od lat staram się opublikować „Tam, gdzie urodził się Orfeusz”. Tom jest już przetłumaczony, czeka na edycję, może w tym roku się uda.

Czy w rubrykę „zawód” wpisuje pani jeszcze „lekarz” czy już „literat”?

Jestem lekarzem neurologiem i pisarką. Wciąż wykonuję zawód wyuczony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ałbena Grabowska – córka Bułgarki i Polaka, pisarka, lekarz neurolog i epileptolog. Na podstawie jej powieści „Stulecie Winnych” powstał serial emitowany obecnie w TVP1.

eprasa.pl 4e0c707824

Przed konserwacją – za pomocą potężnego mikroskopu z podwójną ogniskową – zbadano w 1998 r. warstwy farb i werniksu „Ostatniej Wieczerzy" Leonarda da Vinci

FOT. ERIC VANDEVILLE/GAMMA-RAPHO/GETTY IMAGES

Sztuka odchodzi w niebyt

Monika Małkowska

Konserwatorzy dzieł sztuki – tych sprzed tysięcy czy setek lat, a także współczesnych – zmagają się nie tylko z wpływem na nie czasu, środowiska i cywilizacji, lecz także z niefrasobliwością twórców

Zdarzyło się to w Rzymie na początku lat 70. ubiegłego wieku: podczas wiercenia kolejnego tunelu metra wiertło napotyka dziwny opór. Trzeba wstrzymać prace, bo kontynuacja może zagrażać życiu robotników. Wkrótce wyjaśnia się przyczyna niepokoju. Oto natrafiono na wnętrza patrycjuszowskiego domu, niewidocznego z powierzchni ziemi. Ekipa dostaje się do pomieszczeń, których ściany pokrywają cudnej urody freski. Nagle, pod wpływem świeżego powietrza, malowidła w ułamkach sekund zaczynają znikać, rozwiewać się jak dym…

Po chwili freski przestają istnieć. Jedynie kilku świadków tej sceny doświadczyło magii bliskiego kontaktu z przeszłością sprzed dwóch tysięcy lat.

Przytoczona historia nie zdarzyła się w rzeczywistości. Zainscenizowano ją na potrzeby filmu „Rzym" Federica Felliniego (1972). Mistyfikacja ta ma jednak symboliczną wymowę.

Na naszych oczach, pomimo postępu techniki i coraz większych umiejętności konserwatorów, niektóre arcydzieła bezpowrotnie giną. Tak jak w filmie, tylko dużo wolniej. I nie jest to wyniki wojen czy katastrof. Niektóre po prostu „chorują". A powody schorzeń są rozmaite.

Słyszeli państwo o „trądziku" atakującym obrazy? To takie mikroskopijne pęcherzyki, które pojawiają się na powierzchni niektórych malowideł olejnych. Ta dolegliwość zaatakowała – paradoksalnie – m.in. „Lekcję anatomii doktora Tulpa". Są też kompozycje, które cierpią na „wżery". Jeszcze innym doskwierają grzybice, łuszczyce, krakelury.

Nie zawsze wiadomo, jaką terapię zastosować. Trudno bowiem zatrzymać procesy chemiczne, które zaczęły się setki, tysiące lat temu.

BIAŁA STAROŻYTNOŚĆ

Kiedyś w ogóle nie było takiej dziedziny nauki: archeologii. Jej „ojcem" okrzyknięto Johanna Joachima Winckelmanna, XVIII-wiecznego teologa, wielkiego fana antyku, który zaraził swą pasją całą Europę, zwłaszcza tę oświeconą. To jego badania i odkrycia sprawiły, że świat dowiedział się o świątyniach w Paestum (o miejscu, którym zainspirował się Mark Rothko), a w 1768 r., dwa lata po

eprasa.pl 4e0c707824

tej rewelacji – o zabytkach w Pompei i Herkulanum, publikacja dzieła „Dzieje sztuki starożytnej" spowodowała zaś narodziny stylu zwanego klasycyzmem. Rozprawę przełożył na język polski Stanisław Kostka Potocki (1815).

Dokonania Winckelmanna nie tylko doprowadziły do rewizji poglądów na sztukę, lecz także przyczyniły się do wybuchu mody zwanej empire. Jeśli ktoś sądzi, że wielkie rewolucje w ubiorze nadeszły wraz z XX stuleciem, to jest w błędzie. Naprawdę przełomowy i brawurowy był styl inspirowany… klasyką. Uwidoczniło się to zwłaszcza w damskich kreacjach, odwołujących się krojem i kolorystyką do rzymskich tunik. Panie odsłoniły ramiona, stopy, łydki, szyje i karczki; ścięły włosy (skandal!) „na Tytusa", pod niemal przezroczystymi tunikami przestały zaś nosić bieliznę (po trzykroć skandal!). Mniejsza jednak o krawieckie innowacje, które szły w parze z przekreśleniem dawnej obyczajowości.

Winckelmann na co najmniej dwa wieki wykreował w wyobraźni ludzkości obraz absolutnego piękna: połączenie kunsztu, szlachetności formy, kompozycyjnego spokoju i… bieli.

Tak, alabastrowa biel (co w kobiecych strojach przełożyło się na szał popularności dziewiczego muślinu) wydawała się ideałem. Wszystko to w efekcie pomyłki, którą okazało się fałszywie przyjęte założenie, że skoro odnalezione „po przejściach" antyczne posągi wydawały się nietknięte kolorem, to takie były od swych początków. Tymczasem – odwrotnie. Po prostu polichromie z kamieni spełzły. Zwłaszcza te z zewnętrznych rzeźb, kolumnad, kapiteli, a nawet ścian domów czy świątyń.

Błędu „ojca" archeologii jeszcze długo nie weryfikowano. Dopiero pod koniec XX w. odkryto i zbadano ślady zwietrzałych farb zdobiących architekturę i posągi. Współcześni badacze opanowali metody pozwalające zrekonstruować kolory zwietrzałych farb. Niewidoczne gołym okiem ślady można wzmocnić światłem ultrafioletowym i w wyniku zastosowania filtrów barwnych. Okazuje się, że antyczne Grecja i Rzym mieniły się olśniewającymi barwami! Cios dla wielbicieli szlachetnej bieli.

Swoją drogą, sam Winckelmann padł ofiarą tragicznej w skutkach pomyłki. Wracając z Wiednia przez Triest, został zamordowany przez przypadkowo poznanego w hotelu chciwca, przekonanego, że naukowiec wszedł w posiadanie znacznej sumy pieniędzy po wizycie u cesarzowej Marii Teresy. Było to w czerwcu 1768 r.; zamordowany nie miał jeszcze 50 lat.

Jego biała wizja klasyki żyła czterokrotnie dłużej…

Malowidło z jaskini w Lascaux FOT. UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE/UIG/GETTY IMAGES

GRZYBY NA PALEOLICIE

Bywa, że destrukcję sztuki przyspieszamy sami, mimowolnie. Po prostu nasze organizmy w kontakcie z „organizmami" dzieł wchodzą z nimi w interakcje.

Tę historię opowiedziano wielokrotnie, także sfilmowano – bo przypomina przygodowe powieści dla nastolatków. Rok 1940, francuska prowincja w departamencie Dordogne. Kilku goniących za psem małolatów wpada w ziemną zapadlinę, która okazuje się wylotem jaskini. To słynna jaskinia Lascaux. Jej ściany pokrywają malowidła – jak się okazuje, sprzed 17–15 tys. lat. To największy z dotychczas znalezionych zespół malowideł naskalnych z epoki paleolitu. Na poboczach korytarzy długości 150 m odkryto 150 wizerunków zwierząt, ukazanych o wiele bardziej ekspresyjnie i realistycznie niż kilka schematycznie ujętych ludzkich sylwetek.

Jak stwierdzili naukowcy, praartyści posługiwali się pigmentami pochodzenia naturalnego: węgiel drzewny, związki żelaza, a także… bakterie. Przez dwie dekady odkrycie jest turystyczną atrakcją, tłumnie odwiedzaną. Aż tu nagle – malowidła zaczynają pokrywać się plamami i pleśnią. Jak się okazało, to efekt wadliwego systemu klimatyzacji oraz skutek działania pary wodnej wydzielającej się wraz z ludzkimi oddechami.

W 1963 r. pieczarę zamknięto dla szerokiej widowni, udostępniając ją jedynie naukowcom i to ledwie dwa razy w miesiącu. Jednak zniszczeń nie udało się cofnąć.

Toteż nic dziwnego, że ponad pół wieku później nie popełniono podobnego błędu. A sytuacja była podobna: odkryto kolejną paleolityczną „świątynię", także położoną na terenie Francji – grotę Chauveta. Tyle że jeszcze starszą (sprzed 30–25 tys. lat) i pokrytą jeszcze większą liczbą zwierzęcych wizerunków: ponad 300.

Tę „jaskinię zapomnianych snów" – jak Werner Herzog zatytułował swój filmowy dokument z 2010 r. – od razu zamknięto dla zwiedzających. Żeby jednak zarobić na sensacji, obok wzniesiono budynek z kopią groty i tamtejszych malowideł, w skali 1:1. Replika, udostępniona w 2015, kosztowała 45 mln euro. Pleśń się jej nie ima.

CHUCHANIE NA WAWELU

Oddech, pot i zapewne łzy szkodzą nie tylko prehistorycznym malowidłom. Te naturalne ludzkie wydzieliny w ogóle nie są korzystne dla sztuki. Mamy na to dowód także u nas: arrasy wawelskie. Nasza duma, nasza sława.

Jedyne w krakowskim zamczysku-muzeum obiekty powstałe dla wnętrz, w których do dziś są prezentowane.

eprasa.pl 4e0c707824

Pierwotnie mogło ich być ok. 170; do tej pory zachowało się 138.

Przed wybuchem II wojny zdecydowano, że trzeba ratować najcenniejsze zbiory polskie, w tym – krakowskie tapiserie. Już na początku września 1939 r. rozpoczęła się dramatyczna ewakuacja. Tapiserie przeszły „szlak bojowy" od Rumunii, przez Francję, Anglię aż do Kanady.

Wróciły – nie bez oporów ze strony Kanady – do nas w roku 1961. Od tego czasu są w stałej ekspozycji. I wymagają… kąpieli. Bo na wysokości głów publiczności ściemniały i straciły blask. Kurz wbija się w tkaninę (właśnie tam, gdzie wilgoć).

Historyk sztuki Agnieszka Bender (jej habilitacja dotyczyła tapiserii w dawnej Rzeczypospolite) zaznacza, że zabytkowe tkaniny wyrabiane z naturalnych włókien są najdelikatniejsze. Źle znoszą światło i wilgoć; są podatne na „ataki" owadów. Ich podstawowy skład – cienka wełna, jedwab, plus metalowe nici – z biegiem lat zamieniają się w „burą ścierkę".

Do wyboru są dwie opcje: oddać arrasy do czyszczenia za granicą czy kupić specjalne wanny do ich uprania? Obydwa warianty równie drogie.

DESTRUKCYJNY GENIUSZ

W tym samym czasie, kiedy najsłynniejsze tkackie warsztaty zaopatrywały europejskie dwory w drogocenne wyroby, władcy i monarchowie zapraszali najlepszych artystów, by sławili ich rządy. Na przykład geniusza wszech czasów, Leonarda da Vinci, zatrudniał władca Mediolanu, Lodovico Sforza.

Najsłynniejsze na świecie przedstawienie Wieczernika jest też najgłośniejszą historią… nadmiernej pewności siebie. Leonardo da Vinci przyjął zamówienie na dzieło odpowiadające jego wielkości: „ekran" długości prawie 35 m, wysokości prawie 9 m w refektarzu mediolańskiego klasztoru Dominikanów Santa Maria delle Grazie.

Zanim malowidło ścienne powstało (1495–1498), mistrz długo pracował nad „castingiem" (co najmniej od 1490 r.), poszukując modeli do przedstawienia zarówno w żydowskim getcie, jak i na dworze Sforzów. Najtrudniejsze okazało się znalezienie kogoś odpowiedniego do roli Judasza. Anegdota głosi, że wypatrzył odpowiedniego typa w szynku. Gdy zaproponował mu pozowanie do postaci uosabiającej zdradę, ten nie odmówił, bo podobno wcześniej pozował do… wizerunku Chrystusa.

Co więcej, losy samego malowidła mają moralizatorską wymowę. Leonardo – podobnie jak przez całe życie – nie zawahał się iść na całość, wierząc, że jego geniusz pokona technologiczne przeszkody. Dążąc do efektów zbliżonych do sztalugowego malarstwa olejnego, zrezygnował z techniki „al fresco" (na mokrym tynku.) Malował temperą zmieszaną z olejem na dwóch warstwach suchego tynku. Na pewien czas dało to rewelacyjne efekty. Jednak farby nie związały się z podłożem, zaczęły się łuszczyć, kolory ciemniały. I to już za życia autora. Po jego śmierci kilkakrotnie usiłowano „odmalować" kompozycję, co dodatkowo pogarszało sprawę.

Najpoważniejszą konserwację podjęto w 1980 r., a zakończono ją w 1999 r. Pięciokrotnie dłużej niż pierwsze malowanie fresku. Usunięto wszystkie nawarstwione przez wieki „renowacje".

Oddech, pot i zapewne łzy szkodzą nie tylko prehistorycznym malowidłom. Mamy na to dowód także u nas: arrasy wawelskie

Czy udało się odzyskać pierwotne piękno dzieła? Chyba nie, bo dwa lata temu rząd włoski podjął decyzję o kolejnej konserwacji „Ostatniej Wieczerzy". Tym razem ma to kosztować „tylko" ok. 1,2 mln euro. Wielki finał przewidziany jest w tym roku, na obchody 500-lecia śmierci da Vinci.

SZTUKA PERFORMATYWNA

A jak jest teraz? Jeszcze gorzej, bo konserwatorzy nie nadążają za technologiczną kreatywnością artystów.

Przykładem może być Iza Chamczyk, młoda malarka i performerka, która określa swoje kompozycje terminem malarstwo performatywne. Używa do niego farb przemysłowych, lakierów samochodowych i innych specyfików dających nieszablonowe efekty wizualne. Kiedyś nawet użyła kryształków soli, która reaguje na warunki termiczne i w zimnych pomieszczeniach… płacze. Wszystkie te niekonwencjonalne substancje artystka dodatkowo traktuje sobie tylko znanymi sposobami, w efekcie których jedne marszczą się w grube faktury, inne pęcznieją jak balony, jeszcze inne pękają, łuszczą się i odpadają. Lakiery bowiem nie wiążą się z podłożem, tak jak tradycyjne techniki w rodzaju tempery czy oleju.

Zdaniem autorki, to właśnie jest sensem współczesnej sztuki: przemijalność. Proces starzenia się, deformowania, podlegania zmianom. Te prace mają żyć i obumierać jak człowiek.

Pytana, co na to konserwatorzy, przyznaje, że nie cieszy ich ta koncepcja. Podobnie jak większość nabywców, którzy proszą artystkę o przywrócenie pierwotnego stanu obrazów. Wtedy Chamczyk stara się ratować, co i jak się da – podkleja fragmenty, które odpadają, lub natryskuje kolejne warstwy.

Nie ona jedna eksperymentuje z surowcami. To się zaczęło wraz z popularnością malarstwa materii. Po II wojnie wybuchła moda na ekspresyjną abstrakcję i informel, czyli „bezformie". Lata 40. i 50. (u nas także 60.) zaowocowały wyścigiem po… plastyczne efekty. Artyści przestali przejmować się trwałością i przyszłością swych dzieł, za to gorączkowo poszukiwali faktur i barw, których nie znała historia. Teraźniejszość stała się najważniejsza.

Schody zaczęły się już kilka dekad później, kiedy twórczość klasyków nowoczesności podbiła rynek sztuki. Destrukty sprzedawały się źle… Nikt nie chciał wydawać kroci na obiekty wykruszone, zblakłe czy pokryte krakelurą, i w ogóle na takie, którym groziło choćby częściowe znikanie.

Wraz z rosnącymi cenami na różne „informele" (Tadeusz Kantor tak nawet zatytułował cykl płócien, obecnie ogromnie poszukiwanych) przybywało roboty konserwatorom wyspecjalizowanym w ratowaniu sztuki XX w.

To była nowość: zamiast skupić się na rekonstruowaniu przeszłości, konserwatorzy pochylili się z troską nad rzeczami ledwo co powstałymi. Nie w każdym przypadku dało to pożądany skutek. Czasem, tak jak w przypadku Izy Chamczyk (i wielu innych nowoczesnych eksperymentatorów), dzieła są bezpowrotnie „performatywne".

Jeśli przyszłe pokolenia zapragną napisać kolejne rozdziały historii sztuki, to z pewnością popełnią więcej błędów niż Winckelmann. A część sztuki po prostu pójdzie w niepamięć. Nie z powodu słabości talentów artystów – z racji ich nonszalanckiego podejścia do technologii.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Gociek

Nowa wersja „Narodzin gwiazdy" to dwa zaskakująco dobre debiuty. Aktorski – piosenkarki znanej jako Lady Gaga. Reżyserski – aktora Bradleya Coopera

Zawsze jest jakaś gwiazda

Wszystko, co trzeba wiedzieć o tej historii, zamyka się w dwóch fragmentach piosenek, które słyszymy w pierwszych minutach filmu. Jackson Maine, wielki gwiazdor rocka (Bradley Cooper), naładowany wódą i prochami, wychodzi na scenę, by zaśpiewać przed tłumem „już mnie nie ma, jestem sam u kresu drogi". Chwilę później sympatyczna kelnerka Ally (Lady Gaga) wychodząca z pracy po nużącej zmianie podśpiewuje sobie, krocząc mrocznym zaułkiem: „Kiedy krople deszczu padają wszędzie, niebo otwiera magiczną drogę".

Spadająca gwiazda, wschodząca gwiazda. W nowej wersji „Narodzin gwiazdy" oglądamy opowieść, którą już znamy, imponujący jest jednak sposób, w jaki została przedstawiona. Jednym z głównych elementów sukcesu jest to, w jaki sposób wykorzystano muzykę – piosenki współtworzą fabułę, są komentarzem lub kontrapunktem do działań bohaterów. Tak powinno być w prawdziwym musicalu. Co ważne, numery śpiewane są tak ładnie wplecione w narrację, że nie ma w tym zabiegu cienia sztuczności, wszystko jest naturalną częścią fabuły. I są to naprawdę dobre piosenki.

Powodów do pochwał jest dużo więcej. Scenariusz, przy którego pisaniu Cooperowi pomagali weteran Eric Roth i młodziak Will Fetters. Trafiona obsada drugiego planu, z Samem Elliottem na czele. Wreszcie reżyseria, zaskakująco dojrzała, a przecież Bradley Cooper dotąd był jedynie cenionym aktorem, tu zaś debiutuje w fotelu reżysera. Dał radę, co może zwiastować narodziny kolejnego twórcy, który robienia filmów nauczył się na planie, podpatrując starszych i lepszych. Tak zaczynał Eastwood, tak od czysto aktorskiej roboty oderwał się Ben Affleck, w podobną stronę ruszył Bradley Cooper, który teraz ponoć zamierza wyreżyserować film o legendarnym Leonardzie Bernsteinie. Kto by pomyślał! Przecież 10 lat temu zachwalając swe dotychczasowe osiągnięcia, Cooper mógłby najwyżej powiedzieć: „Grałem trochę w telewizji, no i jeszcze w »Kac Vegas«".

OSIEM NOMINACJI DO OSCARA

„Narodziny gwiazdy" A.D. 2019 nie okazałyby się jednak sukcesem (pół miliarda z biletów, osiem nominacji do Oscara, pięć do Złotych Globów), gdyby nie aktorska para Bradley Cooper – Lady Gaga, która tchnęła nowe życie w starą hollywoodzką kliszę. To dzięki nim czwarta wersja „Naro-

eprasa.pl 4e0c707824

dzin gwiazdy" jest – obok klasyka z 1954 r. – wersją najlepszą.

Tak naprawdę historia tej chwytliwej opowieści rozpoczęła się w roku 1932 od premiery zapomnianego dziś – słusznie – filmu „What Price Hollywood?" w reżyserii George'a Cukora. Historia kelnerki, która dzięki spotkaniu z zapijaczonym hollywoodzkim reżyserem zostaje sławną aktorką, została kilka lat później przerobiona na „Narodziny gwiazdy", choć nigdzie oficjalnie tego nie przyznano. Inspiracja jest jednak oczywista, podobieństw było wiele. Tyle że film z roku 1937 był dużo lepszy i to ten ustanowił wzorzec powtarzany w kolejnych wersjach, czyli w latach 1954, 1976 i 2018. Chociaż niektóre sceny w „Narodzinach gwiazdy" były bezczelnie przepisane z „What Price Hollywood?", nie przeszkodziło to amerykańskiej Akademii Filmowej w wyróżnieniu filmu z 1937 r. Oscarem właśnie dla… najlepszego oryginalnego scenariusza.

Film Williama A. Wellmana jest dziś ramotką, ale da się oglądać. Wiele z nieodmiennie kojarzonych z „Narodzinami gwiazdy" dialogów i błyskotliwych one-linerów trafiło właśnie wtedy po raz pierwszy na ekran. Przede wszystkim słynne zdanie: „Chciałem jeszcze raz spojrzeć na ciebie". Gwiazdami byli Fredric March jako Norman Maine, sławny aktor i niepoprawny pijak, oraz Janet Gaynor w roli Esther Victorii Blodgett, hollywoodzkiej debiutantki. Szczególnie występ Marcha (swoją drogą laureata dwóch Oscarów) robi wciąż wrażenie.

Rok 1954 przyniósł jeden z najbardziej chwalebnych i zarazem ponurych rozdziałów w dziejach serii remake'ów „Narodzin gwiazdy". Nowa wersja znanej historii została lekko zmodyfikowana, a do jej nakręcenia rzucono najlepsze siły, jakimi dysponowało studio Warner Bros. Za reżyserię odpowiadał George Cukor (historia zatoczyła koło, wszak to on reżyserował ponad dwie dekady wcześniej „What Price Hollywood?"), budżet był imponujący, film kręcono w nowym szerokoekranowym formacie Cinemascope, a największe emocje budziło to, że w roli głównej obsadzono Judy Garland.

SPEKTAKULARNE SAMOBÓJSTWO

Gwiazda „Czarnoksiężnika z Oz", ukochana „American Sweetheart", przeżywała wtedy trudne chwile. Widownia ją uwielbiała, koncerty tej świetnej piosenkarki i tancerki wyprzedawane były bez trudu, z kolei w Hollywood producenci i reżyserzy mieli jej serdecznie dosyć. Słynęła bowiem z fatalnego zachowania na planie, notorycznych spóźnień, gwałtownych zmian nastroju. Krótko mówiąc, uznawano ją za gwiazdę nieobliczalną, która zaczyna sprawiać więcej kłopotów, niż jest tego warta. To, na ile wszystko to spowodowane było osobistymi kłopotami Garland, to temat na osobną opowieść.

„Narodziny gwiazdy" miały być triumfalnym powrotem Judy Garland, początkiem nowej serii sukcesów. Powstał znakomity film, który łączył płynnie komedię z melodramatem, w którym świetne dialogi sąsiadowały z bardzo dobrymi piosenkami i kapitalnymi scenami tanecznymi. Powstał wreszcie film, w którym zarówno stosunkowo mało znany w USA brytyjski aktor James Mason (nowy Norman Maine), jak i Judy Garland (oczywiście nowa Esther Victoria Blodgett) stworzyli wybitne kreacje. Niestety, jest to film, którego już nigdy nie zobaczymy w całej okazałości, chyba że w filmowych archiwach ktoś dokona cudownego odkrycia oryginalnej, pełnej wersji dzieła Cukora.

Tragedia, która dotknęła tę wersję „Narodzin gwiazdy", jest typowo hollywoodzka – niejeden film padł ofiarą cięć producenckich. Tym razem była jednak wyjątkowo bolesna. George Cukor nakręcił film, który trwał 182 minuty, co z początku nikomu nie przeszkadzało. Po nowojorskiej premierze recenzje były entuzjastyczne, a publiczność zachwycona. W powszechnej opinii studio Warner Bros. miało w rękach najlepszy film roku i prawdopodobnie największy sukces kasowy od lat. Niestety, pod naciskiem właścicieli kin, którzy narzekali, że za mało zarobią, gdyż obraz jest zbyt długi, co oznacza mniejszą liczbę seansów, Harry Warner nakazał jego skrócenie. Wycięto pół godziny filmu, co gorsza – niszcząc usunięte sceny. Skrócona wersja okazała się wyraźnie gorsza.

„Cięcia, które wzbudziły szeroki i prawie zawsze niepochlebny oddźwięk opinii publicznej, wcale nie zwiększyły wpływów z kas, ale wywołały efekt odwrotny" – pisał Gerald Clarke w biografii Judy Garland. To było spektakularne samobójstwo. Wytwórnia zainwestowała ponad 5 mln dol. w przedsięwzięcie, które własnymi idiotycznymi decyzjami wyrzuciła do śmietnika. Czarę goryczy przelała oscarowa ceremonia, podczas której żadna z sześciu nominacji dla „Narodzin gwiazdy" nie zamieniła się w nagrodę. Rozczarowanie Judy Garland było ogromne. Filmowi „poświęciła rok życia, wszystkie nadzieje i marzenia, lecz ostatecznie została z niczym: ani nagrody, ani pieniędzy, ani perspektyw". Po latach okazało się, że był to punkt zwrotny w jej karierze – zamiast wspaniałego come backu rozpoczął się długi zjazd w dół. Już nigdy nie zagrała w tak dobrej produkcji.

Wersja, którą możemy dziś oglądać na płytach DVD (właśnie ukazała się w Polsce), jest pośrednią między zaginioną oryginalną a kinową ściętą. Po latach odnaleziono bowiem kilka minut z brakującej pół godziny – tam, gdzie zachował się tylko dźwięk, dołożono fotografie z planu. Po przywróconych scenach widać, jak wielką krzywdę wyrządzono dziełu Cukora. Były to przede wszystkim fragmenty z pierwszej połowy filmu, które budowały relację między głównymi bohaterami. Tymczasem Judy Garland i James Mason na ekranie przykuwają wzrok każdym dialogiem.

Kolejna wersja „Narodzin gwiazdy", film z roku 1976, w odróżnieniu od tej z roku 1954, zarobiła sporo pieniędzy, ale została zmiażdżona przez krytykę. W historii kina zapisała się nie ze względu na swoje

eprasa.pl 4e0c707824

atuty, lecz z powodu piekła na planie, nieustannych sporów między grającą główną rolę Barbrą Streisand, a debiutującym reżyserem (świetnym scenarzystą, autorem „Pieskiego popołudnia" czy „Nieugiętego Luke'a") Frankiem Piersonem. Ten ostatni miał rozkapryszonej gwiazdy tak serdecznie dosyć, że zdecydował się na krok bezprecedensowy. Kilka tygodni przez premierą opublikował w prasie artykuł pt. „Moje bitwy z Barbrą i Jonem", w którym kąśliwie i brutalnie szczerze opisywał to, co się działo podczas produkcji. Wymieniony w tytule Jon to Jon Peters, ówczesny życiowy partner Streisand, wcześniej jej fryzjer, a później (mimo trudnych początków) producent filmowy.

Film Piersona przyniósł zmianę kanonu – przenieśliśmy się ze świata filmu do świata muzyki. Schemat pozostał ten sam: stary rockman (tu Kris Kristofferson jako John Norman Howard) przypadkowo poznaje młodą wokalistkę (Barbra Streisand jako Esther Hoffman), w której się zakochuje i która z jego pomocą podbija świat show-biznesu.

Jeśli coś przetrwało z tego filmu, to najwyżej świetne sceny z jego początku, w których Kris Kristofferson znakomicie wypada jako przemęczona, zapijaczona gwiazda rocka, oraz wokalne popisy Streisand. Popisy, nie same piosenki, bo kompozycje były nijakie (choć „Evergreen" dostał Oscara). Cała reszta jest do szybkiego zapomnienia. Między głównymi bohaterami nie było chemii, Kristofferson snuł się po ekranie wyraźnie znudzony, a Streisand najbardziej zapadała w pamięć dzięki dziwacznym kreacjom, które nieustannie zmieniała. „Między tą para jest jeszcze mniej emocji niż między Jessicą Lange a King Kongiem" – pisał zaraz po premierze recenzent „New York Timesa". „Narodziny gwiazdy" z roku 1976 stały się symbolem kiczu tamtej dekady oraz pomnikiem próżności i egocentryzmu Streisand.

Na początku tej dekady Hollywood dojrzało do tego, by raz jeszcze sięgnąć po znaną i lubianą przez widzów historię. Był czas, kiedy zdawała się bliska następująca konfiguracja: Clint Eastwood jako reżyser i Beyoncé jako wschodząca gwiazda. Pamiętając, jak wytrawnym reżyserem jest Eastwood i jak świetnie wyszedł mu inny film z muzyką w roli głównej – „Bird" (1988) o słynnym jazzmanie Charliem Parkerze – wypada żałować, że do realizacji nie doszło. Jednak wersja Bradleya Coopera też okazała się zaskakująco dobra. Chwaliłem ją i opisywałem na początku tekstu.

REŻ. BRADLEY COOPER „NARODZINY GWIAZDY" („A STAR IS BORN") USA 2018

wyst. Lady Gaga, Bradley Cooper, dystr. Galapagos

REŻ. GEORGE CUKOR „NARODZINY GWIAZDY" („A STAR IS BORN") USA 1954

wyst. Judy Garland, James Mason, dystr. Galapagos

Chociaż krytycy często skupiają się na podobieństwach łączących kolejne odsłony tej samej opowieści, to warto zwrócić uwagę na istotne zmiany, bo mówią nam więcej o tym, jak zmieniała się fabryka snów. Przede wszystkim w porównaniu ze wszystkimi poprzednimi wersja Coopera zdaje się realistyczna. Poprzednie były po prostu hollywoodzkimi bajkami, z naciskiem na melodramat. W wersji z roku 2018 postacie (nie tylko główne) dostały ciekawą przeszłość, ich wybory, ich zalety i wady okazały się odpowiednio uzasadnione. Lady Gaga pozbawiona wymyślnych strojów i dziwacznych makijaży, które były dotąd nieodłączną częścią emploi tej artystki wypadła bardzo wiarygodnie jako wokalistka niezmiernie utalentowana, lecz z różnych przyczyn niedoceniania i trochę pechowa dopóty, dopóki nie natknęła się na swego nowego opiekuna/promotora/kochanka.

W najnowszej wersji nie ma już fatalizmu, który unosił się nad pierwszymi filmami, czyli przesłania, że na każdą nową gwiazdę przypada jedna znikająca (tak jakby liczba miejsc w panteonie sław filmu i muzyki była ściśle ograniczona i jedynie czyjaś klęska mogła być szansą na początek nowej kariery). Ally oraz Jack są ludźmi z krwi i kości, historia ich kariery i romansu nie niesie już fałszywego symbolizmu. Mniej tu melodramatu, a więcej dobrego obyczajowego kina.

W ciekawy sposób zmieniał się portret show-biznesu jako takiego. Wszystkie opowieści łączy ponury obraz machiny, która bezlitośnie miażdży talenty, by ulepić je na nowo, na własną modłę. Są jednak istotne różnice. W wersji z 1937 r. starzejący się Norman Maine pada ofiarą tego, że sympatia widzów się po prostu od niego odwraca. Tylko częściowo dlatego, że stał się nieznośny, przede wszystkim z powodu niezbadanych ścieżek, jakimi chadzają uczucia publiki. W wersji z roku 1954 nie mamy już wątpliwości, że Maine jest przyczyną własnej zguby. Alkoholizm niszczy jego karierę i może zniweczyć sukces młodej żony. Jednocześnie jedną z najbardziej rozdzierających scen jest ta, w której Judy Garland w rozmowie z szefem studia próbuje dociec, skąd w tak utalentowanym człowieku wzięła się taka skaza, gen samodestrukcji. Nie udaje się jej znaleźć odpowiedzi. W wersji z roku 1976 rockman jest po prostu skrajnie przemęczony i wypalony, w dodatku żyjące z jego talentu pijawki podsuwają mu narkotyki i alkohol, żeby zagrał jeszcze jeden koncert, zarobił kolejną garść dolarów.

WYRAZ PYCHY CZY SKROMNOŚCI

W najnowszej wersji cała mitologia „artystów przeklętych" znika. Grany przez Bradleya Coopera bohater traci powoli słuch, kwestionuje swoje wybory z początków kariery, a w kwestii nałogu słyszy od partnerki wprost: „To nie twoja wina, to po prostu choroba". A więc już nie fatum. Nie ma co patrzeć w niebo, licząc gwiazdy, by sprawdzić, czy jest wśród nich miejsce i dla ciebie. Czas na terapię w kółku anonimowych alkoholików. Sami pracujemy na nasz los.

Epilog w tym właśnie duchu został dopisany do filmu Bradleya Coopera podczas tegorocznych Oscarów. Pamiętając falę pochwalnych recenzji i morze pieniędzy w kasach, trudno nie być zdziwionym werdyktem Akademii Filmowej. „Narodziny gwiazdy" zdawały się pewniakiem – osiem nominacji, w tym we wszystkich najważniejszych kategoriach. Skończyło się na statuetce dla piosenki „Shallow". A przecież to film o wiele lepszy od „Bohemian Rhapsody". Co poszło nie tak? Według prasy branżowej z USA Cooper wykazał zadziwiająco niewielkie zainteresowanie promocją swego reżyserskiego debiutu. Nie udzielał wywiadów, zniknął z horyzontu. Czy był to wyraz pychy czy może fałszywej skromności – nie wiem. Wiadomo jednak, że do historii kolejnych wersji „Narodzin gwiazdy" dopisać możemy następny paradoks.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. TOMASZ ZAJĄCHER/ARCHIWUM TEATRU U PRZYJACIÓŁ

Polaka gra o tron

Pierwszy nasz rodak, który znalazł się na planie jednego z najbardziej znanych i produkowanych z największym rozmachem serialu w historii telewizji, nie jest zawodowym aktorem, choć grywa w amatorskim teatrze U Przyjaciół z Poznania. Paweł Sakowski z wykształcenia jest anglistą, zawodowo – dyrektorem prywatnej szkoły. I jak często bywa w podobnych historiach, trafił na plan najgorętszego serialu ostatnich lat przez przypadek.

Wszystko zaczęło się od spotkania w pubie w 15-tysięcznym miasteczku Sligo w Irlandii. Do Polaka dosiadł się pewien mężczyzna. „Od słowa do słowa – powiedziałem, że zajmuję się aktorstwem, występuję w teatrze. On, że pracuje przy serialu. Na początku nie uwierzyłem. Ale polecił mi trzy agencje castingowe" – opowiadał na łamach „Gazety Wyborczej" Paweł Sakowski. Następnego dnia wysłał do jednej z nich zgłoszenie, ale się pomylił. Spotkany w barze mężczyzna pracował przy „Wikingach", a Polak przypadkiem zgłosił się do agencji od „Gry o tron".

Na dobre to jednak wyszło, bo ostatecznie trafił na plan serialu. I choć był jednym z bardzo wielu statystów (tylko w Irlandii – a zdjęcia nagrywano w 10 państwach – podczas produkcji wszystkich sezonów zatrudniono ich prawie 1,3 tys.), to ma nadzieję, że nie zniknie w tłumie. „W scenach, w których brałem udział, byłem na pierwszym lub drugim planie, więc jest szansa, że widzowie mnie zobaczą" – mówił „GW", dodając, że w dwóch scenach nawet coś mówił. Na w pełni uzasadnione przed premierą pytanie: „A co, jeśli pana wytną?" odpowiadał: „To trudno. Przygoda została, ale oczywiście chciałbym, żeby materiał został wykorzystany".

Przy postprodukcji reżyser potrafi wykręcić przykry numer. Ostatnio przekonał się o tym Rafał Zawierucha. Na planie filmu „Once upon a Time in Hollywood" Quentina Tarantino wcielił się w postać Romana Polańskiego, a polscy dziennikarze okrzyknęli go „najgorętszym obok Joanny Kulig polskim nazwiskiem w Hollywood" występującym „u boku Brada Pitta i Leonarda DiCaprio". Okazało się, że troszkę za szybko, bo zza oceanu przyszły niepokojące wieści, że jest to rola epizodyczna i może zostać zupełnie wycięta. Sam zainteresowany pytany o tę nieprzyjemną kwestię powiedział „Faktowi" jedynie: „Zobaczymy niedługo". Trzymamy kciuki, abyśmy i my obu panów mieli okazję zobaczyć. ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Kołysanie na niebieską nutę

W wieku 23 lat Norah Jones zadebiutowała albumem „Come Away with Me", który do dziś osiągnął 27 mln nakładu! Do tego płyta otrzymała sześć nagród Grammy.

Spotkałem Norah pod koniec 2002 r. po koncercie w berlińskiej filharmonii. W Ameryce jej płyta właśnie przekroczyła milionowy pułap. Ta skromna dziewczyna sama nie rozumiała tej popularności. Album wydany ze znakiem legendarnej wytwórni jazzowej Blue Note zawierał bowiem nieskomplikowane piosenki na styku jazzu i country. Jego siłą był zniewalający nastrój zawarty w kojącym głosie Norah i akustycznych aranżacjach.

Na siódmym albumie śpiew Jones wciąż kołysze, a muzyka w niewymuszony sposób łączy country, folk i jazz. To tylko siedem utworów, przy czym cztery z nich ukazały się w ubiegłym roku na singlach. Wokalistkę wspomagają: Jeff Tweedy (Wilco), Sufjan Stevens i producent Thomas Bartlett (St. Vincent), co nadało płycie interesujących, alternatywnych barw.

Norah nigdy nie powtórzy gigantycznego sukcesu debiutu, ale z drugiej strony nie została ona nim przytłoczona. Jest wierna sobie, a jej muzyka broni się wbrew panującym modom. ©℗

★★★★★★

NORAH JONES
„BEGIN AGAIN"
BLUE NOTE

★★★★★★

KWARTET WOJCIECHA GOGOLEWSKIEGO
„SKOK NR 8"
GAD

Kwartet jazzowy, który nigdy nie zarejestrował płyty. W nagraniach z połowy lat 70. słychać fascynacje wczesnym Chickiem Coreą. Flet z elektrycznym pianinem brzmi ciekawie, ale to kontrabasista Zbigniew Wegehaupt zrobił karierę.

★★★★★★

DIDO
„STILL ON MY MIND"
BMG

Debiut Brytyjki, tak jak i Norah, rozszedł się w ponad 20 mln nakładu. Dido powraca po sześcioletniej przerwie ze świeżo brzmiącym albumem elektrofolkowym, na którym śpiewa o miłości, stracie i pragnieniach. Sympatyczne, choć mało odkrywcze. ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Francuskie uszy nas ocalą

★★★★☆☆

REŻ. ABEL LANZAC
„WILCZE ECHA" („LE CHANT DU LOUP")
FRANCJA 2019

wyst. François Civil, Omar Sy, Mathieu Kassovitz, Reda Kateb

W „Wilczych echach" dzielny chorąży Słotwina utrwalał władzę ludową, rozprawiając się z bandą fałszywych milicjantów. Sława PRL-owskiego easternu musiała dotrzeć aż nad Sekwanę, skoro Francuzi taki sam tytuł nadali dreszczowcowi, którego akcja zamiast w romantycznych Bieszczadach rozgrywa się w morskiej głębi, gdzie – zupełnie jak w kosmosie – „nikt nie usłyszy twego krzyku".

Co tu dużo gadać, okręty podwodne działają na wyobraźnię szczurów lądowych. Kino wykorzystuje ten fakt bezwzględnie i zwykle z dobrym skutkiem. Poza tym jakiż to luksus dla scenarzystów: gromada silnych mężczyzn, stłoczonych na ograniczonej przestrzeni miotana nadzieją, zwątpieniem i rozpaczą? Ponoć już Arystoteles mawiał, że są trzy rodzaje ludzi: żywi, martwi i ci, którzy wyruszyli w rejs. A ileż łodzi podwodnych potwierdziło swą nazwę, nigdy nie wypływając na powierzchnię?

Na dzień dobry trafiamy w pobliże syryjskiego portu Tartus, gdzie od lat swoją bazę morską mają Rosjanie (obawa jej utraty była jednym z głównych motywów zaangażowania się Putina w obronę upadającego reżimu Al-Asada). Francuscy marynarze muszą przyjąć na pokład oddział komandosów i wymknąć się obławie, w której oprócz kacapów oraz lokalsów biorą udział również Irańczycy i diabli wiedzą, kto jeszcze.

To jednak tylko prolog właściwej misji, od której – bez żadnej przesady – zależy przyszłość świata. W obliczu międzynarodowego kryzysu „Potężny" – chluba francuskiej floty, wyposażona w głowice atomowe – opuszcza macierzysty port, gotowa do odwetowego ataku. Motto jednostki: „Z ukrycia i w milczeniu niosę śmierć" budzi grozę w kręgach wojskowych, które – w przeciwieństwie do polityków – wcale nie rwą się do wojaczki.

Jedynym człowiekiem, zdolnym do przerwania reakcji łańcuchowej, okazuje się młody analityk obsługujący sonar. Obdarzony słuchem absolutnym z upiornej kakofonii potrafi wyłowić i zidentyfikować niemal każdy dźwięk. Bez trudu odróżni frachtowiec od delfina i wraży okręt od kaszalota. Dlaczego koledzy nazywają go Skarpetą, dowiemy się dopiero w finale.

Błyskotliwy reżyserki debiut byłego dyplomaty mile łechce francuską próżność, dotkliwie poniewieraną w wieku XX. Mniej ufajmy procedurom, bardziej doświadczeniu oraz intuicji, korzystajmy z komputerów, ale nie likwidujmy papierowych archiwów – przekonuje Lanzac. Daje też wyraz przekonaniu, że gdy Rosja najedzie Finlandię, Amerykanie i NATO nie potraktują tego jako casus belli, zaś w zachodnich mediach królować będzie fraza: „Czy warto umierać za Helsinki?". Brzmi to dziwnie znajomo. ©℗

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „AVENGERS: KONIEC GRY"

Dwudziesty drugi film z potężnego (i zyskownego) przedsięwzięcia, którym jest Marvel Cinematic Universe, zamknie nie tylko historię z filmu „Avengers: Wojna bez granic". Ma być też pożegnaniem z niektórymi superbohaterami i początkiem nowej fazy w dziejach ekranizacji komiksów Marvela. Na razie połowa istot żyjących we wszechświecie zginęła za sprawą Thanosa i jego rękawicy nieskończoności. Niedobitki Avengers próbują odnaleźć sposób na odwrócenie tej tragedii. ©℗ ***Piotr Gociek***

- ***„Avengers: Koniec gry", reż. Anthony Russo, USA 2019, wyst. Robert Downey jr, Brie Larson, Chris Evans, Scarlett Johansson, Paul Rudd***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Vox Lux", reż. Brady Corbet, USA 2018***
- ***„Smętarz dla zwierzaków", reż. Kevin Kolsch, USA 2019***
- ***„Iron Sky. Inwazja", reż. Timo Vuorensola, Finlandia/Niemcy 2019***
- ***„Cała prawda o Szekspirze", reż. Kenneth Branagh, Wielka Brytania 2018***

eprasa.pl 4e0c707824

Weekend przyjaciół

Takie doświadczenie ma za sobą chyba każdy użytkownik serwisu Nasza Klasa lub uczestnik zjazdu absolwentów. Wiedziony nostalgią odgrzewasz dawne kontakty, obnażasz duszę przed ludźmi, których od lat nie widziałeś na oczy zajęty robieniem kariery i zakładaniem rodziny. Finał jest zawsze ten sam. Odkrywasz, że z bratem łatą ze szkolnej ławy i koleżanką z roku, do której chodziłeś na herbatkę, nic cię już nie łączy, a wszystko drażni.

Katalończykom z filmu Eleny Trapé pisana jest podobna deziluzja. Kiedyś byli zgraną paczką. Teraz ponownie zbierają się do kupy, by nawiedzić pracującego za granicą przyjaciela. Ten bynajmniej nie jest zachwycony inwazją, lecz robi dobrą minę do złej gry. Po czym zapada się pod ziemię.

Zanim nadejdzie niedziela, 35-latkowie z Barcelony zamiast objadać się kiełbaskami, pić piwo i smakować nocne życie, z którego Berlin słynie, dowiedzą się o sobie wielu nieprzyjemnych rzeczy. Wygląda na to, że pokolenie Erasmusa jest w dołku. Finansowym, bo światowy kryzys zrobił swoje. Emocjonalnym, gdyż rękami i nogami broni się przed dorosłością.

★★★★☆☆
REŻ. ELENA TRAPÉ
„BERLIN, BARCELONA" („LES DISTÀNCIES")
HISZPANIA 2018

wyst. Alexandra Jiménez, Miki Esparbé, Isak Férriz

Rzecz daje do myślenia, choć przydałyby się choć jeden sympatyczny bohater i trochę więcej dowcipu. Jedna przyciasna kiecka, którą można założyć, ale zdjąć już nie sposób, to trochę za mało. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BEZ LITOŚCI

Bonnie i Clyde, wykreowani kiedyś na bohaterów kontrkultury (film Arthura Penna z 1967 r.), tym razem dostają to, na co zasłużyli. W filmie „The Highwaymen" pokazano ich (zgodnie z prawdą) jako parę psychopatycznych morderców, wspieranych przez pomniejszych łotrów i otoczonych niezasłużonym nimbem „współczesnych Robin Hoodów". Aby krwawą parę dopaść i utłuc, potrzeba zawodowców. Do akcji ruszają więc teksascy pogromcy bandytów grani przez Kevina Costnera i Woody'ego Harrelsona. Obaj wypadają tu po mistrzowsku, dodając wagi i atrakcyjności fabule. Reżyser „The Highwaymen", John Lee Hancock, napisał kiedyś Eastwoodowi świetny film „Doskonały świat". Duch męskiego kina spod znaku Clinta towarzyszy i tej produkcji, zwłaszcza że scenarzystą jest John Fusco, którego dziełem były obie części „Młodych strzelb". Łotry powinny dostać to, na co zasługują, a świat, który ich wychwala, kompletnie oszalał – nie jest to może zbyt oryginalne przesłanie, ale jak podane!

★★★★☆☆
REŻ. JOHN LEE HANCOCK
„THE HIGHWAYMEN"
USA 2019, DYSTR. NETFLIX

wyst. Kevin Costner, Woody Harrelson, Kathy Bates

OJCOWIE I DZIECI

Odświeżona seria „Rocky" trzyma poziom. Sędziwy Sylvester Stallone jako Rocky Balboa nie stracił charyzmy, a zyskał na humorze, bohater nowej generacji zaś, Adonis Creed (Michael B. Jordan), syn filmowego Apolla Creeda, to ekranowy skarb. Jordan, kiedy trzeba, ma pozę twardziela, kiedy indziej potrafi być rozczulająco bezradny i niedojrzały. „Creed 2" to właśnie film o dojrzewaniu (do kariery, do rodzicielstwa). Oraz o ojcach i dzieciach, przy czym także i trener mentor Rocky ma tu wiele do przepracowania. Osią fabuły są pojedynki z Wiktorem Drago, synem rosyjskiego pięściarza Iwana (powrót Dolpha Lundgrena), który kiedyś zabił w ringu Apollo Creeda. Całość nakręcona jest bardzo dobrze. Nawet wymiana reżysera – Ryana Cooglera zastąpił Steven Caple jr – nie zaszkodziła, bo rzecz opowiedziana jest wartko, a zdjęcia są równie dobre jak w poprzedniej części. Czekam na następną. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

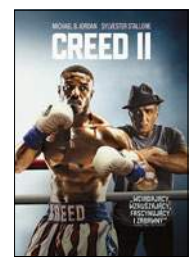

★★★★☆☆
REŻ. STEVEN CAPLE JR
„CREED 2"
USA 2018, DYSTR. GALAPAGOS

wyst. Sylvester Stallone, Michael B. Jordan, Tessa Thompson, Dolph Lundgren

GRA TYGODNIA: „ANNO 1800" ★★★★★☆

Archipelag egzotycznych wysp, jeden statek z kolonizatorami i jedno miasto, które stopniowo rozrasta się w metropolię konkurującą o dominację w regionie. Tak w telegraficznym skrócie wygląda mechanika serii „Anno", która od pierwszej części, osadzonej w roku 1602, stopniowo zdobywała miano następcy „Settlersów". Nie przez przypadek, bo wydawało ją to samo studio. Przechodząc przez najróżniejsze momenty rozwoju ludzkości, z przyszłością włącznie, „Anno" wraca do korzeni. Tym razem naszą wyspę będziemy mogli rozbudowywać u zarania epoki industrialnej. Setki godzin grania, choć na razie szwankuje optymalizacja. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Strategia/Ekonomiczna*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent. dystrybutor:*** *Blue Byte/Ubisoft*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *4+*

eprasa.pl 4e0c707824

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Ołówek Józefa Czapskiego

Bardzo potrzebna była ta książka, niezależnie od tego, czy czytelnikowi odpowiadać będą wszystkie konkluzje autora – amerykańskiego malarza i pisarza – czy podziwiać będzie jego usiłowania zrozumienia zawiłych dla obcokrajowca spraw polskich, czy przeciwnie – za drażniące uzna oczywistości i naiwności, na które tu i ówdzie natrafi podczas lektury ogromnego, ponad 500-stronicowego dzieła. Jeśli chodzi o mnie, zafrapowała mnie pasja urodzonego w Nowym Jorku mojego rówieśnika, który Czapskiego poznał z przypadkiem otrzymanej publikacji „Proust w Griazowcu" i którego niemal z miejsca zafascynowała osoba twórcy tej francuskiej książeczki, opowiadającego o Prouście swoim kolegom, wziętym do niewoli sowieckiej polskim żołnierzom.

To z tych odczytów, wygłoszonych na początku 1941 r., a powstałych jedynie na podstawie wspomnień, bo przecież wykładowca nie dysponował w Griazowcu egzemplarzem „W poszukiwaniu straconego czasu", narodziła się książka, która powiodła Erica Karpelesa wprost do napisania swojej pracy o Józefie Czapskim. Pisarzu, ale przede wszystkim malarzu, urodzonym w arystokratycznej rodzinie, który „żył jak artysta, jak mnich". Trochę w tych słowach emfazy, niemniej życiorys ten malarz, który właściwie dopiero teraz jest odkrywany – a zdaniem autora „Prawie nic" na wyżynach Parnasu powinien być już dawno – miał niezwykły.

Wielokrotnie ciężko chorował, zniósł tyfus, tężec, malarię, gruźlicę, walczył z bolszewikami w 1920 r. i w wojnie obronnej 1939 r. 27 września został wzięty do niewoli sowieckiej na granicy województwa lwowskiego, w Chmielku. Od pojmania do osadzenia w Starobielsku przemierzył ponad 1,2 tys. km. 3 kwietnia 1940 r. odjechał stamtąd pierwszy transport – na śmierć, a już 3 maja niemal wszyscy zamknięci w Starobielsku Polacy zostali zabici strzałami w tył głowy. Ich ciała pochowano w Piatichatkach pod Charkowem. Z prawie 4 tys. żołnierzy 77 oszczędzono. Jednym z nich był właśnie, przewieziony do Griazowca, Józef Czapski.

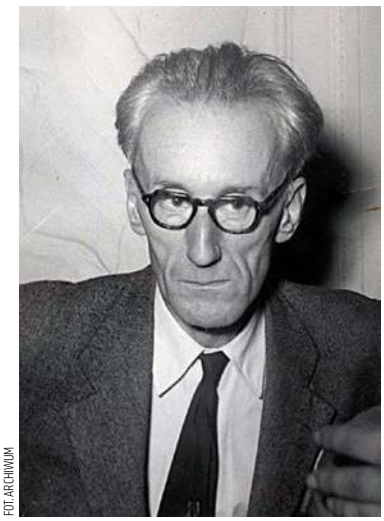

FOT. ARCHIWUM

Po latach znana rosyjska historyk Natalia Lebiediewa napisała do niego, że zgodnie z dokumentami, które przeczytała, on i niektórzy z jego obozowych kolegów uniknęli egzekucji dzięki prośbie wystosowanej za pośrednictwem niemieckiej ambasady w Moskwie w imieniu hr. Ferdinanda du Chastel, ambasadora Vichy w Rzymie. Zdumiony Czapski twierdził, że nikogo takiego nie znał, właściwie więc nie wiemy, czy uratowała go „międzynarodówka arystokratyczna", czy opatrzność Boża.

Przeszedł szlak armii gen. Andersa jako jedna z osób najbliższych generałowi. Zanim to tułacze wojsko opuściło imperium zła, zjeździł Czapski Sowiety w poszukiwaniu „zaginionych" polskich oficerów: tych z Kozielska, Ostaszkowa, Starobielska. Wszędzie napotykał mur milczenia bądź dezinformację. Swoje przeżycia z ZSRS opisał po wojnie w książkach „Wspomnienia starobielskie" i „Na nieludzkiej ziemi".

Dożył prawie 97 lat. Zmarł w 1993 r. w Maisons-Laffitte pod Paryżem, w domu współtworzonej przez niego „Kultury", w którym mieszkał od 1947 r. Pochowano go w sąsiadującej miejscowości Le Mesnil-le-Roi obok zmarłej wcześniej jego siostry, Marii. Grabarze czterokrotnie rozkopywali dół, gdyż trumna nie chciała się w nim zmieścić. Zmarły miał dwa metry wzrostu.

Gdy młody kuzyn Czapskiego spytał Karpelesa, czy to prawda, że jego sławny wuj był gejem, ten odpowiedział: „Sypiał zarówno z mężczyznami, jak i z kobietami, ale sądzę, że preferencje miał przede wszystkim homoerotyczne. W zasadzie więc odpowiedź na twoje pytanie jest twierdząca". To oczywiste, choć trzeba pamiętać, że do śmierci bardzo kochała go Catherine Harrison, później Djurklou, z którą żył, ale nie chciał się ożenić. Jego homoseksualnych związków Karpeles nie ukrywa, tu warto może tylko przypomnieć jego związek z bratem Vladimira Nabokova, Siergiejem.

Biografia Erica Karpelesa jest jednak, nade wszystko, biografią malarza. I o malarstwie Czapskiego jest tu najwięcej, ale autor mówi między wierszami także o sobie. A że potrafi opowiadać o obrazach i rysunkach, kolorach i światłach z niemałym talentem, z przyjemnością czyta się tę historię o ludziach, którzy spotkali się – jak mawiał Józef Czapski – na końcu ołówka. ©℗

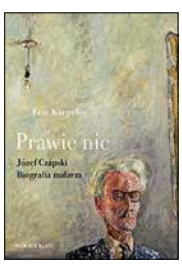

★★★★☆

ERIC KARPELES „PRAWIE NIC. JÓZEF CZAPSKI, BIOGRAFIA MALARZA"
NOIR SUR BLANC 2019

eprasa.pl 4e0c707824

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Smród futbolu

Powieść Tomasza Łapińskiego jest o tym wszystkim, czego nie zobaczycie w weekend, oglądając transmisje meczów polskiej Ekstraklasy. Zamiast ślicznych obrazków HD z pięknych stadionów mamy smród zapuszczonych szatni, rynsztokowe słownictwo i jeszcze bardziej rynsztokowe zachowania: pijaństwo, kurewstwo i ogólny syf. Jest to też rzecz o tym, co ponoć jest już wyłącznie przeszłością (sprzedawanie meczów) i co przeszłością na pewno nie jest (terroryzowanie piłkarzy przez kiboli).

„Zaczęło się od scenariusza pod film" – mówił w wywiadzie dla portalu Weszlo.com autor, kiedyś jeden z lepszych polskich piłkarzy, dziś fotografik, komentator i klubowy działacz (Widzew Łódź). „Oczywiście poszedł w diabły, ale już był schemat, na którym mogłem się oprzeć". Łapiński zastrzegał, że nie jest to rzecz autobiograficzna, bo on sam nie ma nic wspólnego z głównym bohaterem. Ale przyznawał, że pisząc, opierał się na tym, co widział podczas kariery. „Skomasowałem pewne postawy, wrzuciłem to wszystko do jednej szatni tak, żeby zabrzmiało" – opowiadał. „Nie wmawiam nikomu, że było pięknie i wspaniale".

Pięknie i wspaniale. To ci dopiero byłby eufemizm! Świat piłki w „Szmacie" jest taki jak jej tytuł i ilustracja na okładce (odwrócone korki piłkarskie utytłane w łajnie). Kluczowe pytanie z opowieści brzmi: „Czy tylko źli ludzie czynią zło?". Zmierzy się z nim (na własnym przykładzie) główny bohater, który u kresu kariery piłkarskiej zaczyna kwestionować swoje dawne wybory.

Chociaż to fikcja, to trudno nie znaleźć w niej elementów zaczerpniętych z bujnych (i niezbyt chlubnych) dziejów polskiej piłki, choć oczywiście autor myli tropy i próbuje maskować prawdziwe inspiracje. Jako świadectwo kogoś z wnętrza tego bardaku jest to historia bezcenna. Odkrywcza jednak nie jest, właściwie niemal wszystkie wymienione w „Szmacie" grzechy piłkarskich przekręciarzy opisał dawno temu węgierski pisarz Antal Vegh w powieści „90 minut", która wywołała w 1979 r. burzę (w Polsce przetłumaczono ją kilka lat później). „Szmata" oczywiście jest dla polskiego czytelnika bardziej interesująca, bo Polak (i to niegłupi) opowiada o polskim futbolowym piekiełku.

„Polska piłka miała swój czarny okres, który opisałem" – powiedział kilka dni temu Łapiński w rozmowie z „Super Expressem". Żałuję, że nie udało się tego zrobić wcześniej. Może szybciej rozpoczęlibyśmy proces ozdrowienia. ©℗

★★★★☆☆

TOMASZ ŁAPIŃSKI „SZMATA" SQN 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Rozważania na temat samobiczowania Zachodu", czyli niepoprawny politycznie esej o tym, z jakim samobójczym zapamiętaniem cywilizacja europejska poniża własne dokonania i jak fatalne efekty nam to przynosi.

PASCAL BRUCKNER „TYRANIA SKRUCHY" PIW

Posełki? Posełkinie? Chodzi o kobiety z Sejmu II RP. Olga Wiechnik oddaje im głos, korzystając z obfitej dokumentacji. Polska dała paniom prawa wyborcze wcześniej niż Anglia, USA czy Francja. I kto tu jest naprawdę postępowy?

OLGA WIECHNIK „POSEŁKI" WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Neapol. Inspektor Lojacono na tropie seryjnego mordercy pozostawiającego na miejscu zbrodni mokre od łez chusteczki. Wśród innych włoskich twórców kryminałów de Giovanni wyróżnia się mroczniejszym tonem i pisarskim talentem.

MAURIZIO DE GIOVANNI „METODA KROKODYLA" MUZA

Autor kontynuacji „Wehikułu czasu" („Statki czasu") tym razem bawi się inną klasyką Wellsa, dopisując ciąg dalszy do „Wojny światów". Drugi najazd Marsjan następuje 14 lat później. Czy ludzkość jest na niego gotowa? ©℗

poleca Piotr Gociek

STEPHEN BAXTER „MASAKRA LUDZKOŚCI" ZYSK I S-KA

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Umorzenie" (Czwarta Strona) – dziewiąty tom kryminalnej serii o prokurator Joannie Chyłce (ostatnio znanej też z serialu TVN).***
2. ***Miłosz Brzeziński „Głaskologia" (Instytut Kreowania Skuteczności) – reguły motywowania i rozumienia motywacji, czyli o tym, że najlepiej po dobroci.***
3. ***S.J. Scott „Nawyk nieodwlekania" (Sensus) – „Proste sposoby pokonania prokrastynacji", czyli o tym, jak dojść do „co masz zrobić jutro, zrób dziś".***
4. ***Jens H. Jensen „Mroczni ludzie" (Editio) – drugi tom kryminalnego cyklu o Oxenie, weteranie wojennym, którego poznaliśmy w „Zanim zawisły psy".***
5. ***Katy Evans „Magnat" (Wydawnictwo Kobiece) – autorka romansów z serii „Real" i „Manwhore" rozpoczyna kolejny cykl: „Manhattan".***

(Najchętniej kupowane e-booki na Ebookpoint.pl w marcu 2019 r.)

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. SIMONA SUPINO/FORUM

Z Januszem Korwin-Mikkem, prezesem partii KORWiN
rozmawia Wojciech Wybranowski

Broniarz powinien siedzieć!

WOJCIECH WYBRANOWSKI: W momencie, gdy rozmawiamy, trwa strajk nauczycieli domagających się podwyżek. Zdania rodziców są podzielone, część popiera strajkujących, część jest oburzona próbą zablokowania przez nich uczniowskich egzaminów. A pan?

JANUSZ KORWIN-MIKKE: W sprawie taksówkarzy, nauczycieli itp., itd. wyraźnie widać, jak głęboko tkwimy w komunizmie. Wszyscy dbają o Człowieka Pracy. Tymczasem ważne jest nie dobro taksówkarza czy übermenscha, tylko pasażera. Człowiek Pracy – w tym nauczyciel – ma na dwóch łapkach służyć przed klientem, czyli ojcem dziecka. Towarzysz Sławomir Broniarz powinien siedzieć w kryminale razem z wierchuszką ZNP, szkoły powinny zostać natychmiast sprywatyzowane, wprowadzony bon oświatowy – i żadne strajki nie miałyby miejsca, poziom oświaty zacząłby rosnąć, podobnie jak zarobki nauczycieli.

Do protestu taksówkarzy przeciw funkcjonowaniu Ubera w Polsce chciałem dopiero przejść. Domyślam się, że jako wolnościowiec jest pan za całkowitym uwolnieniem rynku na usługi branży transportowej?

Właśnie odpowiedziałem. To typowe polskie piekło. Taksówkarze, zamiast żądać skasowania dodatkowego ubezpieczenia, chcą, by objąć nim również übermenschów! A przecież jaka różnica, z punktu widzenia PZU, czy ja pana przewożę prywatnie czy zawodowo, jako taksówkarz czy übermensch? Tylko jest jeden problem: dla taksówkarzy większym konkurentem jest drugi taksówkarz niż übermensch. Oni zdobyli te licencje, ciężko za to płacąc, i nie chcą, by inni mogli to zdobyć łatwo…

Wiadomo już jednak – pisaliśmy o tym w „Do Rzeczy" – że ambasador USA pani Mosbacher naciskała na polski rząd, by amerykański Uber mógł korzystać z pewnych ulg niedostępnych dla polskich taksówkarzy.

Georgette Mosbacher trzeba wytłumaczyć, że takie naciski źle służą sprawie. Mają dokładnie odwrotny skutek. Rząd polski powinien taktownie oświadczyć, że jej uwag po prostu nie przyjmuje do wiadomości. Więc niech się nie fatyguje.

Nie brakowało amerykańskich nacisków podczas dwukrotnego kryzysu dyplomatycznego między Polską a Izraelem. Niektórzy mówili nawet o wojnie informacyjnej. Wycofując się z nowelizacji ustawy o IPN, wygraliśmy ją czy przegraliśmy?

Jaka „wojna z Izraelem"? O co? Nie „ponieśliśmy porażkę", tylko wygłupiliśmy się. Ustawa o IPN była głupia i nie należało jej uchwalać ogromną większością – wiadomo, że idioci stanowią w społeczeństwie ogromną większość i Sejm jest wiernym reprezentantem społeczeństwa, ale też nie wolno było pod naciskiem jej wycofywać. Jednak dwie uwagi. Po pierwsze, ta ustawa dała, o dziwo, korzystny skutek, bo wszyscy zaczęli mówić: „No, jasne, że nie »polskie obozy«, tylko nazistowskie obozy na polskiej ziemi", więc zerwała się misterna sieć półsłówek i niedopowiedzeń tkana przez żydowską maszynkę propagandową. Po drugie, ta ustawa była kopią ustawy Knesetu sprzed chyba 30 lat, gdzie grożono więzieniem za negowanie Holokaustu. W krajach anglosaskich to obśmiano, ale w prymitywnym Eurolandzie powszechnie przyjęto. Polska wraz z wycofaniem się z poprawiania ustawy o IPN powinna była również odwołać ustawę karzącą za negacjonizm. Zakaz wjazdu do Polski p. Davida

eprasa.pl 4e0c707824

Irvinga ośmiesza nas kompletnie w świecie anglosaskim. „Poglądy sprzeczne z polskim prawem!" – czy taka fraza może przejść przez usta człowiekowi cywilizowanemu?

Z zakazem wjazdu dla Irvinga wiąże się też pana wypowiedź, że trzeba udowodnić, iż Hitler wiedział o Holokauście. Część komentatorów uważa, że uruchomił pan w ten sposób „protokół 1 proc.". Nie poniosła trochę pana werwa publicysty? Nie żałuje pan tej wypowiedzi?

A skąd. Naszym elektoratem nie są ćwierćinteligenci. Ja przecież nie neguję Holokaustu, twierdzę tylko, że nie ma dowodu, iż wiedział o tym Hitler. A dowodu nie ma. Za jego znalezienie jest nagroda 150 tys. funtów – niezła sumka.

Jednak w wydanej w 1996 r. książce Markusa Tiedemanna „W Oświęcimiu nikogo nie zagazowano" przytoczono m.in. cytaty z wypowiedzi Adolfa Hitlera, które jasno wskazują, że domagał się definitywnego rozwiązania tzw. kwestii żydowskiej.

Oczywiście. Ale mogło to oznaczać np. chęć wywiezienia ich na Madagaskar.

Trudno jednak zakładać, że w państwie tak totalitarnym jak III Rzesza jego przywódca nie wiedział o poczynaniach swoich ludzi.

O, Boże! Proszę wziąć do ręki książkę śp. gen. Władysława Andersa „Klęska Hitlera w Rosji 1941–1945". Na początku przeczytają państwo, że gdy żołnierze z rozbitych wojsk sowieckich masowo się poddawali, Adolf Hitler kategorycznie zabronił tworzenia z jeńców wojsk sojuszniczych, bo Niemcy sami sobie poradzą. A przy końcu, że w 1944 r. ze zdumieniem się dowiedział, iż ma dwie armie rosyjskie (ROA i RONA), dywizję ukraińską SS Galizien oraz pułki i bataliony azerskie, czeczeńskie, tatarskie i cholera wie, jakie jeszcze. Przypominam, że Hitler był głównodowodzącym wojsk. Natomiast nie był ministrem spraw wewnętrznych. Sapienti sat. Aha – David Irving twierdzi, że jest świadectwo adiutanta Henryka Himmlera, ministra spraw wewnętrznych, organizatora słynnej konferencji w Wannsee, na której zaplanowano Holokaust, że któregoś dnia Himmler siedział długo przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach, po czym powiedział do niego: „Zrobiłem coś strasznego – ale imię Wodza pozostanie nieskalane!". Jeśli wierzyć Irvingowi, może chodzić właśnie o tę konferencję.

Wróćmy do dzisiejszej Polski. Część działaczy opozycji porównuje nasz kraj do Niemiec z lat 30. Straszą zagrożeniami dla demokracji czy wręcz jej brakiem.

Ja bardzo nie lubię d...kracji. D...kracja to ustrój totalitarny, to Wszechwładza Większości. To elity walczą o wolność (słowa i działania), a nie Większość!

Jak idzie Konfederacji zbieranie podpisów pod listami wyborczymi?

Już wszystkie zebrane, z dużymi nadwyżkami.

Jak długo da się łączyć wodę z ogniem? Wiele poglądów, także światopoglądowych liderów Konfederacji, jest wzajemnie sprzecznych.

W Konfederacji obowiązuje tylko sprzeciw wobec obecnej Unii z pozycji prawicowych. Natomiast w każdej innej sprawie każdy może mieć własne poglądy. Jeśli ktoś twierdzi, że Ziemia jest płaska, i ma 100 tys. ludzi, którzy na niego zagłosują, to OK. Jak pan widzi, przyjmujemy reguły gry w d...krację, czyli immanentną głupotę. A inni mogą głosować na kogo innego.

Z mojego punktu widzenia Rosja, jako wróg naszego wroga, czyli Ukrainy, jest cennym sojusznikiem

Sprzeciw wobec Unii, ale jaki? Narodowcy mówią o polexicie, poseł Liroy mówił niedawno mi, że chciałby Unię reformować, pan onegdaj w jednym z wywiadów dla „Do Rzeczy" powiedział, że idzie do PE po to, by „zgasić światło i zamknąć drzwi w tym burdelu".

No właśnie! Każdy ma inne poglądy. Natomiast ja twierdzę, że łatwiej rozwalić Unię, niż zrobić polexit.

W ostatniej kadencji się to panu nie udało. Ba, kilka razy zdaje się był pan karany ograniczaniem prawa do wypowiedzi. A to oznacza, że federaliści trzymają się mocno?

Nie. Trybunał Europejski kazał mi te pieniądze oddać. I federaści oddali.

Pan mówi o rozwaleniu UE. A euroentuzjaści i nawet eurosceptycy mówią, że ze względu na Rosję i związane z tym zagrożenie dla Polski pewna forma unijnej federacji jest potrzebna.

Nie słyszałem, by Rosja domagała się Mrągowa czy Węgorzewa… Natomiast Ukraina ma poważne roszczenia. Tak czy owak panzer-brigada z USA stacjonuje na granicy z Niemcami. I jedyne ćwiczenie bojowe, jakie przeprowadziła, to ewakuacja za Odrę. Problem jest z naciskami USA na popieranie Ukrainy (bo chcą rozwalić Rosję) – natomiast z mojego punktu widzenia Rosja, jako wróg naszego wroga, czyli Ukrainy, jest cennym sojusznikiem.

Czy w gronie liderów Konfederacji rozmawiacie już o wspólnym starcie w jesiennych wyborach czy na razie wyłącznie skupiacie się na kwestiach startu do PE?

Tak, rozmawialiśmy. Najprawdopodobniej wystartujemy razem.

A co z próbą zjednoczenia w szerszym bloku ugrupowań prawicowych np. wspólnie z Markiem Jurkiem?

Nie ma woli porozumienia.

Kilka razy w przestrzeni publicznej pojawiały się informacje o ewentualnym sojuszu pana i Pawła Kukiza. Zawsze kończyło się to dość spektakularnym zerwaniem rozmów.

Dwa razy. Nie mam pojęcia dlaczego. Ja się nie obrażam, bo polityk nie ma prawa się obrażać. Nie wszyscy mają takie zasady.

Załóżmy, że pan i Konfederacja startujecie razem w jesiennych wyborach do Sejmu, że przekraczacie próg. Co wtedy? Budowanie politycznego obozu w opozycji czy próba wejścia do koalicji, która sięgnie po władzę?

Jeśli PiS lub PO będą miały 231 mandatów, to będziemy tylko gadać. Jeśli nie, to możemy próbować, ale PiS łączy z PO 30 razy więcej niż PiS lub PO z Prawicą, więc zapewne dotrzymają umowy Okrągłego Stołu, że „Prawica nie ma prawa dojść do władzy". I zawrą Wielką Koalicję, jak SPD z CDU/CSU w Niemczech.

Krytycznie ocenia pan rządy PiS, więc zastanawiam się, czy widzi pan możliwość współrządzenia z partią Kaczyńskiego. Albo współpracy z Koalicją Europejską?

PiS to II Rzeczpospolita, to sanacja, czyli katastrofa. Niestety, nie przywiązuję najmniejszej wagi do programów PO czy PiS, bo i tak robią potem co innego. A jeśli robią to, co obiecały, to tym gorzej. Nadzieja byłaby w tym, gdyby WCzc. Jarosław Kaczyński objął dyktaturę, wtedy mógłby robić, co chce, i może dałoby się mu wytłumaczyć, co trzeba zrobić. Jednak przerażenie mnie ogarnia na myśl, że mógłby zaprowadzić dyktaturę i umrzeć. Co zrobił śp. Józef Piłsudski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ballada o kioskach

Ostatnio niedaleko mojego bloku rozegrała się dramatyczna scena. Skrzyżowanie zatarasowały mobilny dźwig oraz wielka ciężarówka. Ekipa robotników oplotła kiosk stalowymi łańcuchami. Następnie dźwig szarpnął i podniósł budkę do góry. Kiosk majestatycznie przepłynął nad głowami gapiów i został złożony na pakę ciężarówki. Po czym odjechał w nieznane, sprawiając, że kiosk Ruchu faktycznie znalazł się w ruchu.

Scena może nie była aż tak symboliczna jak pożar katedry Notre Dame, ale jednak dała mi do myślenia. Uświadomiłem sobie, że w ciągu kilku ostatnich lat z mojej okolicy zniknęły po cichu przynajmniej trzy kioski. Jeden był przy przystanku tramwajowym, drugi przy autobusowym, trzeci stał niedaleko mojego bloku. Czwarty i ostatni oderwano od podłoża na moich oczach. W ich miejsce pojawił się jeden pawilonik prasowy, którego nie lubię, bo jego nazwa nie brzmi po polsku. Przepraszam, może to przejaw ksenofobii, ale nie lubię, jak kawiarnie albo salony sprzedaży prasy mają anglojęzyczne nazwy.

Kioski Ruchu występują w wielu moich wspomnieniach. Najstarsze to wyczekiwanie w piątkowe popołudnia na dostawę „Expressu Wieczornego" w latach 80. ubiegłego stulecia. Piątkowy „Express" był bardzo cenny, ponieważ zamieszczał program telewizyjny na cały tydzień. Dlatego przy kiosku gromadziła się wataha ludzi oczekujących na furgonetkę koncernu RSW Prasa-Książka-Ruch. Wataha płynnie przekształcała się w kolejkę, kiedy furgonetka pojawiała się na horyzoncie. Kto nie zajął pozycji w czubie, ten musiał się obejść smakiem i zamiast „Expressu" kupić zalegającą „Trybunę Ludu", co było oczywiście obciachem.

W kioskach Ruchu kupowałem też kolejne odcinki przygód Tytusa, Romka i A'Tomka oraz „kolorowe zeszyty" o kapitanie Żbiku. Kiedy troszkę podrosłem, zasadzałem się na tygodnik „Razem", w którym na końcu znajdowało się zdjęcie gołej laski. W środku były też plakaty z zespołami, ale – mówiąc szczerze – kręciły mnie znacznie mniej.

Dlatego z powodów sentymentalnych bardzo bym chciał, żeby kioski Ruchu przetrwały. Chciałbym też, żeby w Warszawie było jak w każdym europejskim mieście – od Aten do Paryża – gdzie z oblepionych prasą budek patrzą z okładek czasopism miejscowe i światowe gwiazdy. A spragniony turysta może w niej kupić butelkę zimnej wody. Kiosk to coś bardzo europejskiego i dlatego Orlen, który chce reanimować zmasakrowany Ruch, ma moje wsparcie. Każde działanie, które powoduje, że będziemy czytać więcej, a przynajmniej nie będziemy czytać mniej, zasługuje na pochwałę.

Jeśli Ruch przetrwa i prasa będzie łatwo dostępna, wystarczy już zrobić tylko jedną rzecz. Trzeba będzie sprawić, żeby sprzedawane tam czasopisma dało się czytać. Ale to już zupełnie inna bajka. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Rozpacz i duma

Płacz nad stojącą w ogniu katedrą Notre Dame skłania do refleksji. Widok modlących się paryżan budzi nieśmiałe nadzieje na temat przyszłości najstarszej córy Kościoła, a jednocześnie skłania do zauważenia wyjątkowości naszej cywilizacji, która składa się nie tylko z zabytków klasy zero, ale tysięcy kościołów i pałaców, dworków i kapliczek przydrożnych. Tradycji zapisanej w kulturze i genach, tak często wypieranej ze świadomości, zastępowanej kulturą wstydu i permanentnego przepraszania. Za co? Za to, że zgodnie z prawami swego gatunku lepszy zwyciężał gorszego, pracowitszy nieroba?

Całe wychowanie Zachodu od pewnego czasu polega na walce z dumą.

A przecież to Biały Człowiek dał światu prawo rzymskie, wszelkie gatunki sztuki, zasady tolerancji i demokracji, równouprawnienie kobiet. Stworzył szczepionki na zarazy i zieloną rewolucję, wynalazł komputer i Internet.

Mimo najszczerszych chęci nie da się porównać figurek Aborygenów z „Pietą" Michała Anioła czy ludowych bajań z dramatami Szekspira. Przeszłość składa się z nieprzebranej liczby aktów niegodziwych. Kto powinien przepraszać kogo i do kiedy? Grecy Persów za Aleksandra czy może Persowie za wcześniejsze najazdy? Maurowie Hiszpanów czy Hiszpanie Maurów? A może wszyscy wszystkich, bo kilkadziesiąt pokoleń temu przedstawiciele naszego gatunku pożerali się nawzajem. A jak przeprosić w imieniu gatunku homo sapiens wytępionych neandertalczyków? Czasami sytuacja staje się groteskowa. Biali prawnukowie kolonizatorów chcą przepraszać potomków Indian za Kolumba i konkwistadorów, zapominając, że ich podbój dokonał się z pomocą ludów zbuntowanych przeciw Aztekom, traktowanych jako dostawcy serc składanych na ołtarzu krwawych bogów.

Ludzie odpowiadają za swe czyny, ale dopóty, dopóki żyją. Nie można winić dzieci za grzechy ojców i kajać za pradziadków! Czy świat się stał lepszy po wpuszczeniu milionów przedstawicieli „ludów uciemiężonych" do dawnych metropolii? Czy pieniądze wpompowane w Afrykę gwoli odkupienia wyrzutów sumienia dały coś poza wzrostem miejscowej korupcji i społecznej dewastacji?

Co gorsza, wiele ze współczesnych pomysłów dokonuje się poprzez gwałt na prawdzie. Filmy pokazujące czarnoskórych arystokratów za czasów Tudorów, cenzurowanie klasycznej literatury od Ajschylosa do Marka Twaina, dowartościowywanie na siłę mniejszości narodowych i seksualnych, kobiet i dzieci może i poprawią komuś samopoczucie, ale w sumie niosą zagładę naszej cywilizacji, w podobnym stopniu jak iskry, od których zajęła się świątynia na wyspie La Cité. ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

Kraków kbf fmf

RMF Classic

1000 biletów

na Festiwal Muzyki Filmowej do zdobycia już teraz w RMF Classic

Szczegóły na **www.rmfclassic.pl**

Słuchaj nas on-line:
www.rmfon.pl

Słuchaj nas w telefonie.
Pobierz aplikację w App Store, Google Play, Microsoft Store.

Białystok 90,0 FM
Bydgoszcz 95,1 FM
Częstochowa 89,9 FM
Elbląg 91,2 FM
Gdańsk 88,4 FM
Gdynia 107,1 FM
Katowice 94,1 FM
Kielce 99,0 FM
Kraków 87,8 FM
Lublin 107,6 FM
Łódź 105,0 FM
Olsztyn 100,9 FM
Opole 97,5 FM
Poznań 103,9 FM
Płock 93,1 FM
Szczecin 98,0 FM
Toruń 105,5 FM
Warszawa 98,3 FM
Włocławek 91,2 FM
Wrocław 99,2 FM
Zielona Góra 89,0 FM

eprasa.pl 1e0c707824

Jak sczechosłowakizowano Koszyce?

Ostateczne zajęcie Koszyc przez armię czechosłowacką 8 lipca 1919 r. Na czele francuski gen. Edmond Hennocque, „wypożyczony" z Paryża. W tle jeszcze węgierskie napisy sklepowe FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Piotr Semka
z Koszyc

Kult flagi, zjazdy legionistów i zawody sportowe – tymi atrakcjami republika Masaryka budowała swój prestiż

Ten tytuł jest lekką prowokacją. Samo słowo „czechosłowakizacja" dziś brzmi dość staroświecko. A jednak słowa tego niegdyś używano i oznaczało ono wprowadzanie urzędowymi środkami porządku i symboliki państwa Czechów i Słowaków. Wystawa „Koszyce 1918–1938. Narodziny metropolii wschodniej Słowacji" pokazujące, jak taka polityka wyglądała w praktyce.

Słowacy 25 lat temu dokonali aksamitnego rozwodu z Czechami, ale to nie znaczy, że nie są dumni ze swego przedwojennego wspólnego państwa. Szczerze mówiąc, sto lat temu to bardziej Czesi wchłonęli Słowaków. Jednak ci bez pomocy z Pragi nie wyzwoliliby się spod trwającej ponad tysiąc lat władzy Węgrów.

Czesi mieli wtedy silniejszą tożsamość. Mieli tradycję własnego królestwa, historyczne godło i barwy, własnych królów i bohaterów. A co mieli Słowacy? Mogli odwoływać się do pamięci o paru słowiańskich książętach z IX w., cienkiej warstwy szlachty mającej słowackie korzenie, legendy o Janosiku i wreszcie do garstki naukowców, którzy w XIX w. odrodzili język słowacki.

WĘGIERSKI KLEJNOT

Słowacy nie wyzwolili się sami, choć stanowili pewną część w Legionach Czechosłowackich w Rosji, we Włoszech i we Francji formowanych z wziętych do niewoli jeńców austro-węgierskich. Późną jesienią 1918 r. ziemie słowackie zdobywała armia na czele z oficerami czeskimi. Potem na dowódców armii ČSR wyznaczono „wypożyczonych" generałów: francuskiego gen. Maurice'a Pelle'a i włoskiego Luigiego G. Piccioniego. Chociaż dbano, by jednostki zajmujące dawne „Górne Węgry" składały się raczej z żołnierzy słowackich, rekrutowanych z drużyn podległych słowackim radom narodowym.

A Koszyce? Przez stulecia były obok Bratysławy-Pożonia głównym miastem północnej części ziem Korony Świętego Stefana. Po Łacinie – Cassovia, po węgiersku – Kassa, a po niemiecku – Kaschau. W Polsce miasto to najbardziej jest znane z „przywilejów koszyckich" króla Ludwika Węgierskiego dla polskiej szlachty z 1374 r. Metropolia pełna pałaców madziarskich magnatów i silna niemieckim i żydowskim mieszczaństwem, do którego w końcu XIX w. dołączyła wątła grupa pierwszych słowackich inteligentów. Według spisu z 1910 r. na ogólną liczbę 44 tys. mieszkańców miasta aż 75,4 proc. deklarowało się jako Węgrzy, 14,8 proc. jako Słowacy, 7,2 proc. – Niemcy, a aż 1,8 proc. stanowili Polacy. Statystyka nie obejmowała Żydów, których w mieście było ok. 7 tys. i którzy w spisie deklarowali się zazwyczaj jako Węgrzy.

W Koszycach znajdowała się siedziba austriackiego okręgu wojskowego. Na przełomie XIX i XX w. rozkwitła tu węgierska awangarda malarska i intelektualna. Jej najbardziej znanym przedstawicielem

eprasa.pl 4e0c707824

był popularny pisarz węgierski Sándor Márai, w którego rodzinnym domu jest dziś muzeum. Młody Márai zachłystywał się byciem mieszczaninem, chadzał do kawiarni i klubów. Początek XX w. to szczyt węgierskich uniesień patriotycznych w Koszycach. Odnowiono miejscową gotycką katedrę św. Elżbiety. To tu z ogromną pompą w 1906 r. pochowano przywiezione z tureckiego wygnania szczątki Franciszka Rakoczego, przywódcy antyhabsburskiego powstania z XVIII w.

Dwanaście lat potem ten, wydawałoby się, potężny i nienaruszalny świat rozsypał się w październiku 1918 r. Węgry u boku Austrii przegrały wojnę. Jeszcze przez półtora miesiąca nikt nie wierzył, że Kassa może być oderwana od ziem Korony św. Stefana. Wreszcie 24 grudnia 1918 r. ententa ogłosiła, że ostateczna linia demarkacyjna sytuuje Koszyce po stronie czechosłowackiej. Zaczął się exodus wielu madziarskich rodzin. Szef Muzeum Górnych Węgier Elemír Kőszeghy-Winkler zapakował do wagonów najcenniejsze eksponaty – trzy czwarte ogólnego inwentarza – i wywiózł je do Budapesztu.

Wreszcie, po potyczce z oddziałami węgierskimi pod Margecanami – 29 grudnia 1918 r. – Koszyce zajęli ochotnicy z pierwszego pułku Gwardii Wolności Słowacji. Dwa tygodnie potem, 18 stycznia 1919 r., pierwszy słowacki burmistrz Vladímír Mutňanský nakazał wywieszenie na wszystkich domach w mieście flag słowackich i czeskich. Sprzeciw był surowo karany. Jeszcze na chwilę Koszyce stały się węgierskie, gdy miasto zajęli 6 czerwca 1919 r. madziarscy komuniści z Republiki Rad Béli Kuna, ale 5 lipca wojska czechosłowackie odbiły miasto. Teraz już nic nie zagrażało nowej władzy. Czechosłowacja okrzepła – trzeba było jeszcze stworzyć koszyckich Czechosłowaków.

PRECYZYJNA MASZYNERIA

Plakaty z lat 1918–1919 zebrane w pierwszej sali wystawy dobrze oddają ducha husyckiej i słowianofilskiej żarliwości, z którą Czesi zdobywali Słowację. Przykuwają uwagę prace grafika z kręgu secesji – Vojtěcha Preissiga. Oto czechosłowacki jeździec we francuskim mundurze Bleu wznosi husycką chorągiew z kielichem. Napis głosi: „Kim jesteście, Boży wojownicy?". Kolejne dzieło Preissiga wzywa Słowaków do powstania przeciw Madziarom. Tatrzański juhas z ciupagą i ze strzelbą goni uciekających Węgrów: „Bóg za krzywdy mści gromem, a junak kulami!".

Jednak obok tego wyzwoleńczego mesjanizmu Czechosłowacja Tomasza Masaryka była silna korpusem urzędników, przysyłanych wówczas z Pragi czy Brna do Koszyc.

Wzorem dla nowej republiki była jakobińska, świecka Francja. Wierchuszka aparatu urzędniczego na Słowacji zdominowana była przez Czechów, choć dbano, by parę zauważalnych stanowisk obsadzić Słowakami. Na wystawie oglądam biogramy siedmiu szefów policji czechosłowackiej w Koszycach. Od 1918 r. kolejnych czterech było Czechami. Pierwszy Słowak – Ivan Štefánik – objął tę funkcję dopiero w 1930 r. i rządził do 1935. Potem znów zastąpił go Czech Edmund Žák. Jednak w okolicach Koszyc brakowało nawet słowackich urzędników średniego szczebla. Trzeba było sprowadzać sporą grupę funkcjonariuszy z Orawy. A miejsc do obsadzania było sporo. Urzędnicy węgierscy sprzed 1918 r. w większości odmówili przysięgi na wierność nowej republiki i wyjechali na Węgry. Nabór do policji podlegał bardzo drobiazgowej kontroli. Wystawa opisuje jeden z wielu przykładów tej selekcji – wielomiesięczne starania 26-letniego Słowaka Eugena Totha, który wrócił z emigracji w USA, o przyjęcie do służby. Liczba wniosków, opinii i kolejnych świadectw lojalności wobec republiki robi wrażenie.

Wbrew wizerunkowi jedynej demokracji w środkowej Europie czechosłowacka policja polityczna kontrolowała bardzo dokładnie podległą sobie ludność. Gdy uznała, że ktoś „zagraża republice", potrafiła być brutalna i bezwzględna. W gablocie obejrzeć można urzędowe zdjęcia z wpinkami w klapę organizacji uznanych za antypaństwowe. Obok komunistycznego sierpa i młota widać węgierskie flagi i hitlerowskie swastyki. Podejrzenia o „węgierski irredentyzm" nie były w Koszycach żartem. Czeskie i słowackie gazety tytułem ostrzeżenia nagłośniły w styczniu 1921 r. proces trzech osób uznanych za węgierskich szpiegów skazanych za „zdradę republiki" na kary śmierci. Takie spektakle i rozmaite drobne antywęgierskie szykany przyspieszały fale wyjazdów z Koszyc. W 1921 r. wyjedzie niemal cała węgierska kadra Akademii Prawniczej – kontynuatorki średniowiecznego Uniwersytetu Koszyckiego. Prawnicy wyjadą do Miszkolca i Debreczyna, gdzie stworzą zaczątki wydziałów prawa na tamtejszych uczelniach.

W opuszczone miejsca nowe władze wprowadzały swoich ludzi. Wymóg urzędowej zgody na wyszynk alkoholu wykorzystywano, by przejmować dawne węgierskie piwiarnie i winiarnie. Dbano, by oddawać je nowej słowackiej klasie średniej – byłym legionistom, inwalidom wojennym i emigrantom wracającym z Ameryki. Skrupulatnie egzekwowano nakaz podawania jadłospisów po słowacku i po węgiersku. Słowację podbijać zaczęły czeskie firmy. Plzeňský Prazdroj założył własną karczmę na koszyckim rynku.

NOWY PANTEON

Nowa czechosłowacka epoka zaczęła się od usuwania symboli dawnej ery. Najbardziej Czechów i Słowaków kłuł w oczy pomnik honwedów – żołnierzy zrywu 1848/1849 przed katedrą. Gdy 15 marca 1919 r., w rocznicę powstania, mimo oficjalnego zakazu, pod pomnikiem zgromadzili się koszyccy Węgrzy, żołnierze z 74. Trenczyńskiego Pułku Piechoty zaczęli strzelać. Zginęły obywatelka Koszyc Ilona Őrdőgova i 13-letnia dziewczynka Aranka Hervacsicsovà. Następnego dnia pomnik zdemontowano i przeniesiono.

Szczególnie egzekwowano wymóg czci wobec flagi czechosłowackiej. Specjalnie dla jej ekspozycji zbudowano koło katedry „Obelisk republiki" – 24-metrowy pomnik, na który wciągano uroczyście flagę ČSR. Na wystawie obejrzeć można policyjne plakaty nakazujące wywieszanie flagi w święta państwowe z wyraźnym zaznaczeniem – za jej brak groził miesiąc aresztu.

Kolejnym pomnikiem nowej władzy była ustawiona w 1929 r. przed katedrą statua gen. Milana Štéfanika – jedynego Słowaka w gronie założycieli Czechosłowacji. Štéfanik zginął w katastrofie lotniczej w 1919 r.

Jednak w zapale zmian przekroczono granice śmieszności. W 1936 r. pod dzwonnicą św. Urbana ustawiono pomnik patrona Czech – św. Wacława (907–929). Ten książę z dynastii Przemyślidów nie miał absolutnie nic wspólnego ze Słowacją, która za życia tego władcy należała już do Węgier.

Kultowi postaci historycznych towarzyszył kult „prezydenta oswobodziciela" Tomasza Masaryka. Dobrze nadawał się na symbol połączenia dwóch narodów, gdyż jego ojciec był Słowakiem, a matka Czeszką, choć – co przemilczano – bardzo zniemczoną. Wizyta Masaryka w Koszycach 21 września 1921 r. miała iście monarszy splendor. Na wystawie zgromadzono jego portrety i popiersia, które ustawiono w urzędach i koszarach. Po śmierci

eprasa.pl 4e0c707824

Naczelny dowódca okręgu wojskowego Koszyce – gen. Rudola Gajda – na obrazie modernisty Sándora Bortnyika FOT. ARCHIWUM AUTORA (3)

Laicka republika akurat na religijnej Słowacji polecała swe państwo Bożej opiece. Obok: plakat zjazdu legionistów

„Tatíčka" przed siedzibą koszyckiego okręgu wojskowego zbudowano ogromny czarny cenotaf pilnowany przez wojskowe straże przez tygodniowy okres żałoby.

Prestiż republiki demonstrować miały też nowoczesne, ogromne gmachy publiczne budowane w stylu czechosłowackiego modernizmu – komenda policji, gmach poczty czy izba handlu i przemysłu. Republika miała kojarzyć się z solidnością i monumentalizmem. W 1937 r. Koszyce doczekały się pierwszego „mrakodrapa", czyli drapacza chmur – wieżowca włoskiej firmy Assicurazioni Generali. Modernistyczne osiedle urzędników państwowych i bankowych Koszyczanie nazwali „Małą Pragą". Pobrzmiewała w tym zazdrość, ale i irytacja przedłużającą się dominacją Czechów w urzędach. Napływ fachowców znad Wełtawy oraz przyciąganie słowackiej ludności wiejskiej zmieniły oblicze miasta. W końcu lat 30. odsetek ludności węgierskiej w Koszycach spadł z 75 do ok. 15 proc.

ARTYSTYCZNY FERMENT

Bywają miasta, które wskutek kaprysu historii mają w swych dziejach okres nagłego fermentu artystycznego, który gwałtownie wybucha i szybko gaśnie. Tak było z powstaniem w Koszycach w latach 20. „koszyckiej moderny", która przez osiem lat zgromadziła grupę awangardowych malarzy – Węgrów, Słowaków i Żydów. Także na tym polu wraz z włączeniem miasta do Czechosłowacji przyniosło powiew odgórnie lansowanej nowoczesności. Na dyrektora miejscowego muzeum przysłano z Pragi ambitnego mecenasa sztuki, czeskiego adwokata, Jana Polaka, który skupił wokół siebie malarzy szukających nowych stylów. Koszyckim nowatorom poświęcono osobną salę na wystawie. Byli wśród nich koszyczanie, choćby Anton Janusch, których pobyt w rosyjskiej niewoli pchnął do malarstwa ezoterycznego. Była grupa malarzy przybyłych z Czech, np. Frantisek Foltýn, i wreszcie grupa węgierskich awangardzistów, którzy wsparli komunistyczną rewolucję Béli Kuna i po jej upadku uciekli do pozującej na liberalizm pobliskiej Czechosłowacji.

Dla „czerwonych" Węgrów – Sándora Bortnyika, Eugena Króna, Konštantína Bauera czy Gézy Schillera – Koszyce były wygodną przystanią, bo większość elity miasta mówiła w języku Madziarów. Jednak środowisko moderny koszyckiej było ideowym miszmaszem. Lewicowiec Sándor Bortnyik malował w stylu Giorgia de Chirico portret miejscowego komendanta armii czechosłowackiej gen. Rudolfa Gajdy, który parę lat potem zostanie liderem czeskich faszystów. A grafiki Eugena Króna, artysty wspierającego rewolucję, przypominają wizje „nowego człowieka" niemieckich nazistów.

Ten ferment nie mógł trwać w nieskończoność. Bardziej ambitni malarze wyjechali szukać światowej sławy do Paryża, Wiednia i Berlina. Inni wrócili do Budapesztu, licząc na darowanie win z okresu rewolucji. Miejscowi malarze zamknęli się w swej sztuce.

Duch fascynacji nowoczesnością, który kojarzono z nową republiką, zmienił także życie klasycznego mieszczaństwa. Czeskie filmy upowszechniały nowy styl życia i moralności. Z Koszyc można było dostać się w dwie godziny samolotem do Pragi. Powstała lokalna radiostacja nadająca po słowacku. Na rynku nowoczesny dom handlowy buduje Bata – potentat obuwniczy. Rozkwita na nowo fascynacja miejskim życiem symbolizowanym przez kawiarnie, rozmaite kluby, stowarzyszenia i zawody sportowe. Propaństwowe wzorce w życiu publicznym upowszechniają uroczystości Związku Legionistów, sportowych stowarzyszeń Sokół i Orzeł czy defilady wojskowe. Coroczną demonstracją siły czechosłowackich organizacji było lipcowe święto Cyryla i Metodego – pokaz dynamizmu i atrakcyjności czechosłowackiej kultury.

NAGŁY KONIEC REPUBLIKI

28 października 1939 r. w Koszycach hucznie obchodzono dwudziestolecie powstania Czechosłowacji. Ponieważ na Słowacji wiara była silna, propaganda propaństwowa używała odniesień religijnych. Stylizowane ludowe serduszka głosiły: „Boże! Chroń czechosłowacką republikę!".

Jednak było już po traktacie monachijskim. Obrabowana z Sudetów republika prezydenta Emila Háchy była już za słaba, by stawić opór Hitlerowi. 2 listopada 1938 r. Berlin ogłosił tzw. pierwszy arbitraż wiedeński. Oddawał on Węgrom pas południowej Słowacji z Koszycami na czele. Teraz to urzędnicy z Pragi na gwałt pakowali walizki i demontowali czeskie pomniki. 11 listopada 1938 r. do miasta nazywanego już Kassa wjechał na białym koniu regent Królestwa Węgier adm. Miklós Horthy. Koszyccy Węgrzy szaleli z radości.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Koszyce 1918–1938. Narodziny metropolii wschodniej Słowacji" w Muzeum Wschodniosłowackim w Koszycach potrwa do 28 sierpnia 2019 r. Szczegóły na: www.vsmuzeum.sk.

eprasa.pl 4e0c707824

Łukasz Czarnecki

Polski franciszkanin, o. Benedykt, dziewięć lat przed narodzinami sławnego Wenecjanina udał się wraz z papieskim poselstwem do Mongolii

Papież Innocenty IV wysyła dominikanów i franciszkanów do Tatarów

FOT. ART COLLECTION 2/ALAMY/BEGW

Polski Marco Polo

Połowa wieku XIII była dla zachodniego świata czasem niespokojnym. W południowej Francji i północnych Włoszech dogorywał ruch katarów. Bogata do niedawna Prowansja leżała w ruinie po skierowanych przeciwko heretykom krucjatach, które się przez nią przetoczyły. Zmiażdżenie radykalnej sekty nie przywróciło jednak spokoju Europie – papież Innocenty IV i cesarz Fryderyk II Hohenstauf rywalizowali ze sobą o władzę nad chrześcijaństwem. Butny Fryderyk ani myślał uznać prymatu papieskiej tiary nad cesarską koroną i zupełnie nie przejmował się rzucanymi na niego przez głowę Kościoła klątwami. Ojciec Święty widząc, że ekskomunika i związana z nią groźba wiecznego potępienia nieszczególnie przerażają imperatora, sięgnął ostatecznie po jeszcze cięższe działo i na rozpoczętym w roku 1245 soborze w Lyon ogłosił detronizację swego przeciwnika. Problem polegał na tym, że papież mógł tyle werdyktów dotyczących tronu Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego ogłaszać, ile mu się żywnie podobało, niestety, nie miał narzędzi, by zrzucić z niego Fryderyka.

Do tej właśnie podzielonej i skłóconej Europy zaczęły docierać wieści ze Wschodu. Na olbrzymich obszarach Azji pojawił się jakowyś nowy, ogromnie liczny i bitny lud, który siał spustoszenie w świecie islamu, zajmując kolejne krainy zamieszkane przez wyznawców Mahometa.

LUD GOGA I MAGOGA

Opowieści o rzeziach dokonywanych przez tajemniczych najeźdźców bynajmniej nie przeraziły Europejczyków. Mieszanina relacji z trzeciej ręki, fantazji i pobożnych życzeń sprawiła, że nadciągające ze Wschodu hordy uznano za wojowników Księdza Jana – mitycznego władcy rzekomo rządzącego potężnym chrześcijańskim imperium położonym gdzieś w Azji. Od początku wypraw krzyżowych opowieści o tym monarsze rozpalały wyobraźnię zachodnich chrześcijan, a po Starym Kontynencie krążyły różnego rodzaju listy jakoby przez niego napisane.

Średniowiecznych katolików bynajmniej nie kłopotał fakt, że w połowie XIII w. Ksiądz Jan musiałby już być w wieku iście matuzalemowym – pierwsze przypisywane mu dokumenty pojawiły się bowiem ponad sto lat wcześniej.

eprasa.pl 4e0c707824

Mapa znanych lądów przygotowana dla króla Sycylii Rogera II w 1154 r. przez arabskiego geografa Al-Idrisiego FOT. WIKIPEDIA

W średniowieczu ludzie zamieszkujący naszą część świata rzadko jednak kierowali się logiką i woleli wierzyć w cuda oraz nadzwyczajne wydarzenia, a do takich cudowności zaliczały się wszak ciągnące na pomoc chrześcijaństwu wojska Księdza Jana.

Gdy w latach 30. XIII w. rzekomi współwyznawcy wpadli na Ruś, spustoszyli ją ogniem i mieczem, wymordowali tysiące prawosławnych, a ocalałych zmusili do poddaństwa, wydarzenie to również nie zachwiało optymizmem Zachodu. Rzeź Rusinów, tłumaczono sobie, była słuszną karą wymierzoną bezbożnym schizmatykom, którzy zerwali łączność z Rzymem. I choć opowieści przynoszone przez uciekinierów z terenów ogarniętych wojną powinny stanowić dla mieszkańców Europy alarm, nikt nie chwytał za broń i nie szykował się, by ruszyć na pomoc uciśnionym wschodnim chrześcijanom.

Wszystko się zmieniło w roku 1241, gdy „wojownicy Księdza Jana" wkroczyli w wielkiej liczbie na absolutnie katolickie Węgry, które obrócili w perzynę. Inny korpus zaatakował równie ortodoksyjną w swej wierze Polskę, zadając piastowskim siłom klęskę w bitwie pod Legnicą. Dowodzący wojskami obrońców śląski książę Henryk II Pobożny padł w zwarciu, a zwycięzcy najeźdźcy obrabowali jego ciało z szat i ucięli mu głowę. Zwłoki nieszczęsnego Piasta rozpoznano wyłącznie dzięki temu, że miał on sześć palców u jednej ze stóp.

Dotychczasowy optymizm natychmiast wyparował. Zarówno do elit, jak i zwykłych ludzi dotarło, że przybysze z Azji to żadni współwyznawcy, tylko straszliwi poganie – Mongołowie. Przekonano się, że okrucieństwo nowego wroga jest tak potworne, że uważani dotychczas za wcielone demony Saraceni są w porównaniu z nim łagodnymi owieczkami. Kaznodzieje w całej Europie grzmieli z ambon, wołając o przerażającym, zapowiedzianym przez starotestamentowych proroków, ludzie Goga i Magoga, którego najazd jest pewnie karą za grzechy chrześcijan. Jako że nikt nie był pewien, skąd mongolskie hordy przybyły, zaczęto szeptać, że ich ojczyzną jest samo piekło, a dokładnie jego najniższy krąg zwany Tartarem. Stąd do najeźdźców szybko przylgnęło miano Tatarów.

MISJA NIEMOŻLIWA

W Lyonie papieżowi Innocentemu IV sen z powiek spędzała wizja mongolskich hord galopujących po pl. św. Piotra. Po ataku na Węgry okrutni wrogowie z jakiś tajemniczych powodów zaprzestali dalszych podbojów i wrócili do siebie, ale opanowana przez nich Ruś leżała blisko katolickiego świata. Perspektywa rychłego powrotu Tatarów wydawała się bardzo realna i potwornie ciążyła Ojcu Świętemu. Jako nominalny zwierzchnik chrześcijaństwa musiał coś zrobić, by ocalić swą owczarnię przed nadciągającymi ze Wschodu żądnymi krwi wilkami.

Początkowo papież planował zorganizować krucjatę, która połączyłaby siły wszystkich władców Europy w walce przeciwko Mongołom. Idei tej Innocenty szybko zaniechał – do połowy XIII w. zapał krucjatowy zarówno wśród koronowanych głów, jak i szeregowych rycerzy znacząco osłabł.

Ostatecznie Ojciec Święty zadecydował, że miast rozniecać płomień świętej wojny, spróbuje uczynić z wroga przyjaciela, a droga do tego celu była tylko jedna – Mongołów należało schrystianizować. Trudne to zadanie Innocenty IV postawił przed niedawno powstałymi zakonami dominikanów i franciszkanów. Zorganizowano cztery złożone z przedstawicieli owych zgromadzeń ekspedycje i zaopatrzywszy je w skierowane do wielkiego chana papieskie listy namawiające mongolskiego władcę do przyjęcia chrztu i wspólnej walki przeciwko muzułmanom, nakazano im ruszać na Wschód.

Misja powierzona zakonnikom była w gruncie rzeczy przedsięwzięciem szalonym. Podróżnicy w habitach nie dysponowali żadnymi mapami przedstawiającymi trasę, którą mieli podążać, ba – nie wiedzieli nawet, gdzie dokładnie rezyduje wielki chan. W drogę z Lyonu wyruszali więc pełni trwogi, którą jeszcze podsycały kołaczące się po głowach legendy o zamieszkujących Azję potworach.

Z czterech mnisich grup do celu dotarła tylko jedna. 15 kwietnia 1245 r. lyońskie mury opuścił niewielki orszak złożony z dwóch franciszkanów, którym towarzyszyło kilku służących. Kierownikiem owej ekspedycji był o. Jan di Piano Carpini, sędziwy weteran ruchu franciszkańskiego, będący za młodu jednym z towarzyszy św. Franciszka. Czyniąc go swym posłem, Innocenty IV miał nadzieję, że na starego mnicha spłynęło choć odrobinę charyzmy Biedaczyny z Asyżu.

eprasa.pl 4e0c707824

Czcigodnemu starcowi towarzyszył wywodzący się z Czech brat Czesław.

Droga podróżnych wiodła przez Polskę, gdzie do ich grupy dołączyło się dwóch franciszkanów z kraju nad Wisłą – biegle władający językiem ruskim o. Benedykt i enigmatyczny mnich, o którym wiemy tylko tyle, iż jego imię zaczynało się na literę C i pochodził z Bridii. Spory o to, gdzie dokładnie owa Bridia leżała, trwają do dziś. Tym sposobem uformowała się kompania, która podążyła na wschód i 2 lutego następnego roku zawitała do Kijowa.

Kolejnym przystankiem na mapie podróży był Astrachań. I tu drużyna się rozpadła, urzędujący w Astrachaniu wnuk Czyngis-chana – Batu, będący jedną z najważniejszych postaci w imperium mongolskim, zezwolił w dalszą wędrówkę do stolicy wielkiego chana w Karakorum wyruszyć jedynie o. Janowi i towarzyszącemu mu w roli tłumacza Benedyktowi. Brat Czesław wykruszył się już wcześniej, zaś tajemniczy C. miał oczekiwać w obozowisku Batu na powrót współbraci. Wolny czas starał się zabijać zbieraniem i spisywaniem informacji o Mongołach. Tym sposobem powstała księga znana jako „Historia Tatarów".

Prócz cennych z punktu widzenia historyków informacji o dziejach i obyczajach dzikich koczowników znalazły się w niej też opowieści o rzekomo zamieszkujących Azję ludach. I tak czytelnicy dzieła C. mogli się dowiedzieć m.in. o niewiastach parzących się z psami, ludziach żywiących się zapachem gotowanych potraw czy plemieniu nieludzko szybkich, obdarzonych jedną nogą i ręką osobników.

„Historia Tatarów" popadła w zapomnienie i doczekała się odkrycia dopiero w 1957 r., kiedy to jej rękopis został zakupiony przez pewnego Amerykanina, który wywiózł go do USA i przekazał naukowcom.

NA DWORZE WIELKIEGO CHANA

Droga oo. Jana i Benedykta wiodła przez bezkresne stepy, przez które eskortowali ich mongolscy wojownicy. Za pojazdy służyły im charakterystyczne niewielkie tatarskie koniki, wytrzymalsze niż ich europejscy kuzyni, mogące żywić się byle jaką trawą. Bracia musieli się mierzyć z ekstremalnymi warunkami pogodowymi, najpierw dawał im się we znaki mróz, potem, gdy przeprawiali się przez pustynię, dokuczał im nieziemski upał. Na szczęście podróż ułatwiała zakonnikom gęsto pokrywająca imperium sieć stacji pocztowych, umożliwiających odpoczynek i wymianę koni.

W lipcu 1246 r. bracia dotarli do Karakorum. Przybyli akurat na czas, by ujrzeć na własne oczy koronację nowego wielkiego chana – Gujuka, któremu przekazali papieski list. Na dworze mongolskiego imperatora franciszkanie przebywali do listopada. Przez cały swój pobyt pilnie obserwowali obyczaje Mongołów i sporządzali notatki mające posłużyć napisaniu relacji o państwie koczowników.

Podczas gdy mnisi prowadzili swe badania, Gujuk dumał nad pismem od papieża. W końcu, gdy nadeszła jesień, a w listopadowe noce szron zaczynał pokrywać mongolską ziemię, wielki chan wręczył Janowi i Benedyktowi odpowiedź na list Innocentego IV. Jak łatwo się domyślić, posłów czekało gorzkie rozczarowanie. Gujuk zażądał złożenia mu hołdu przez Ojca Świętego i wszystkich władców Europy.

Podróż powrotna do Lyonu zajęła zakonnikom cały rok. Zdawszy papieżowi obszerny raport ze swoich przygód, wzięli się za opisywanie przeżytych perypetii. Tym sposobem spod pióra Carpiniego wyszła „Historia Mongołów", zaś Benedykt spisał „Wyprawę braci mniejszych do Tatarów", znaną też jako „Sprawozdanie".

Niestety, dla pamięci polskiego podróżnika jego relacja, w przeciwieństwie do popularnego w średniowieczu i epoce nowożytnej opisu podróży Marca Polo, światło dzienne ujrzała dopiero w XIX w., na polskie tłumaczenie bezcennej łacińskiej księgi przyszło zaś nam czekać aż do lat 80. XX stulecia.

OWOCE WYPRAWY

Ojciec Carpini wkrótce po powrocie z Mongolii został arcybiskupem. Mniej wiadomo o dalszych losach jego polskiego towarzysza. Benedykt co prawda również awansował, ale na mniejszą skalę, został bowiem gwardianem franciszkanów w Krakowie.

W źródłach pojawia się jeszcze jako świadek w procesie kanonizacyjnym św. Stanisława, po czym zapada cisza, która trwa nieprzerwanie następne sześć stuleci, aż do odkrycia spisanej przez niego relacji o wyprawie. Zapoznawszy się z nią, XIX-wieczni badacze dziejów uznali Polaka za jednego z najważniejszych w dziejach wędrujących po Azji Europejczyków.

Niestety, sława Benedykta nie opuściła gabinetów historyków i nadal z trudem przebija się do świadomości przeciętnych zjadaczy chleba. Informacja o tym, że jeszcze przed narodzinami słynnego Włocha trasę do Mongolii przemierzył Polak, budzi niedowierzanie.

Na szczęście sytuacja ta zaczyna się powoli zmieniać. We Wrocławiu istnieje ulica im. Benedykta Polaka, a rokrocznie zasłużonym globtroterom przyznaje się nagrodę, której patronem jest franciszkanin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

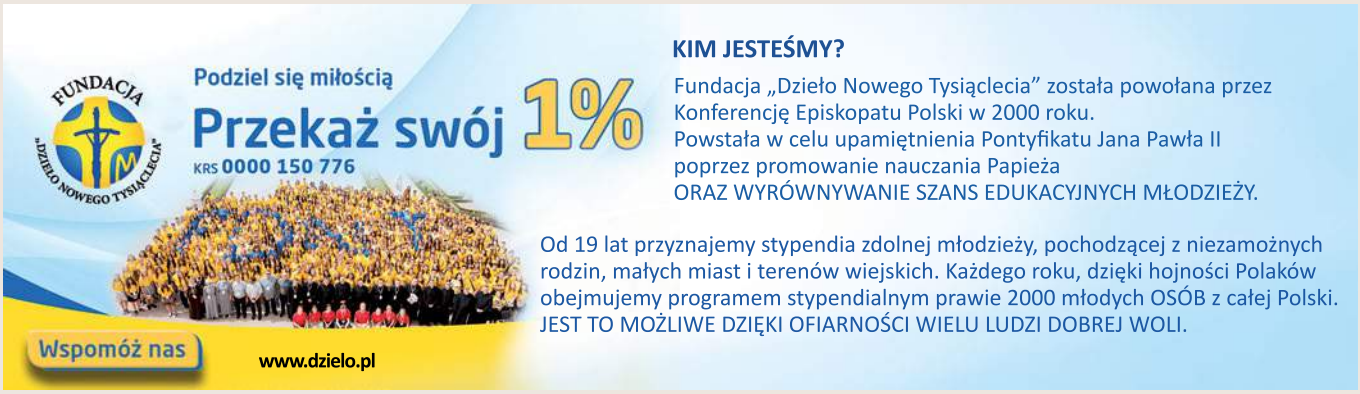

eprasa.pl 4e0c707824

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Tuchaczewski i jego błąd

Dlaczego Józef Stalin w przededniu wybuchu II wojny wymordował niemal całe najwyższe kierownictwo Armii Czerwonej?

Dlaczego kazał wybijać zęby, bić młotkami i rozstrzeliwać swoich najwierniejszych marszałków? Dlaczego wysuwał przeciw nim absurdalne oskarżenia o współpracę z polskim, niemieckim i japońskim wywiadem? Czy dlatego, że – jak chcą niektórzy – był paranoikiem, który wszędzie wietrzył kontrrewolucyjne spiski? I w konsekwencji, przez własną głupotę, obezwładnił Armię Czerwoną w obliczu czekających ją ciężkich zmagań. Zgodnie z tą teorią klęski, które bolszewicy ponieśli w 1941 r., były właśnie konsekwencją czystki z lat 1937–1938.

A może przeciwnie – czystka w Armii Czerwonej była mądrym, dalekowzrocznym posunięciem Stalina. Usunęła bowiem z wojska dowódców-amatorów z czasów wojny domowej, dyletantów, którzy w trakcie rewolucji w kilka dni potrafili awansować z kaprala na generała. Zgodnie z tą teorią czystka w Armii Czerwonej otworzyła drogę do kariery dla dobrze wykształconych sowieckich dowódców młodego pokolenia. Oficerów, którzy kilka lat później wygrali Wielką Wojnę Ojczyźnianą.

Pasjonująca dyskusja na temat przyczyn i konsekwencji czystki w wojsku trwa od lat i będzie trwać jeszcze długo. Nie da się jej jednak prowadzić bez znajomości książek najwybitniejszego polskiego znawcy Związku Sowieckiego – nieżyjącego prof. Pawła Wieczorkiewicza. Chodzi o monumentalny „Łańcuch śmierci" i wznowioną właśnie „Sprawę Tuchaczewskiego". Czyli historię najgłośniejszego epizodu czystki.

Marszałek Michaił Tuchaczewski – niedoszły zdobywca Warszawy w 1920 r. – uznawany był za najzdolniejszego czerwonego dowódcę. Mimo to, a może właśnie dlatego, znalazł się na celowniku Stalina. Poddany brutalnemu śledztwu, oskarżony o szpiegostwo i knucie antysowieckich spisków został w czerwcu 1937 r. rozstrzelany na Łubiance. Jak głosi legenda, w ostatniej sekundzie przed śmiercią miał krzyknąć do oprawców: „Strzelacie nie do nas, lecz do Armii Czerwonej!".

Wieczorkiewicz opowiedział historię Tuchaczewskiego w sposób pasjonujący. Nie przedstawił jednak marszałka jako pozytywnego bohatera. Przypomniał bowiem o licznych zbrodniach, których Tuchaczewski dopuścił się, służąc bolszewikom.

Jego największym błędem – zdaniem profesora – było to, że nie znalazł w sobie odwagi do zorganizowania puczu i obalenia Stalina. ©℗

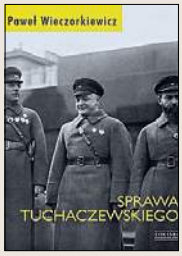

★★★★★★

PAWEŁ WIECZORKIEWICZ „SPRAWA TUCHACZEWSKIEGO" ZYSK I S-KA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Halszka z Ostroga

Wprawdzie uważa się, że dopiero Rzeczpospolita Obojga Narodów nierządem stała, jednak postępowanie magnatów starających się o rękę najbogatszej (i najpiękniejszej) dziedziczki epoki Jagiellonów do dziś wprawia w osłupienie. Bezprawie i gwałt doszły bowiem do tego stopnia, że w porównaniu z nimi kompania Kmicica z „Potopu" wydawać się może wędrowną grupą ascetów.

Elżbieta (Halszka) była pogrobową córką najbogatszego magnata tamtych czasów, księcia Ilii Ostrogskiego i pięknej Beaty Kościeleckiej. Trzy lata po jej urodzeniu, w maju 1542 r., komisarze królewscy dokonali podziału majątku pomiędzy córkę i matkę, a o rękę urodziwej dziewczyny zaczęli się starać najzamożniejsi w kraju. Halszka, nie mając jeszcze 14 lat, zakochała się z wzajemnością w księciu Dymitrze Sanguszce, ale przeciwko małżeństwu zaprotestowała matka. Wobec tego ukochany wraz ze stryjem dziewczyny najechali na Ostróg, zdobyli zamek szturmem i porwali Halszkę. Małżeństwo zostało błyskawicznie zawarte i w pośpiechu skonsumowane.

Matka Halszki natychmiast uzyskała wyrok na gwałcicieli (utrata czci i gardła) i w pogoń za Sanguszką ruszyła armia odtrąconych zalotników. Małżonków dopadnięto już po czeskiej stronie granicy i skatowanego Sanguszkę zamordowano na oczach Halszki.

Dziewczynę odesłano na dwór Zygmunta Augusta, który postanowił cudzym kosztem załatwić własny interes. Wydał Halszkę za przywódcę polskich protestantów, Łukasza Górkę, który w ten sposób uzyskał prawo do majątku dziewczyny.

Halszka z matką schroniły się we lwowskim klasztorze Dominikanów, a pod jego murami pojawił się Górka. Sprawa była delikatna, klasztor był katolicki, Halszka wyznawała prawosławie, a Górka był kalwinem. Doszło jednak do oblężenia i pod ogniem napastników Halszka wyszła za mąż za księcia Siemiona Olelkowicza, twierdząc, że ślub z Górką był nieważny, gdyż odbył się bez jej zgody. Klasztor został jednak zdobyty, a Olelkowicz niebawem zmarł. Halszkę wywieziono do posiadłości Górki w Szamotułach, a gdy odmówiła współżycia z mężem, na wiele lat ją uwięziono. Podobny los spotkał jej matkę. Beata Kościelecka poślubiła Olbrachta Łaskiego, po czym też wylądowała w lochu, a mąż przejął jej majątek.

Po śmierci Górki Halszka odzyskała wolność, była już jednak tylko strzępem człowieka. Pogrążona w depresji zmarła w 1582 r., a Ostróg przeszedł w ręce jej stryja. Losy nieszczęsnej dziedziczki wielkiej fortuny stały się inspiracją dla pisarzy, malarzy i poetów, jak bowiem wiadomo, artyści najlepiej czerpią natchnienie z cudzego nieszczęścia. ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

Dziękujemy za poparcie dla polskiej kultury

Unia Europejska przyjęła przełomową **Dyrektywę o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym**. Dziękujemy politykom za poparcie udzielone całemu środowisku twórców i dziennikarzy. Jesteśmy pewni, że internet może stać się medium uczciwym wobec autorów i zarazem w pełni szanującym prawa użytkowników.

Rozumiemy polityków, którzy pod wpływem celowo rozpowszechnianych nieprawdziwych informacji zdecydowali się nie okazywać publicznie poparcia dla dyrektywy. Mamy nadzieję, że dzięki konsekwentnej polityce wzmacniania polskich i europejskich interesów nie będą musieli dłużej obawiać się nacisków ze strony technologicznych gigantów zza oceanu.

Ochrona twórców i dbanie o należne im wynagrodzenia są i pozostaną naszym priorytetem. Nie przestajemy korzystać z naszego stuletniego doświadczenia i z najlepszych tradycji ZAiKS-u. Wiemy, że dla kultury zawsze można zrobić więcej. Przyjmujemy to wyzwanie na nowy wiek.

Stowarzyszenie Autorów ZAiKS

ZAiKS
100 STOWARZYSZENIE AUTORÓW

eprasa.pl 4e0c707824

Grzegorz Kucharczyk

Wiadomo, że katedra Notre Dame w Paryżu zostanie odbudowana. Tylko czy wiemy, po co ma się na nowo podnieść we Francji?

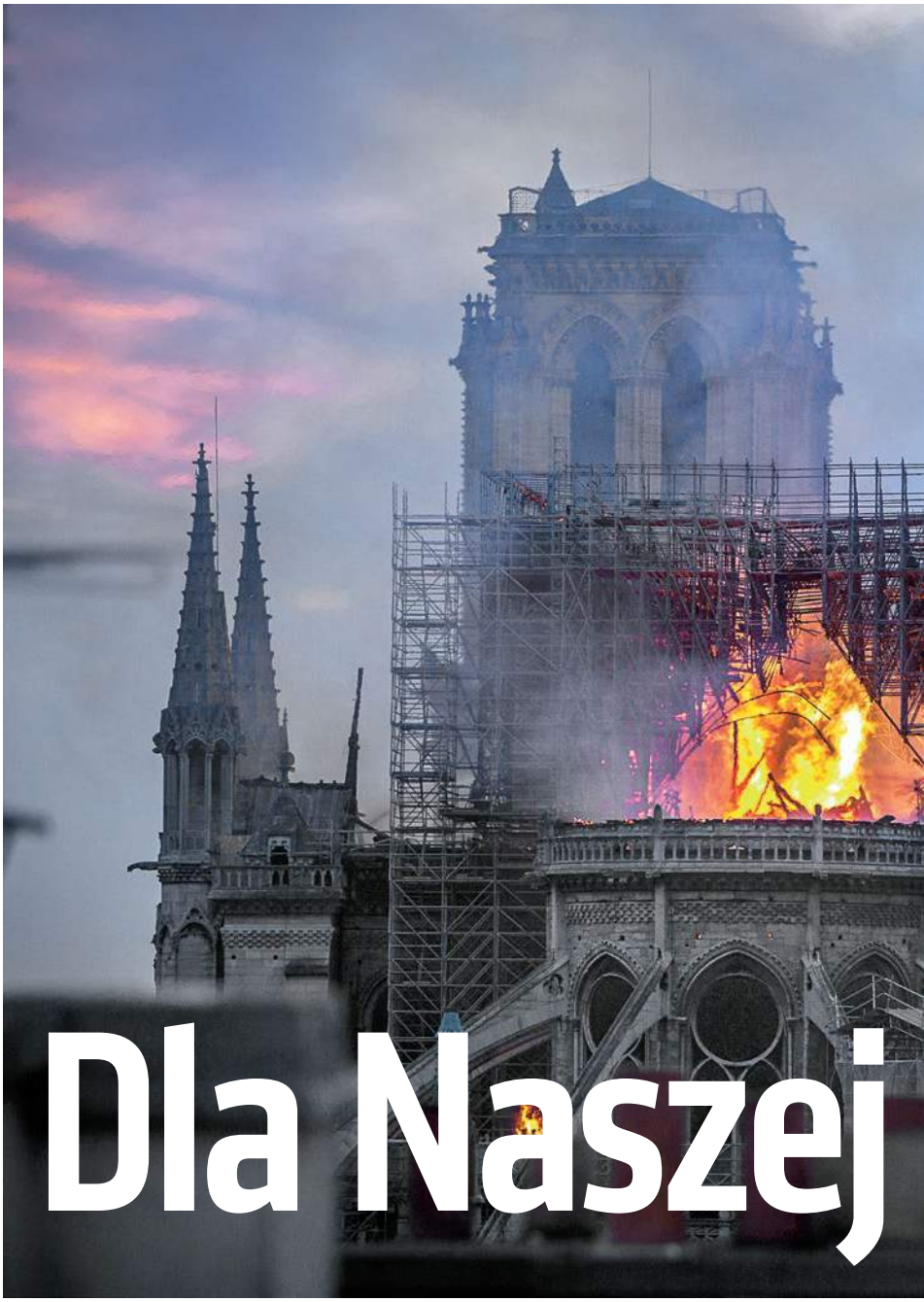

Dla Naszej

W wyobrażeniach ludzi „życzliwych" Kościołowi lub po prostu mało zorientowanych pokutuje opinia, że to Polacy „chorują na pobożność maryjną". Ci pierwsi traktują to jako dowód „zacofania" polskiego katolicyzmu. Ci drudzy jako zastanawiające curiosum. Tymczasem krajem, który przez całe stulecia pokrywał się siecią wspaniałych katedr dedykowanych Matce Bożej, była królewska Francja.

TAK WIERZYŁA FRANCJA

W XII i XIII w. monarchia Kapetyngów pokryła się białym płaszczem (wtedy te kamienie miały taki kolor) monumentalnych świątyń poświęconych Naszej Pani – Notre Dame. Wtedy powstały wspaniałe katedry, m.in. w Reims (koronacyjna katedra królów Francji), Chartres i Paryżu. Kamień węgielny pod paryską Notre Dame został położony w 1163 r. Uroczystościom jego poświęcenia przewodniczył papież Aleksander III, który znalazł schronienie we Francji w czasie konfliktu z cesarzem Fryderykiem Barbarossą.

Dwadzieścia sześć lat po tym wydarzeniu został konsekrowany główny ołtarz paryskiej katedry. W 1205 r. rozpoczęły się prace nad jej fasadą. Dwadzieścia lat później został ukończony wspaniały portal Najświętszej Maryi Panny. Zasadniczy zrąb prac zakończył się w 1245 r. O ich pełnym zakończeniu można było mówić jednak dopiero po upływie wieku.

Mury świątyni już stały, gdy trwała epoka wypraw krzyżowych. To z paryskiej Notre Dame wyruszył w 1270 r. na swoją ostatnią krucjatę (z której już nie miał powrócić żywy) święty król Ludwik IX. Budowa katedry zakończyła się zaś w momencie, gdy nad Europę nadciągał już straszliwy kataklizm „czarnej śmierci" (dżumy), który miał zdziesiątkować populację Starego Kontynentu. Potem przyszły dramatyczne dzieje wojny stuletniej, czasy św. Joanny d'Arc i odnowy francuskiego królestwa w drugiej połowie XV w.

Jak każda gotycka katedra również Notre Dame w Paryżu nie tylko była utrwalonym w kamieniu „splendorem nieba" (Z. Herbert), ale prawdziwą „Biblią dla ubogich" (Biblia pauperum). Wierni jeszcze przed wejściem w jej mury, patrząc na figury umieszczone naźfasadzie i w portalach wejściowych, zapoznawali się z historią świętą, począwszy od Starego Testamentu. W środku jej kolejne rozdziały opowiadały witraże i „mistyczne róże" (rozety). Tysiące ludzi wznosiło przez długie lata mury katedry i tysiące z niej duchowo korzystały. Nie trzeba było tłumaczyć Pisma Świętego na język francuski. Wszystko, co najważniejsze, utrwalone było w murach katedry Naszej Pani.

NAJAZD BARBARZYŃCÓW

Z racji swojego usytuowania w stolicy Francji paryska Notre Dame, obok swojej odpowiedniczki w Reims (miejscu królewskich sakr) i opactwa Saint-Denis (królewskiej nekropolii) należy do najważniejszych świątyń „pierworodnej córy Kościoła". Z tymi i innymi katolickimi świątyniami dzieliła dramatyczne losy

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. VERONIQUE DE VIGUERIE/GETTY IMAGES

Pani

związane z realizacją od 1789 r. rewolucyjnego projektu stworzenia „nowej Francji" i „nowych Francuzów". W obu przypadkach przymiotnik „nowa/nowi" oznaczał zdechrystianizowana/zdechrystianizowani. Zdechrystianizowane miało być wszystko – od edukacji do czasu (wprowadzono nowy kalendarz republikański likwidujący niedzielę i liczenie lat od narodzin Chrystusa). Zdechrystianizowana miała być także przestrzeń publiczna. To zaś oznaczało rozpętanie ideologicznie motywowanego wandalizmu. W imię rewolucyjnej triady wolności, równości i braterstwa rozpoczęło się „martyrologium katedr" (F. Souchal).

Po raz pierwszy iglica paryskiej Notre Dame runęła w czasie rewolucji francuskiej, bo jej wysokość raziła wrażliwe na równość wszystkich budynków w stolicy „nowej Francji" oczy republikańskich ideologów. W 1792 r. ta architektoniczna „niegodziwość" została na inaugurację „republikańskiej równości" usunięta. Nie mogło bowiem być tak – argumentowali barbarzyńcy we frygijkach – aby iglica budowli symbolizującej dla twórców „nowej Francji" „zabobon" miała górować nad innymi budowlami. W tym samym czasie za sprawą działań lokalnej sekcji jakobinów zrabowano skarbiec katedry, profanując przy tej okazji znajdujące się tam relikwie (m.in. św. Wincentego a Paulo) i naczynia liturgiczne. Na tym jednak nie zakończyło się „męczeństwo paryskiej Notre Dame" (F. Souchal).

SZNUR DLA KRÓLÓW

23 października 1793 r., w apogeum jakobińskiej akcji dechrystianizacyjnej (kult chrześcijański już został oficjalnie zakazany na obszarze całej Francji) władze Komuny Paryża – jak oficjalnie brzmiała nazwa rewolucyjnego magistratu – podjęły decyzję „mając na względzie swoją powinność usunięcia wszystkich pomników, które podtrzymywały przesądy religijne", o usunięciu i zniszczeniu w ciągu ośmiu dni wszystkich figur biblijnych królów Izraela i Judei z fasady Notre Dame.

Do wandalizmu podżegał parę miesięcy wcześniej jeden z najaktywniejszych wówczas wojujących bezbożników, Pierre-Gaspard Chaumette. W lipcu 1793 r. zapewniał na łamach rewolucyjnej prasy: „Z pewnością nie zapomnimy co najmniej skrócić o głowę wszystkich tych królów z kamienia, którymi przeładowany jest portal kościoła metropolitalnego". I nie zapomnieli. Dwadzieścia osiem figur starotestamentalnych królów umieszczonych na fasadzie katedry najpierw pozbawiono koron, a następnie za pomocą sznurów (nieprzypadkowo zakładanych na szyję) zwalono. Kierujący pracami przedsiębiorca murarski niejaki Varin łączył rewolucyjny szczery sentyment z równie niekłamaną zapobiegliwością. Za dewastację kazał sobie słono zapłacić, a pozyskany na skutek wandalizmu materiał budowalny wykorzystał na innych placach budowy.

W 1793 r. paryska Notre Dame została oficjalnie ogłoszona „świątynią Rozumu". W ten sposób jej losy doskonale potwierdzały trafność tezy Chestertona, że „ludzie dzielą się na tych, którzy wychwalają rozum, i tych, którzy go używają". Twórcy „kultu Rozumu" kontynuowali bowiem swój wandalizm, niszcząc niemal całą dekorację rzeźbiarską fasady paryskiej katedry. Podobny wandalizm dotknął wnętrze świątyni, gdzie bezwzględnie usuwano wszystkie „obiekty zabobonu" (czytaj: wielowiekowe przedmioty sztuki sakralnej), w tym ołtarze.

10 listopada 1793 r. urządzono w paryskiej Notre Dame błazenadę

eprasa.pl 4e0c707824

(P. Gaxotte) pod nazwą „wprowadzenie kultu Rozumu". Tam, gdzie był główny ołtarz, ustawiono tekturową imitację góry, na której szczycie było coś na podobieństwo greckiej świątyni. W kulminacyjnym momencie ceremonii wyszła z niej artystka operowa (niektóre źródła mówią o prostytutce) przebrana w tiule, która miała symbolizować… Rozum.

Ostateczne zakończenie dechrystianizacyjnych ekscesów nastąpiło wraz z przejęciem władzy przez gen. Napoleona Bonapartego w 1799 r. Zawarty przez Pierwszego Konsula w 1801 r. konkordat z Rzymem gwarantował swobodę kultu katolickiego. To m.in. oznaczało zwrot paryskiej Notre Dame Kościołowi.

W XII w. uroczystościom położenia pod nią kamienia węgielnego przewodniczył biskup Rzymu. Po niemal 650 latach następca św. Piotra ponownie przybył do katedry, by 2 grudnia 1804 r. odprawić tam mszę świętą z okazji koronacji Napoleona Bonapartego na cesarza Francuzów. Trudno mówić, by Pius VII dokonał koronacji, skoro koronę na swoje skronie włożył sam Napoleon.

laicyzacyjnej bezwzględnie wdrażanej przez kolejne rządy III Republiki. Jej kulminacją była uchwalona w 1905 r. ustawa o tzw. rozdziale Kościoła od państwa. Bezpośrednią konsekwencją wejścia w życie zadekretowanego w ten sposób „rozdziału" była dokonywana w ciągu kolejnych paru lat tzw. inwentaryzacja majątku kościelnego.

Obowiązująca do dzisiaj ustawa z 1905 r. uznawana przez kolejnych włodarzy Republiki za „fundament wartości republikańskich" przesądzała m.in. o konfiskacie przez państwo wszystkich budynków kościelnych – od małych, wiejskich kościółków do wielkich katedr. Odtąd to laickie państwo jest w świetle tego aktu prawnego właścicielem wszystkich kościołów we Francji, których użycza „stowarzyszeniom religijnym" dla celów kultu. Nowy właściciel (państwo) chciało więc na początku określić wielkość przejmowanego „majątku". Stąd pomysł tzw. inwentaryzacji, przy czym inwentaryzować miano wszystko, co było wewnątrz świątyni. W tym zawartość tabernakulów. W latach 1906–1907 patrole policji, a nawet wojska w ten sposób „inwentaryzowały" wszystkie francuskie kościoły, przedzierając się (przy rozlewie krwi) przez żywe mury formowane przez wiernych wokół swoich świątyń. Nie inaczej było w przypadku paryskiej Notre Dame.

Od 1905 r. to laickie państwo jest właścicielem wszystkich kościołów we Francji, których użycza „stowarzyszeniom religijnym" dla celów kultu

OD „WANDALIZMU" DO „INWENTARYZACJI"

Na przybycie kolejnego papieża paryska Notre Dame czekała ponad półtora wieku. Do czasu pierwszej pielgrzymki do Francji św. Jana Pawła II w 1980 r. To wtedy 31 maja 1980 r. w murach swojej monumentalnej katedry Francuzi usłyszeli z ust polskiego papieża, że „Chrystus jest kamieniem węgielnym także Francji", że jej duchowe oblicze ciągle określa odpowiedź na pytanie zadane przez Zbawiciela Piotrowi: „Czy miłujesz mnie?". Po paru dniach w czasie mszy świętej na lotnisku Le Bourget Jan Paweł II zadał „najstarszej córze Kościoła" swoje pytanie: „Francjo, czy pozostałaś wierna swoim przyrzeczeniom chrzcielnym?".

Historia paryskiej katedry kryje w pewnym sensie odpowiedź na to pytanie. O zniszczeniach rewolucji francuskiej była już mowa. Po 1871 r. Notre Dame doświadczyła również skutków polityki

CZAS PŁONĄCYCH KATEDR

Taki był koniec „długiego" XIX w. we Francji, który zaczął się profanacjami z czasów rewolucji francuskiej, a znalazł puentę w skandalicznych „inwentaryzacjach". Wiek XX zaczął się dla Francuzów, jak i dla całego Starego Kontynentu, wybuchem w 1914 r. „sierpniowych salw" zwiastujących „samobójstwo cywilizowanej Europy" (papież Benedykt XV). Jego widomym wyrazem było zbombardowanie we wrześniu 1914 r. przez armię niemiecką katedry Notre Dame w Reims. Do Paryża niemiecki Kulturvolk nie doszedł. Jednak widok płonącej koronacyjnej katedry królów Francji był wstrząsający dla całego cywilizowanego świata. Tydzień temu widzieliśmy jakby powtórkę wydarzeń sprzed stu lat (także w Reims spalił się dach świątyni).

JAK UNIKNĄĆ SAMOBÓJSTWA?

Renowacja zbombardowanej przez Niemców katedry w Reims zakończyła się właściwie w 1996 r. Ostatnie prace trwały jeszcze na krótko przed przybyciem Jana Pawła II do Francji z okazji 1500-lecia chrztu Chlodwiga.

Nie wiemy, ile potrwa odbudowa paryskiej Notre Dame. Może nie będzie to 80 lat, tak jak w przypadku Reims. Nie wiemy, czy w centrum Paryża znowu wzniesie się dębowy las (materiał, z którego wykonana została oryginalna więźba dachowa katedry), czy wzorem z Reims będzie to beton. O symbolice dramatycznego wieczoru 15 kwietnia 2019 r. napisano już chyba wszystko. Waląca się iglica i powstały na skutek pożaru purpurowy krzyż w centrum Paryża widoczny z policyjnych dronów – to sceny równie wstrząsające jak grom uderzający w bazylikę św. Piotra w Rzymie w dniu odłożenia kluczy przez Benedykta XVI.

Nie ma przypadków, są tylko znaki. Także tę niosące otuchę – jak świetlisty krzyż nad prezbiterium, który przetrwał pożar i strumienie tysięcy ton wody lanych przez strażaków, jak widok młodych Francuzów modlących się na różańcu w centrum swojej stolicy o ocalenie katedry.

Paryska Notre Dame zostanie z pewnością odbudowana. Już teraz widać, że pieniądze nie będą problemem. Rzecz zasadnicza to duch, który będzie towarzyszyć długiej odbudowie (pięć lat prezydenta Macrona można włożyć między bajki). Po co ta katedra ma się na nowo podnieść? Czy tylko po to, aby uzupełnić architektoniczny krajobraz francuskiej stolicy i zapewnić dostępność turystycznej atrakcji milionom przybyszów z całego świata? Czy będzie to duch nowych świętych Ludwików czy raczej nowych Chaumette'ów i Robespierre'ów, oddanych kultowi Rozumu i nowych wcieleń Najwyższej Istoty („dialog międzykulturowy", „tolerancja dla ludzi LGBT" etc.)? Opatrzność dała nie tylko Francuzom, bo przecież w jakimś sensie to także nasza katedra, czas na odpowiedź na te pytania. Być może to jedna z ostatnich szans, by uniknąć samobójstwa ucywilizowanej przez chrześcijaństwo Europy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. ADOBE STOCK

Z centrum w lewo

Olivier Bault

Europejskie partie, które jeszcze nie tak dawno mogliśmy uznać za centroprawicę, po przesunięciu w lewo występują przeciw „prawicowym populistom"

W marcu w Europejskiej Partii Ludowej (EPL) przegłosowano kompromis w sprawie członkostwa węgierskiego Fideszu. Większością 190 do 3 głosów posłowie EPL postanowili zawiesić członkostwo partii Viktora Orbána w grupie do momentu rozstrzygnięcia przez specjalnie powołaną trzyosobową komisję pod kierownictwem byłego przewodniczącego Rady Europejskiej, Belga Hermana Van Rompuya, kwestii, czy rządy prawa są na Węgrzech przestrzegane, czy też nie. Fidesz powołał własną trzyosobową komisję, która ma dostarczać pierwszej komisji informacji odmiennych od tych serwowanych przez główne media zachodnie, w przytłaczającej większości o profilu liberalno-lewicowym, a z których większość europosłów ze starej Unii czerpie swoją wiedzę o krajach Europy Wschodniej.

Wcześniej 13 partii członkowskich zażądało wykluczenia węgierskich kolegów z grupy europejskich „chadeków". Były to głównie partie z krajów skandynawskich i Beneluksu, które z chadecją nie mają wiele wspólnego. Na początku marca w tekście pt. „Nowego przymierza!" (tekst przetłumaczony na polski na stronie Kurier.plus przez Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka) największy konserwatywny dziennik węgierski „Magyar Nemzet" nawoływał Fidesz, aby sam opuścił szeregi EPL w Parlamencie Europejskim, gdyż – jak twierdził autor tego tekstu – partia ta nie ma już wiele wspólnego z EPL z czasów Helmuta Kohla, a dziś trudno nawet odróżnić ją od grupy liberałów czy socjalistów.

CHRZEŚCIJAŃSCY TYLKO Z NAZWY

Ostatecznie kompromis zawarty z EPL pozwolił Orbánowi utrzymywać, że to Fidesz zawiesił swoje członkostwo, ale że nadal wspiera kandydaturę Niemca Manfreda Webera z EPL na stanowisko szefa Komisji Europejskiej. Ostrzegł jednak, że najważniejsze cele, które stawia sobie Fidesz w Parlamencie Europejskim, to obrona wartości chrześcijańskich i zatrzymanie masowej imigracji do Europy. Według Orbána to właśnie te postulaty, a nie plakaty wywieszane na Węgrzech, które przedstawiają roześmianego przewodniczącego KE Jeana-Claude'a Junckera w towarzystwie George'a Sorosa, są przyczyną próśb o wykluczenie posłów Fideszu z grupy EPL. Po zawieszeniu członkostwa Fideszu w EPL zarówno Orbán, jak i wiceszefowa Fideszu Katalin Novak zapowiedzieli, że Fidesz mimo wszystko opuści szeregi EPL, jeśli grupa ta nadal będzie ideowo ewoluowała i przesuwała się coraz bardziej w lewo.

O Europejskiej Partii Ludowej w takich oto słowach mówił były wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej i były wiceprzewodniczący EPL Jacek Saryusz-Wolski (dziś członek frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów oraz numer 1 na warszawskiej liście PiS do PE) w rozmowie z listopada ub.r. z autorem niniejszego tekstu dla portali Visegrád Post i DoRzeczy.pl: „Formacja ta została zdominowana i pozostaje pod wpływem ludzi, którzy powinni iść razem z Macronem, których miejsce jest wśród liberałów Verhofstadta, a nie wśród chrześcijańskich demokratów. Bardzo dobrze pamiętam, kiedy ewolucja ta zaczęła się w EPL. Byłem przy tym, gdy

eprasa.pl 4e0c707824

w pewnym momencie postanowiono wykreślić termin »chrześcijańska demokracja« z naszych dokumentów. To ci ludzie się zmienili, a nie ja".

W podobnym tonie Saryusz-Wolski mówił podczas tej rozmowy o Platformie Obywatelskiej, która była przecież kiedyś uważana za partię chadecką i liberalno-konserwatywną, a dziś staje do wyborów razem z lewicą i stara się realizować postulaty lobby LGBT w rządzonych przez siebie metropoliach: „Gdy wstępowałem do Platformy Obywatelskiej, była to partia zupełnie inna niż dzisiaj. Była to partia Jana Rokity, Macieja Płażyńskiego i innych, o mocnym zabarwieniu konserwatywnym i chrześcijańsko-demokratycznym. Natomiast wszyscy ci prawicowi konserwatyści zostali z partii wyparci przez liberałów pana Tuska. W pewnym momencie do partii zapraszani byli nawet postkomuniści. Była to zatem partia o korzeniach centroprawicowych, która dziś stała się partią centrolewicową".

Dryfując w lewo, Platforma Obywatelska idzie za przykładem innych partii centroprawicowych w Europie, które wcześniej przestały być de facto partiami chadeckimi lub po prostu konserwatywnymi. Chociaż Unia Chrześcijańsko-Demokratyczna Niemiec (CDU) nadal ma przymiotnik „chrześcijańska" w nazwie, to pod przywództwem Angeli Merkel, która piastuje stanowisko kanclerza nieprzerwanie od 2005 r., dawno przestała być formacją chrześcijańską. W obliczu nowych ustaw przeciwko „mowie nienawiści" i nagonki na „populistyczną" partię Alternatywa dla Niemiec (AfD) niektórzy zastanawiają się, czy ugrupowanie Merkel to jeszcze partia demokratyczna. Zwieńczeniem ewolucji CDU w lewą stronę było dobrowolne wpuszczenie do Niemiec ponad miliona nielegalnych imigrantów z Bliskiego Wschodu w 2015 r. oraz legalizacja „homomałżeństw" z inicjatywy Angeli Merkel w 2017 r. tuż przed ostatnimi wyborami do Bundestagu. To i tak nie pomogło, gdyż koalicja CDU-CSU uzyskała wówczas swój najgorszy wyborczy wynik w historii.

WIELKA PRÓŻNIA

Kiedy w 2017 r. odbyła się w Parlamencie Europejskim oficjalna, międzynarodowa ceremonia pożegnania Helmuta Kohla, na której uroczyste przemowy wygłosili Angela Merkel, Emmanuel Macron i Bill Clinton, ale nie Viktor Orbán, wdowa po kanclerzu z ramienia CDU, który rządził w latach 1982–1998 i doprowadził do zjednoczenia Niemiec, ubolewała nad tym i twierdziła, że przemowa węgierskiego premiera byłaby bardziej zgodna z wolą jej zmarłego męża. Kohl i Orbán byli bowiem zaprzyjaźnieni i mieli podobne poglądy na tematy europejskie, zwłaszcza w dziedzinie imigracji. Podobnie jak kanclerz Viktor Orbán ostrzegał – na konferencji z okazji 85. urodzin Helmuta Kohla – iż „masowa imigracja może zmienić oblicze cywilizacji europejskiej" i że „nie ma powrotu z Europy multikulturowej do Europy chrześcijańskiej i do kultur narodowych". Helmut Kohl pisał w 2016 r., we wstępie do węgierskiego wydania swojej książki „Z troski o Europę", że religia nowych przybyszy stanowi zagrożenie dla naszej cywilizacji judeochrześcijańskiej. Poza tym były kanclerz Niemiec kilka razy publicznie poparł politykę prowadzoną przez Fidesz na Węgrzech i skrytykował politykę migracyjną Angeli Merkel. Dzisiaj praktykujący katolik Helmut Kohl, gdyby jeszcze żył i chciałby napisać to samo w mediach społecznościowych, zostałby najprawdopodobniej ocenzurowany na mocy ustaw o walce z tzw. mową nienawiści, wprowadzonych przez koalicję CDU-CSU i socjaldemokratów z SPD.

Zatem w dzisiejszych Niemczech „populistyczna" AfD wypełnia tak naprawdę wielką próżnię pozostawioną przez CDU-CSU po swojej prawej stronie. To, że centroprawica staje się lewicowa, nie oznacza bowiem, iż nie ma już wyborców o poglądach prawicowych. Podobny fenomen zauważalny jest w innych krajach: wzrost znaczenia Ligi we Włoszech, silna pozycja FPÖ w Austrii – co zmusiło centroprawicę do zmiany dyskursu i powrotu do bardziej prawicowej retoryki, pojawienie się w Hiszpanii nowej partii „populistycznej" Vox po transformacji Partii Ludowej (PP) z partii liberalno-konserwatywnej na liberalno-lewicową pod przywództwem byłego premiera Mariano Rajoya itd.

Poza CDU innym dużym graczem w Europejskiej Partii Ludowej są tradycyjnie francuscy Republikanie, choć jeśli wierzyć sondażom, mogą mieć oni po majowych wyborach do europarlamentu mniej posłów niż Fidesz, pomimo że Francja będzie miała w PE po brexicie 79 europosłów, a Węgry tylko 21. Charakterystyką francuskiej centroprawicy, do której przywykli już wyborcy znad Sekwany, jest to, że mówi prawicowym głosem przed kolejnymi wyborami, a gdy wygrywa wybory, konsoliduje zmiany wprowadzone wcześniej przez lewicę. Tak było z kolejnymi ustawami ograniczającymi wolność słowa w imieniu walki z mową nienawiści, tak było też ze związkami partnerskimi dla homoseksualistów i będzie tak również z „homomałżeństwami", skoro nawet rzekomo bardzo prawicowy Laurent Wauquiez, obecny szef partii Les Républicains (LR), zmienił zdanie i nie zamierza już cofnąć ustawy, która ustanowiła „homomałżeństwa" i dała parom jednopłciowym możliwość adopcji dzieci. Jeśli obecna większość parlamentarna zalegalizuje in vitro dla lesbijek i możliwość korzystania z usług surogatek dla gejów, wielu francuskich wyborców o prawicowych poglądach byłoby pewnie gotowych założyć się, że po powrocie do władzy centroprawica tej kolejnej rewolucji obyczajowej lewicy nie cofnie, choć się jej teraz przeciwstawia. Stąd też bardzo słabe wyniki partii LR w sondażach przed eurowyborami i dużo lepsze notowania Zjednoczenia Narodowego (RN) Marine Le Pen, które na tle innych partii francuskich wydaje się jedyną liczącą się prawicową, względnie konserwatywną i prorodzinną formacją.

KORDON SANITARNY

Na początku lat 90. centrysta Alain Juppé był sekretarzem generalnym RPR, tj. partii gaullistowskiej, która razem z centrową UDF stworzyła w 2002 r. wielką formację centroprawicową UMP, funkcjonującą dzisiaj pod nazwą Republikanie. Obecnie Alain Juppé jest zwolennikiem otwartych granic i wdrożenia postulatów lobby LGBT. Na początku lat 90. o żadnej legalizacji związków jednopłciowych się nie debatowało, a co się tyczy imigracji, jego partia mówiła o braku kompatybilności między islamem a prawem francuskim i szła do wyborów z propozycją zamykania granic, zatrzymania wszelkiej imigracji, wykluczenia obcokrajowców z niektórych świadczeń socjalnych. Po wygraniu wyborów centroprawica zapomniała o swoich obietnicach, a podczas kampanii wyborczej z 2017 r. w rozmowie z dziennikarzami, którzy przypominali mu program wyborczy RPR z 1990 r., Alain Juppé za niego przeprosił i stwierdził, że „z perspektywy czasu" był to błąd. Dzisiaj podobne propozycje jak centroprawica w 1990 r. wysuwa partia Marine Le Pen, wokół której – podobnie jak wokół AfD w Niemczech – lewicująca centroprawica rozciąga wespół z lewicą coś w rodzaju kordonu sanitarnego. Jak widać, brzydzi się tym, czym sama była jeszcze dwie, trzy dekady temu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

Marzenia wpływowego spikera

FOT. EAST NEWS

Teresa Stylińska

W obliczu brexitu przewodniczący niższej izby parlamentu brytyjskiego wydaje się bardziej oportunistą niż rewolucjonistą

Podczas obrad parlamentu występuje w kolorowej koszuli i we wzorzystym, jaskrawym krawacie. Tylko toga niedbale narzucona na ramiona plus okazały fotel w centralnym miejscu u szczytu sali świadczą, że człowiek, który w ostatnich miesiącach stale gości na ekranach telewizorów, nie jest szeregowym posłem, jednym z wielu. To John Bercow – spiker, czyli marszałek czy przewodniczący Izby Gmin, jeden z najbardziej wpływowych ludzi na Wyspach Brytyjskich. Zwłaszcza teraz, gdy waży się przyszłość brexitu.

Już dwoje poprzedników Bercowa – Betty Boothrod i Michael Martin – rozluźniło zasady, a on sam skończył z parlamentarnym dress code'em na dobre. Dzisiaj deputowany może zabrać głos, nawet jeśli jest bez krawata – wcześniej to było niemożliwe – a parlamentarny clerk, czyli urzędnik-doradca, nie musi nosić peruki. Takie drobne, ale jak na Wielką Brytanię rewolucyjne zmiany wystarczyłyby, by Bercow zapewnił sobie miejsce w dziejach brytyjskiego parlamentaryzmu. Jednak jeśli mówi się, że jest on jednym z najbardziej znaczących spikerów w historii, to dlatego, że wyraźnie stara się umacniać parlament w stosunku do rządu. W dużej, a może nawet decydującej mierze wynika to z okoliczności: trudnej i pokrętnej drogi do brexitu, którego Bercow nie chce.

Spiker Izby Gmin – który nie tylko prowadzi obrady, lecz także nadzoruje administrację parlamentarną – ma wielkie uprawnienia. Decyduje, jak każdy szef parlamentu, komu udzieli głosu, ale ma prawo przerywać wystąpienia nie tylko deputowanym, lecz także ministrom i nawet samemu premierowi. Pilnuje porządku. Donośny głos i słowa: „Order, order!" („Spokój, spokój!"), którymi dyscyplinuje uczestników obrad, stały się jego znakiem firmowym.

Dokładnie w taki sam sposób zaprowadzali spokój wszyscy jego poprzednicy, ale to Bercow z tego zawołania uczynił niemalże ceremonię. Złośliwcy i przeciwnicy, a jest ich niemało, utrzymują, że delektuje się brzmieniem swego głosu.

NA RĘKĘ ZWYKŁYM POSŁOM

Pod rządami Johna Bercowa znacznie większe pole do działania w parlamencie mają tzw. backbencherzy, czyli zwykli deputowani zasiadający w tylnych ławach, za członkami rządu i opozycyjnego gabinetu cieni, którzy zajmują ławy pośrodku sali, tzw. frontowe. Spiker daje backbencherom dużo czasu na wystąpienia i bardzo dba o to, by każdy, kto chce, mógł się wypowiedzieć i żądać wyjaśnień od premiera czy członków jego gabinetu. Bercow przez trzy godziny trzymał na mównicy premier Theresę May, pilnując, by wszyscy zainteresowani mogli zadać jej pytanie i uzyskać satysfakcjonującą odpowiedź.

Najważniejszą z prerogatyw spikera jest jednak podejmowanie decyzji, które wnioski czy wnoszone poprawki zostaną poddane pod głosowanie. Toczone od wielu miesięcy boje brexitowe dają mu pod tym względem doskonałe pole do popisu. Wielu zaszokowała decyzja, by nie dopuścić do trzeciego głosowania nad umową brexitową wynegocjowaną przez rząd. Bercow w tej sprawie posłużył się argumentem opartym na precedensowej decyzji z 1604 r., według której „rządy nie mogą zadawać parlamentowi wciąż tego samego pytania, w nadziei, że zmuszą deputowanych, by zrobili to, czego rząd sobie życzy". Skoro zatem umowa już dwa razy została odrzucona, to trzecie głosowanie, według spikera, miałoby sens tylko wówczas, gdyby do jej treści wprowadzono „istotne zmiany".

Od Bercowa zależy, czy w ogóle może dojść do przeprowadzenia drugiego referendum brexitowego, bo to on zdecyduje, czy ewentualny wniosek w tej sprawie będzie przedmiotem głosowania. W obozie brexitowców budzi to zrozumiały niepokój – bo dobrze wiadomo, że Bercow jest zdecydowanym zwolennikiem pozostania w Unii Europejskiej. On sam wcale się z tym nie kryje, choć wie, że w ten sposób jawnie sprzeniewierza się zasadom obowiązującym spikera.

ŻENUJĄCA NAKLEJKA

Te i inne posunięcia Bercowa zwolenników brexitu doprowadzają do białej gorączki, zapewniają mu natomiast uznanie i poparcie tych, którzy albo brexit całkowicie odrzucają, albo opowiadają się za jak najłagodniejszą wersją rozstania z UE. To skądinąd dobrze ilustruje kontekst,

eprasa.pl 4e0c707824

w jakim funkcjonuje spiker: między dwiema głównymi partiami. Szef parlamentu zwyczajowo rezygnuje z członkostwa w partii, do której należał, bo ma obowiązek zachowywać bezstronność, ale przypadek Bercowa jest bardziej skomplikowany. Chociaż uzyskał mandat z ramienia Partii Konserwatywnej (w 1997 r.), nie uchodził za konserwatystę z prawdziwego zdarzenia. Od dawna uważano, że blisko jest mu do Partii Pracy. Popierał między innymi prawa gejowskie – choć, gwoli prawdy, należy pamiętać, że podobne podejście cechowało część jego kolegów partyjnych, poczynając od Davida Camerona, za którego rządów przyjęto ustawę o homomałżeństwach. Gdy w 2009 r. Bercow został spikerem, uzyskał wybór dzięki labourzystom. Swego kolegi partyjnego nie poparła zdecydowana większość konserwatystów.

Wielu konserwatystów zresztą nie tylko nie podziela poglądów Bercowa, ale po prostu go nie znosi. Uważają go za zarozumialca, który bez skrupułów posługuje się władzą w parlamencie, by forsować rozwiązania zgodne ze swymi przekonaniami. Zarzut stronniczości jest bardzo poważny, ale Bercow – wszystko na to wskazuje – nic sobie z tego nie robi.

Bezstronność spikera nie sprowadza się jedynie do natychmiastowego wystąpienia z partii. Spiker przede wszystkim nie bierze udziału w głosowaniach i nie powinien publicznie dawać wyrazu swym poglądom. Pod tym względem jest poniekąd jak członkowie rodziny królewskiej, za którymi zresztą, według zasad precedencji, stoi bezpośrednio w hierarchii ważności. Tymczasem Bercow za nic ma wymóg wstrzemięźliwości w prezentowaniu poglądów. Nie kryje przede wszystkim, że jest przeciwny brexitowi. Rok po referendum na spotkaniu ze studentami uniwersytetu w Reading ujawnił, choć nie powinien, że głosował za pozostaniem w Unii.

Prawdziwe oburzenie wywołała sprawa karygodnej, także z uwagi na wulgarną formę, naklejki, którą zauważono na szybie jego samochodu: „Pie...ić brexit, nic nie jest przesądzone" (to oględne tłumaczenie, oryginalna wersja jest znacznie ostrzejsza). Bercow, indagowany w tej sprawie w parlamencie, nie tylko się nie stropił, ale z właściwym sobie luzem wyjaśnił, że auto stanowi własność jego żony, a żona nie jest własnością męża. Chyba nie chcecie, panowie, sugerować czegoś przeciwnego? – pytał, z uśmiechem wodząc wzrokiem po audytorium i zapewniając, że w tej sprawie nic nie może zrobić.

CZAS RESETU

Stronniczość to zarzut merytorycznie najpoważniejszy, ale nie jedyny. Zaprezentowany parę miesięcy temu raport podsumowujący doniesienia o złym traktowaniu pracowników parlamentu nie obciąża Bercowa bezpośrednio, ale zarzuca mu tolerowanie niewłaściwych zachowań. Jego były osobisty sekretarz i inni współpracownicy opowiadają w mediach, że krzyczał na ludzi, wyzywał ich, straszył i przeklinał, praca z nim była więc okropna.

Bercow temu zaprzecza. Nie może jednak się wyprzeć obraźliwych słów, jakie w debacie, ale także poza nią, potrafi kierować do tych osób publicznych, które mu się naraziły. Andreę Leadsom, minister ds. stosunków z parlamentem, nazwał kiedyś „głupią babą". Donaldowi Trumpowi zarzuca „rasizm i seksizm". Dlatego sprzeciwia się zaproszeniu prezydenta USA do wystąpienia w Izbie Gmin, jeśli dojdzie w końcu do jego wizyty w Wielkiej Brytanii. W tej kwestii spiker ma pełne poparcie Jeremy'ego Corbyna, lidera labourzystów, co tylko umacnia wspomniane przeświadczenie, że Bercow to quasi-labourzysta.

Wszystko to, w połączeniu z jego podejściem do brexitu, może mieć dla Bercowa tyleż nieoczekiwane, co nieprzyjemne skutki. Tradycja nakazuje, by po zakończeniu urzędowania spiker Izby Gmin nie wracał do roli deputowanego. Zostaje więc podniesiony do godności para i otrzymuje miejsce w Izbie Lordów. Nie dzieje się to jednak automatycznie, lecz na wniosek rządu. Tymczasem już od paru miesięcy krążą spekulacje, że rząd o godność para dla Bercowa nie wystąpi. To może być jedną z przyczyn, dla których Bercow ociąga się z wypełnieniem obietnicy, że latem tego roku ustąpi z urzędu. Już jednej takiej obietnicy nie dotrzymał. Gdy obejmował swą funkcję, deklarował, że spikerem będzie tylko przez dziewięć lat – a wyznaczony termin upłynął już w czerwcu ubiegłego roku. Według jednego z dobrze zorientowanych deputowanych Bercow doszedł do wniosku, że wybory parlamentarne z 2017 r. może traktować jako „moment resetu": zegar został nastawiony na nowo i dawne obietnice straciły ważność.

Innym wyjaśnieniem jest, że Bercow chce pozostać na stanowisku, by nie wypuścić z ręki biegu brexitu. W końcu, jak mówi tekst na samochodowej naklejce, „nic nie jest przesądzone".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

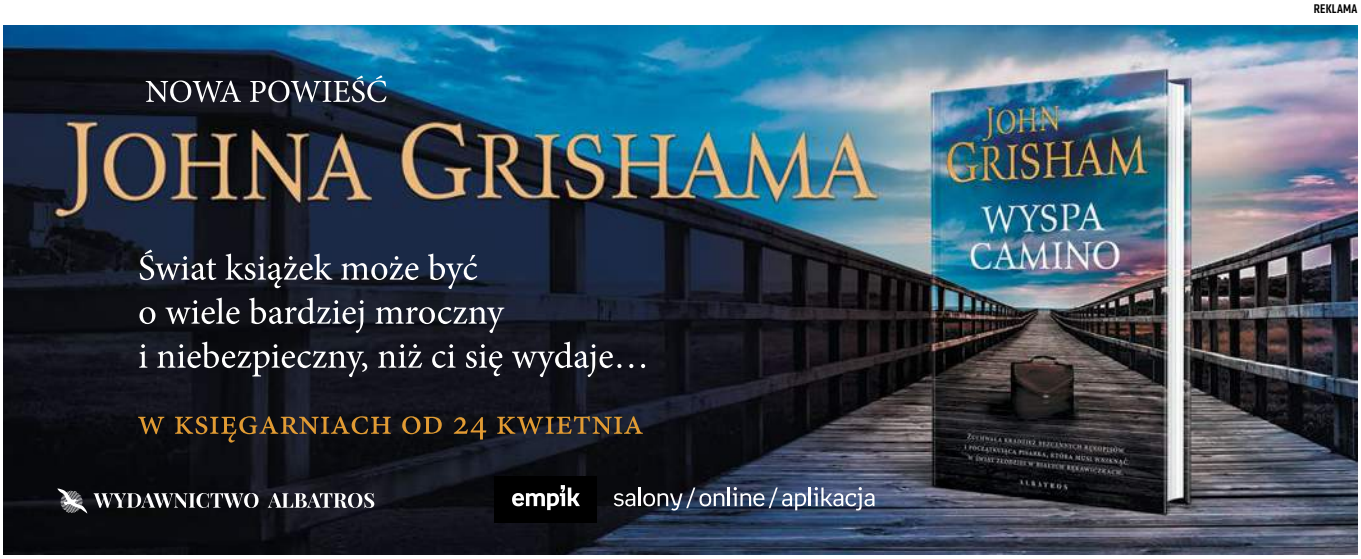

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. YOUTUBE

WSZYSCY MĘŻCZYŹNI TO GWAŁCICIELE

Szwedzka posłanka Partii Lewicy wygłosiła zaskakujące przemówienie, które opublikowano w Internecie. – Gdy patrzymy na was, nie możemy powiedzieć, czy jesteście gwałcicielami czy nie, więc musimy założyć, że wszyscy mężczyźni to gwałciciele – stwierdziła Linda Snecker. Uznała, że to problem „strukturalny", więc wszyscy mężczyźni muszą wziąć zbiorową odpowiedzialność.

NOTRE DAME OCENZUROWANA

Wielkie koncerny od jakiegoś czasu chcą budować nowy, lepszy świat. Dlatego wdrażają algorytmy, które mają wyłapywać dezinformację w mediach społecznościowych. Jak to działa, przekonać można się było, gdy zapaliła się paryska katedra. Oprogramowanie YouTube błędnie rozpoznawało filmy z palącej się Notre Dame i oznaczało jako „dezinformację". Widzów przekierowywano do nagrań związanych z atakami terrorystycznymi w USA z 11 września 2001 r.

STALIN UKOCHANY

Centrum Lewady przeprowadziło sondaż, z którego wynika, że aż 70 proc. Rosjan pozytywnie ocenia rolę Józefa Stalina. To najwyższe poparcie dla sowieckiego dyktatora od początku przeprowadzania sondaży Centrum. Od 2006 r. notowano poparcie dla Stalina na poziomie 39–49 proc. ankietowanych. W tegorocznym sondażu zwiększył się też odsetek Rosjan, którzy stalinowskie represje uważają za częściowo lub nawet całkowicie uzasadnione. Obecnie myśli tak w sumie 46 proc. badanych.

POSZERZAŁ WIEDZĘ O ECSTASY

Japoński profesor Tatsuonori Iwamura ma kłopoty. Może trafić do więzienia nawet na 10 lat. Ktoś doniósł, że na swoich zajęciach uczył studentów, jak sporządzić MDMA – czyli narkotyk zwany esctasy. W ten niecodzienny sposób chciał „poszerzać ich wiedzę o farmaceutykach". Według nieoficjalnych informacji prof. Iwamura miał specjalne zezwolenie od regionalnych władz na wytwarzanie nielegalnych substancji do celów naukowych, ale ono wygasło.

JOGA TO KURS ZAWODOWY

Sąd pracy w Berlinie sprawdzał, czy pracownik ma prawo do płatnego urlopu, jeśli w tym czasie zamierza uczęszczać na zajęcia „Joga I – szczęśliwa i zrelaksowana w pracy z jogą i medytacją". Uznał, że taki kurs spełnia kryteria rozwoju zawodowego. Na miejscu przedsiębiorców w Berlinie ogłaszalibyśmy już kursy typu „Wędkarstwo I – szczęśliwy i zrelaksowany w pracy z wędką", „Sommelier I – szczęśliwy i zrelaksowany w pracy z alkoholem". ©℗

Łukasz Zboralski

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

O niecywilizowanych

Bardzo przeze mnie ceniony Klub Jagielloński zapoczątkował jakiś czas temu projekt „Spięcie", w ramach którego różne środowiska – od lewej do prawej – wypowiadają się na określony temat. Artykuły z serii „Spięcie" publikowane są przez wszystkich uczestników debaty.

Projekt ma na celu wychodzenie z baniek, w których odbywa się dzisiaj większość publicznej debaty. To bardzo zacna i potrzebna inicjatywa. Są jednak momenty, w których trzeba zadać sobie pytanie o ekonomię dyskusji. Inaczej mówiąc – czy naprawdę warto rozmawiać z każdym.

W „Spięciu" bierze udział lewicowa „Krytyka Polityczna". Jeszcze w trakcie pożaru katedry Notre Dame jeden z jej najbardziej rozpoznawalnych publicystów – którego nazwiska nie wymieniam, bo tego typu indywiduów nie warto reklamować – cytował wiersz ze słowami:

„Nie gaście gówna". Dwa dni po pożarze inny publicysta „KryPola" – w przeciwieństwie do pierwszego uznawany za poważnego i zapraszany do różnych programów publicystycznych – stworzył tekst, w którym zwracał się do prawicy słowami: „Czy was poje… ło?". Krytykował w ten sposób doszukiwanie się w paryskiej tragedii symbolicznych odniesień.

Oba te komentarze są całkiem po prostu spoza obrębu naszej kultury – w szerokim sensie. Chamskie, prostackie, głupie. Czy zatem naprawdę warto rozmawiać z każdym i każdego pytać o opinię? Chyba jednak nie. Niektórzy sami ustawiają się poza kręgiem ludzi cywilizowanych – i niech sobie tam zostaną. ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

Rozmowa z Czesławem Warsewiczem Prezesem Zarządu PKP Cargo S.A.

Intermodalność ma potencjał

Poprzedni rok Grupa PKP CARGO zamknęła bardzo dobrymi wynikami finansowymi. Czy tegoroczny zysk będzie większy niż w roku poprzednim i jak zamierzacie to osiągnąć?

CZESŁAW WARSEWICZ: To prawda, w 2018 r. osiągnęliśmy rekordowy zysk netto na poziomie 184 mln zł – przeszło dwa razy wyższy niż rok wcześniej, rekordowo wysoki był też wskaźnik EBITDA – 907 mln zł, o 30 proc. więcej niż w roku 2017. W 2019 r. chcemy w dalszym ciągu rosnąć, prognozowana EBITDA ma osiągnąć 1,035 mld zł, o 14 proc. więcej niż w roku 2018 w wielkościach porównywalnych. Droga do osiągnięcia tych celów zapisana jest w naszej strategii na lata 2019–2023, która zakłada m.in. stopniowy wzrost rentowności z 3,5 proc. w 2018 r. do 5 proc. w 2023 r. Zamierzamy to osiągnąć m.in. poprzez zwiększanie udziałów w polskim rynku towarowych przewozów kolejowych oraz w obszarze Trójmorza i na unijnym odcinku Nowego Jedwabnego Szlaku, aby na obu tych rynkach zająć pozycję lidera. Zmieniamy się i doskonalimy, dostosowując naszą ofertę do potrzeb rynku, cały czas myślimy o akwizycjach, bo to są także czynniki sprzyjające rozwojowi i zwiększaniu naszej konkurencyjności. Ważne jest też podnoszenie efektywności operacyjnej, a także utrzymywanie pod kontrolą kosztów działalności.

Jesteście liderem na polskim rynku pod względem przewozów towarowych. Z perspektywy spółki, który kierunek wzrostu biznesu jest ważniejszy – w kraju czy za granicą?

Oba są tak samo ważne i wzajemnie się uzupełniają. To prawda, że mamy pozycję lidera w Polsce i dalsze jej umacnianie jest niezbędne do ekspansji zagranicznej. O sile Grupy PKP Cargo zarówno w kraju, jak i za granicą będą też stanowić inwestycje dopasowujące zasoby do potrzeb rynku oraz akwizycje.

Grupa PKP Cargo mocno stawia na transport intermodalny. Czy to jest najbardziej perspektywiczny sektor rynku?

W ostatnim kwartale 2018 r. przewozy intermodalne stanowiły nieco ponad 10 proc. całego transportu kolejowego towarów w naszym kraju, podczas gdy wartość ta na niektórych rynkach zachodnich, do których coraz bardziej upodabnia się Polska, wynosi nawet ok. 70 proc. Pokazuje to, jak duży jest potencjał do wzrostu w segmencie przewozów intermodalnych. W 2018 r. przewieziono w ten sposób o 16 proc. więcej jednostek ładunkowych niż w roku wcześniejszym. Ta tendencja będzie się utrzymywać w kolejnych latach, co pokazuje, że ten rynek jest bardzo perspektywiczny.

Przyczyn zainteresowania przewozami intermodalnymi jest kilka. Przemieszczanie towaru kilkoma środkami transportu, ale w tej samej jednostce ładunkowej – najczęściej kontenerze – oznacza oszczędność czasu i pieniędzy związanych z przeładunkiem. Przewozy intermodalne są coraz częściej wykorzystywane w transporcie międzynarodowym. Polska, ze względu na swoje położenie geograficzne, stanowi istotny punkt na szlaku wschód-zachód oraz w przewozach z północy na południe Europy. My ten potencjał mamy zamiar wykorzystać i stąd decyzja o koncentrowaniu się na intermodalu.

Jak firma przygotowuje się do konkurowania z innymi operatorami – jakie zakupy zaplanowaliście w tym roku, jeśli chodzi o wagony, centra przeładunkowe?

Chcemy konkurować przede wszystkim najlepszą ofertą odpowiadającą na potrzeby naszych klientów. Innymi słowy dostawa w odpowiednim czasie w odpowiednie miejsce i w odpowiednim koszcie. W tym roku zawarliśmy kontrakt na zakup pięciu lokomotyw wielosystemowych, które będą używane przy międzynarodowych przewozach, podpisaliśmy też umowę na dostawę w okresie do 2022 r. 936 platform intermodalnych, a wkrótce rozstrzygniemy przetarg na zakup kolejnych 220 wagonów do transportu kontenerów. To nie będą na pewno ostatnie takie transakcje, ale na razie jest jeszcze za wcześnie określać nasze szczegółowe projekty zakupowe w następnych latach. Tym bardziej że będą one uzależnione od sytuacji na rynku, od oczekiwań i zapotrzebowania klientów. Ponadto każda zainwestowana złotówka musi przynieść zysk, więc bardzo mocno przestrzegamy reżimu finansowego, a szczególnie takich wskaźników jak IRR czy NPV projektu.

Stale potrzeba też modernizacji istniejącego taboru. Ile spółka planuje wydać na to w tym roku i jakie są najpilniejsze potrzeby w tym zakresie?

Wielkość nakładów inwestycyjnych jest narzędziem do osiągnięcia celu, którym jest wypracowanie 1,035 mld zł EBITDA Grupy PKP CARGO w roku 2019. Dlatego wielkość inwestycji będzie dostosowana do zgłaszanego przez rynek zapotrzebowania i będziemy elastycznie podejmowali decyzje w zależności od rozwoju sytuacji.

eprasa.pl 4e0c707824

Z prof. Ryszardem Bugajem, ekonomistą
rozmawia Stefan Sękowski

Wyścig dwóch populizmów

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

eprasa.pl 4e0c707824

STEFAN SĘKOWSKI: Cieszy się pan z tego, że w maju otrzyma 888 zł na rękę dodatku emerytalnego?

PROF. RYSZARD BUGAJ: Jestem przykładem człowieka, który nie ma takiej socjalnej potrzeby. Mam stosunkowo wysoką emeryturę i dodatkowo pieniądze z zatrudnienia. Mój status pokazuje problem związany z tym świadczeniem. Zakładamy, że emeryci są biedni. To założenie jest trafne w odniesieniu do pewnie 70–80 proc. emerytów, ale w tej grupie są też ludzie bardzo zamożni. Nie pojmuję, dlaczego oni także mają hurtowo dostać to świadczenie. Sytuacja dochodowa emerytów nie zależy tylko od świadczenia. Różna jest sytuacja dwóch emerytów, którzy dostają po 1,5 tys. zł emerytury, przy czym jeden z nich ma mieszkanie na wynajem, za który pobiera 2 tys. zł. To rozwiązanie jest fatalne – nie ma mocnych socjalnych przesłanek i można było zrobić to znacznie sensowniej, czyli trafić do ludzi w trudnej sytuacji materialnej.

W jaki sposób?

To niełatwe, pewnie musiałoby to iść drogą pomocy społecznej, z wprowadzeniem kryterium dochodowego. W najgorszej sytuacji są emeryci, którzy nie mają dodatkowych dochodów – obojętnie, czy z pracy, czy z kapitału, mają relatywnie niskie świadczenia i są starsi. To grupa ludzi, która ma wyższe wydatki. Często mieszkają samotnie, co jest droższe, dość długo przebywają na emeryturze i muszą odnowić zasób mieszkaniowy, np. odmalować mieszkanie czy kupić nowy telewizor. Ponoszą też większe wydatki na opiekę zdrowotną.

Mechanizm, który wybrano, jest jednak prosty – można go porównać do „500+", które „nie ma względu na osoby".

To świadczenie dla emerytów wprowadzono w ordynarny sposób. Tuż przed wyborami, bez wcześniejszej refleksji, jednorazowe. Zrobiono to z pobudek czysto politycznych. Nie krytykuję polityków za to, że chcą iść ludziom na rękę, nawet jeśli stoi za tym motywacja wyborcza. Problem zaczyna się wtedy, gdy dla krótkookresowego efektu politycznego podważa się stabilność gospodarczą. Nie można powiedzieć też nic dobrego o innych propozycjach PiS, np. „500+" na pierwsze dziecko bez kryterium dochodowego.

„Trzynastka" jest częścią „piątki Kaczyńskiego".

Widać, że to jest podporządkowane emocjom społecznym. Bardzo podoba mi się przeciwdziałanie zapaści transportu publicznego, ale tego nie da się zrobić w krótkim okresie. Złe pomysły to niepłacenie PIT przez ludzi do 26. roku życia.

One rzeczywiście grożą zapaścią finansów publicznych?

Nigdy nie krytykowałem rządu za „500+". Zawsze uważałem, że to się da sfinansować. Okazało się, że dało się sfinansować łatwiej, niż można było przypuszczać, bo sytuacja budżetu bardzo się poprawiła.

Na stałe? W tej chwili mamy bardzo dobrą sytuację gospodarczą.

Taka poprawa nigdy nie jest na stałe, bo duża część tej poprawy jest funkcją fazy cyklu koniunkturalnego, a my jesteśmy w dobrej fazie cyklu, o czym świadczą choćby wysokie wpływy do ZUS. Czy tak będzie w długim okresie? Nie sądzę. Dlatego – o czym rząd nie mówi – trzeba zacząć finansować wydatki, sięgając do głębokich kieszeni. Mamy dziś system podatkowy, który w ogóle do nich nie sięga. Pół miliona podatników, często najbogatszych ludzi w Polsce, płaci 19-procentowy podatek dochodowy, wprowadzony przez rząd SLD. To kuriozum. Jednak nawet jeśli tego nie ruszymy, to deficyt budżetowy w wysokości 2–3 proc. PKB nie jest niczym dramatycznym. Pytanie, czy ma on ważne uzasadnienie. Moim zdaniem zadziałały tylko argumenty wyborcze. Wydatki, które PiS zaordynował, mogą w momencie pogorszenia się sytuacji gospodarczej pchnąć budżet w stronę deficytu powyżej 3 proc. PKB, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Powrotu do procedury nadmiernego deficytu?

Pewnie tak, ale to nic strasznego. Już to przeżywaliśmy, podobnie jak wiele innych krajów. To jest procedura rozciągnięta w czasie, sankcje przychodzą późno, można sobie z tym radzić. Także w sensie czysto makroekonomicznym nie boję się takiej sytuacji, ale trzeba zdać sobie sprawę z tego, jakie będą reakcje rynków finansowych, które mogą zareagować mocniej, niż byłoby to merytorycznie uzasadnione.

Co się wtedy stanie?

Rynki są emocjonalne. Wzrost długu może oznaczać podwyższenie kosztów jego obsługi. Mamy zadłużenie raczej niskie na tle Europy, poniżej 50 proc. PKB. Jednak jeżeli przyjmiemy, że zadłużenie wynosi bilion złotych, to jeśli oprocentowanie długu wzrośnie o 1 proc., to jest to 10 mld zł. Poza tym to rzutuje na inne zachowania, np. na skłonność do inwestycji czy nastroje konsumenckie.

Tymczasem jeszcze przed uchwaleniem „trzynastki" dla emerytów Grzegorz Schetyna powiedział, że te pieniądze się ludziom należą, a Sławomir Neumann zapowiada, że jeśli PO wróci do władzy, to ten dodatek będzie wypłacany stale.

Straciłem sympatię do PiS, ale nie zyskałem do opozycji, zwłaszcza PO. Obserwujemy wyścig dwóch populizmów i to jest bardzo groźne. Przez populizm rozumiem działania, które zmierzają do uzyskania krótkookresowego poparcia politycznego za cenę bardzo prawdopodobnej niestabilności w przyszłości. Populizm nie zawsze jest socjalny, moim zdaniem nie było nic bardziej populistycznego niż propozycja 3 x 15 Platformy Obywatelskiej. A „500+" na każde dziecko bez kryterium dochodowego czy „trzynastka" dla emerytów to propozycje, które najpierw złożyła PO.

PiS realizuje program PO?

Do pewnego stopnia. Ściga się z Platformą, a ta nie chce oddać pola i mówi, że nauczycielom zapłaci te pieniądze, których oni chcą.

Można powiedzieć, że ten wydatek jest rozwojowy, bo idzie na edukację.

Na pewno jest rozwojowy, ale w krótkim czasie bardzo trudny do sfinansowania. W wyścigu populizmów prowadzi – choć nie ma to praktycznego większego znaczenia – partia Wiosna. Ona obiecała wszystko i jeszcze trochę. Ten populizm jest nie tylko socjalny, lecz także dotyczy stosunku do Kościoła. Oni udają, że nie wiedzą – a może i nie wiedzą? – że konkordat jest umocowany w konstytucji, a żeby było śmieszniej, został tam umocowany jeszcze przed ratyfikacją konkordatu.

Czy jednak da się prowadzić politykę inaczej? Dzień po uchwaleniu „trzynastki" dla emerytów „Super Express" grzmi nagłówkiem: „Oni zdradzili emerytów", a pod nim zdjęcia Ryszarda Petru, Joanny Scheuring-Wielgus i Stefana Niesiołowskiego, który akurat wstrzymał się od głosu. Nikt nie chce, by publikowano jego zdjęcia w takim kontekście.

Tak jak brytyjskie tabloidy w sprawie brexitu – wojują o czytelników. To jest

eprasa.pl 4e0c707824

groźne, bo rujnuje podstawy racjonalnej demokracji. Jednak winę ponoszą głównie politycy. Jest rozłożona po równo, bo najpierw gdy pojawił się projekt „500+", opozycja mówiła, że to jest nie do sfinansowania. Teraz, gdy okazało się, że jednak można sfinansować ten program, to oni mnożą nowe postulaty. Zwykli ludzie mogą dojść do wniosku, że wystarczy tupnąć nogą, a jak tupną nogą, to dostaną.

Czy można się z tego wyrwać? Teraz, gdy ktoś próbuje powiedzieć „nie" nowej propozycji, dostaje po głowie.

Obawiam się, że możemy się z tego wyrwać dopiero wtedy, gdy nabijemy sobie guza. Gdy zapłacimy cenę za rozszalały populizm całej klasy politycznej, zarówno opozycji, jak i obozu rządowego.

Gdy przykładowo dojdzie do załamania finansów publicznych?

To nie jest przesądzone i mam nadzieję, że nie, ale prawdopodobieństwo jest duże, że tak będzie wyglądała ścieżka do racjonalnej polityki. Dzisiaj idziemy innym szlakiem. Pierwszy przetarł go Andrzej Lepper, a teraz wszyscy nim zasuwają. Słyszałem nawet wypowiedź Marka Belki, poważnego i dobrze wykształconego ekonomisty, który na pytania dziennikarzy o nowe propozycje opozycji odpowiada: Ale co opozycja ma zrobić?

Akurat Marek Belka sparzył się na szczerości. Jego zapowiedzi jako kandydata na ministra finansów dotyczące oszczędności i wprowadzenia podatku od zysków kapitałowych kosztowały SLD-UP prawdopodobnie samodzielną większość w 2001 r.

Być może przeżywa to doświadczenie (śmiech). Kiedyś politycy byli mniej populistyczni. W latach 90. jako Unia Pracy chcieliśmy zaproponować wprowadzenie dodatkowego najniższego progu podatku PIT w wysokości 15 proc. (wtedy najniższy wynosił 20 proc.). Jednak w końcu się z tego wycofaliśmy, bo uznaliśmy, że grozi to destabilizacją dochodów budżetu państwa. A teraz? Hulaj dusza!

Czy jest jednooki król w gronie ścigających się populistów?

Wśród znaczących postaci go nie widzę. Niektórzy unikają wypowiedzi w tych kwestiach, wydaje mi się, że wicemarszałek Senatu Adam Bielan czuje tego bluesa, ale unika wypowiedzi w tym zakresie. Paradoksalnie bardziej powściągliwi są ludowcy. Grzegorz Schetyna się rozhulał, co jest bardzo śmieszne, bo najpierw powołał na głównego ekonomistę PO Andrzeja Rzońcę, który jest pozapinany na wszystkie liberalne guziki. Jak on może to firmować? Tego nie wiem.

Jesteśmy w stanie uniknąć rozbicia sobie głowy czy musimy czekać na kryzys?

Wydaje mi się, że wymagałoby to przebudowy sceny politycznej. Ona jest niekompletna, bo nie ma na niej klasycznej partii socjaldemokratycznej.

Partia Razem twierdzi, że nią jest.

Ona nie jest partią klasycznie socjaldemokratyczną. Łączy radykalizm w sprawach gospodarczych z radykalizmem w sprawach obyczajowych. Tradycyjna partia socjaldemokratyczna, w znaczeniu PPS-owskim, łączyła twardość, ale i umiar w sprawach społecznych i powściągliwość w sprawach obyczajowych. Moim zdaniem istnieje przestrzeń dla takiego ugrupowania, ale to przestrzeń potencjalna. Musi istnieć możliwość nadania komunikatu, który trafia do ludzi, nie jest blokowany przez media. Na marginesie – to, co się stało z mediami, z pewnymi wyjątkami, jest przerażające. To są organy obozów politycznych, które mają za cel razić przeciwnika i chronić swoich, niezależnie od tego, co się dzieje. Przydaliby się też klasyczna chadecja i konserwatyści. Konserwatyzm jest zachowawczy w dobrym i złym sensie tego słowa.

> **Gdy pojawił się projekt „500+", opozycja mówiła, że to jest nie do sfinansowania. Teraz, gdy okazało się, że jednak można sfinansować ten program, to oni mnożą nowe postulaty**

Jednak wyborcy jakoś ich nie chcą.

Scena polityczna została zamknięta zarówno przez prawo wyborcze, które powoduje, że partia, która zdobędzie pół miliona głosów, przy niskiej frekwencji może nie dostać się do parlamentu, jak i przez system finansowania polityki. Byłem i nadal jestem zwolennikiem finansowania partii z budżetu państwa, ale nie może być ono tak obfite, gdyż wtedy nowym partiom jest niesłychanie trudno wejść na scenę polityczną.

Gdy jednak spojrzymy na to, kto osiąga względny sukces wyborczy, to są to raczej KORWiN czy Kukiz'15, a nie stateczni socjaldemokraci czy chadecy.

Popyt jest na skraju silnej frustracji i kto się chce ulokować w tym segmencie polityki, ten ma łatwiej niż ktoś, kto proponuje poważną alternatywę. Partie nie konkurują wizjami Polski, ale pomysłami na przekupstwo.

Co powinno się stać, by politykom opłacało się składać realne obietnice?

Rynek polityczny musi się stać bardziej konkurencyjny. Bardzo groźna jest ewolucja w kierunku systemu dwupartyjnego, bo obie partie zaczynają być do siebie bardzo podobne, a ich wrażliwość na problemy, które się pojawiają, się zmniejsza.

To wina wyborców, którzy nie oczekują wizji od polityków?

Coś jest na rzeczy, ale zmiana powinna się dokonać ze strony krystalizującej się klasy politycznej. To się nie musi powieść, ale chodzi o to, by bariery, które są, były trochę rozluźnione. Partie należałoby finansować bardziej płasko.

I tu koło się zamyka, bo o tym, jakie są progi wyborcze i jak finansuje się partie, decyduje obecny establishment, który nie musi być zainteresowany zmianą zasad gry.

Dlatego uważam, że niełatwo będzie z tego klinczu wyjść. Prawdopodobieństwo zwycięstwa w wyborach przez opozycję jest niewysokie, ale jeśli do niego dojdzie, to będzie to niewielkie zwycięstwo. Rządzenie z większością trzech–czterech szabli jest niekomfortowe, zwłaszcza gdy ma się ulicę na głowie.

To będzie sprzyjało uchwalaniu demagogicznych ustaw?

Presja będzie ogromna. Będzie próba poszukiwania chwytów lewą ręką za prawe ucho. Obawiam się, że w pewnym momencie dojdzie do przesilenia, które będzie bolesne dla kraju i gospodarki.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Ryszard Bugaj – doktor habilitowany nauk ekonomicznych, profesor w Instytucie Nauk Ekonomicznych PAN, działacz opozycji demokratycznej w PRL, założyciel i były lider Unii Pracy, poseł na Sejm w latach 1989–1997.

eprasa.pl 4e0c707824

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

PiS przed testem OFE

Nie wiem, czy zagwarantowanie dziś przez PiS przyszłym emerytom, że ocalała – po zagrabieniu im w 2014 r. przez Platformę połowy ich emerytalnych oszczędności z OFE – druga połowa tych oszczędności już „naprawdę" i „na pewno" pozostanie ich prywatnymi oszczędnościami na starość, wystarczy, by odbudować zaufanie Polaków do instytucji emerytalnych państwa. W tym do ruszającego programu PPK – Pracowniczych Planów Kapitałowych. Wszelako mam przypuszczenie graniczące z pewnością, że nieprzeprowadzenie teraz tej operacji przyczyni się jeśli nie do fiaska, to w najlepszym razie do umiarkowanego sukcesu PPK. A bez takiego systemu strach myśleć nie tylko o przyszłości emerytów, lecz także rynku kapitałowego, a więc o przyszłości Polski.

Na szczęście przybywa znaków na niebie i ziemi, że rząd PiS zdaje sobie z tego sprawę. A zapowiadane dwa–trzy lata temu prace nad uchronieniem pieniędzy z OFE przed pazernością polityków – zamrożonych potem lub wręcz zarzuconych, teraz odżyły. I, co ważne, w formule, która może się spotkać z jeszcze cieplejszym przyjęciem ze strony przyszłych emerytów.

Rzecz bowiem w tym, że zgodnie z wcześniejszymi obietnicami liderów PiS na już „naprawdę" prywatne konta emerytalne przyszłych emerytów, do których politycy nie będą mogli się dobrać, miało trafić 75 proc. oszczędności, które zostały im w OFE po grabieży dokonanej przez PO. Natomiast 25 proc. miało im zostać odebrane i przekazane do Funduszu Rezerwy Demograficznej, a stamtąd pewnie szybko do wiecznie niedomagającego ZUS. Tymczasem niedawno pojawiły się spekulacje, że rząd rozważa przekazanie na prywatne konta przyszłych emerytów 100 proc., czyli całych odłożonych tam przez nich oszczędności. (Chociaż pojawiła się też plotka, że postąpi odwrotnie i całe oszczędności odbierze oraz przekaże do ZUS).

Stanęło – przynajmniej na razie – na rozwiązaniu pośrednim. Jak wyjawił premier Morawiecki, rząd zamierza pozwolić każdemu chętnemu – podobno to ma być rozwiązaniem domyślnym – zatrzymać oszczędności z OFE po uiszczeniu 15-procentowej „opłaty przejściowej" na prywatnym indywidualnym koncie emerytalnym (przy wypłacie pieniądze z IKE nie są już opodatkowane). I podobno tylko oszczędności tych, którzy złożą wniosek, będą przeniesione z OFE do ZUS (bez pobierania „opłaty przejściowej", lecz za to przed wypłatą będą one opodatkowane PIT).

Jeśli rząd PiS rzeczywiście zdecyduje się na ten krok, to może to zaowocować szybszą odbudową zaufania do instytucji emerytalnych, choć trudno w tej materii liczyć na cud, bo zaufanie traci się szybko, a do odzyskania go trzeba zwykle dużo więcej czasu. I dużo więcej dowodów, że umowa społeczna – np. w sprawie systemu emerytalnego – ma dla rządu wartość większą niż wartość papieru, na którym została spisana. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

O wolności inaczej

Krok po kroku ludziom odbierana jest wolność, ale w codziennym zabieganiu tego nie dostrzegają. A pokolenia millenialsów i młodsze tego w ogóle nie dostrzegą, bo nie wiedzą, jak było kiedyś. No, chyba że rodzice im powiedzieli. Gdy byłem młody, nastolatek miał wybór, jak spędzi czas, dzisiaj jest tego wyboru pozbawiony, spędza kilka godzin codziennie, gapiąc się – często bezrefleksyjnie – w ekran smartfona. Na osiedlu mojej młodości, w blokowisku na warszawskiej Pradze-Południe, nie było płotów, chodziło się, gdzie się chciało, po trawnikach też. Teraz na tym samym osiedlu wszędzie zbudowano płoty i wprowadzono zakazy, tam chodzić wolno, a tu nie wolno. Najgorzej jest w parku, który kiedyś był otwarty i można było sobie w nim pograć w gałę, kiedy się chciało, albo przyjść z kolegami wieczorem na piwo. Teraz zbudowano tzw. infrastrukturę, boisko jest za płotem i zamykane na kłódkę. A najciekawsze jest to, że cały park jest otoczony płotem i też może zostać zamknięty na łańcuch.

Dwie dekady temu w lasku na Bielanach było dziko i przyjemnie. Można było odpocząć na łonie natury i pójść, gdzie się chce, w końcu to las. Teraz wzdłuż ścieżek stoją drewniane płoty, a wszędzie znaki zakazu i nakazu – to ścieżka dla rowerów, a ta dla pieszych, uwaga, ścieżka okresowo mokra, zakaz jazdy na koniach, zakaz wprowadzania psów. Nawet w lesie ograniczono wolność człowieka.

Na początku lat 90. nie miałem żadnych problemów z wolnością słowa podczas wykładów. Teraz to się radykalnie zmieniło, czuje się presję politycznej poprawności. Gdy wykładam po angielsku, pilnuję się, żeby mówić „he or she", a ostatnio widziałem pełne dezaprobaty spojrzenia studentów, gdy tłumaczyłem jedną z metod prognozowania na przykładzie typowo kobiecego zawodu, jakim jest pielęgniarka. Gdy ostatnio wysyłałem artykuł do recenzowanego pisma naukowego w USA, widziałem instrukcję dla autorów, która zobowiązuje, żeby używać języka neutralnego wobec płci, pod rygorem nieprzyjęcia artykułu.

W porównaniu z okresem mojej młodości (mam 52 lata) ludzie są bogatsi, zdrowsi, żyją dłużej. To oznaki postępu i rozwoju. Prawdopodobnie zatem również opisywane przeze mnie przykłady „subiektywnej" utraty wolności w jakimś stopniu opisują postęp i rozwój. Być może w nowoczesnym społeczeństwie człowiek nie tylko akceptuje stopniową utratę wolności wyboru, lecz także wręcz jej oczekuje. Chce mieć ogrodzone „miejskie strefy Schengen", woli, żeby Facebook mu opowiedział spersonalizowaną historię dnia, zamiast przeczytać kilka gazet i zapoznać się z różnymi punktami widzenia. I czuje się zagubiony, gdy go znak w lesie nie poinformuje, czy idzie ścieżką spacerową, czy spacerowo-rowerową. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl 4e0c707824

Rekordy na polskim

Jacek Przybylski

Polska jest coraz mocniejsza na lotniczej mapie Europy. Już w tym roku nasze lotniska mogą obsłużyć ponad 50 mln osób. W siłę rośnie też PLL LOT, którego szybki wzrost jest kluczowy dla realizacji marzeń o wielkim hubie pod Warszawą

Aż 45,7 mln pasażerów obsłużyły porty lotnicze w Polsce w 2018 r. To o 14 proc. więcej niż rok wcześniej – ogłosił 15 kwietnia Urząd Lotnictwa Cywilnego. Wzrost o 3 mln przekroczył wcześniejsze prognozy ULC.

– Głównym motorem tak dynamicznego wzrostu ruchu lotniczego w Polsce jest między innymi nadrabianie zaległości w stosunku do krajów Europy Zachodniej. Mimo iż Polacy latają znacznie rzadziej niż statystyczny Europejczyk, to polski rynek lotniczy odnotowuje z roku na rok lepsze wyniki. Największe nasycenie ruchu występuje na głównych lotniskach Polski Centralnej, co w przyszłości może powodować problemy z przepustowością – zauważa prezes Urzędu Lotnictwa Cywilnego Piotr Samson.

Ze statystyk Eurostatu wynika, że w całej UE w 2017 r. samolotem podróżowało 1,043 mld osób, o 7,3 proc. więcej niż rok wcześniej. „Lotniczy środek ciężkości w Europie przenosi się na wschód" – napisał na Twitterze pełnomocnik rządu ds. Centralnego Portu Komunikacyjnego Mikołaj Wild, dodając, że Polska i Rumunia to przyszli liderzy tego rynku.

WIELKA TRÓJKA

Według ekspertów Polskę czeka więc jeszcze wiele lat dużych wzrostów ruchu lotniczego. Prognozy mówią, że jeszcze w tym roku liczba pasażerów na polskich lotniskach ma pierwszy raz przekroczyć magiczną barierę 50 mln. – Ze względu na prognozowane spowolnienie gospodarcze ten rok będzie nieco inny, ale w porównaniu z innymi rynkami Polska nadal będzie mogła pochwalić się dwucyfrowym wzrostem, który wyniesie ok. 10,5 proc. – mówi Michał Mazur, partner PwC, lider zespołu ds. transportu i logistyki. Przyczyną mniejszego wzrostu może być również zakończenie wojny cenowej między przewoźnikami.

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

niebie

Szacuje się, że do 2030 r. liczba pasażerów w polskich portach lotniczych powinna się podwoić, przebijając poziom 80 mln w roku 2028. W 2035 r. z polskich lotnisk ma latać 94 mln pasażerów. Według analiz Międzynarodowego Zrzeszenia Przewoźników Powietrznych (IATA) łączna liczba podróżujących samolotami na całym świecie w 2037 r. sięgnie 8,2 mld osób. Czy tak szybki wzrost jest w ogóle realny? Dane za ostatnie lata pokazują, że tak. W ciągu dwóch dekad liczba podniebnych pasażerów wzrosła z 1,467 mld w 1998 r. do 3,979 mld w roku 2017. Dalszy wzrost zarówno światowego PKB, jak i populacji, wydaje się więc niemalże gwarantować wysoką dynamikę ruchu lotniczego. Gorzej może być jednak w Europie Środkowo-Wschodniej, gdzie prognozy demograficzne pokazują spadek liczby ludności. ONZ kalkuluje, że liczba mieszkańców Europy Wschodniej od 2017 do 2050 r. spadnie aż o 11,6 proc. Jeśli te szacunki się sprawdzą, to potencjał rozwoju rynku lotniczego w połowie wieku może być niższy niż optymistyczne prognozy ekspertów.

Analitycy międzynarodowej firmy konsultingowej PwC zauważają, że polski rynek lotniczy wciąż jest mocno skoncentrowany pod względem udziałów poszczególnych przewoźników. Aż 77 proc. zajmują zaledwie trzy linie lotnicze: irlandzki Ryanair (28,71 proc.), polski LOT (26,09 proc.) oraz węgierski Wizz Air (21,66 proc.). Czwarta na liście Lufthansa ma już tylko 5,61 proc. udziału w polskim rynku lotniczym. – Między innymi dzięki ekspansywnej polityce w minionym roku PLL LOT zdobył sporą część rynku, tym samym zbliżył się pod względem liczby pasażerów do dotychczasowego lidera, czyli Ryanair. LOT odważnie wychodzi poza granice Polski, rozbudowując połączenia długo- i krótkodystansowe – zauważa Grzegorz Urban, dyrektor w zespole ds. transportu i logistyki PwC. Polskie Linie Lotnicze LOT przewiozły w zeszłym roku ponad 2 mln pasażerów więcej niż rok wcześniej, osiągając 24-procentową dynamikę wzrostu – zauważa ULC.

Walcząc o klienta, LOT uruchamia nowe połączenia (m.in. z Warszawy do Singapuru, Delhi czy Kolombo). A jednocześnie, aby ułatwić życie krajowym pasażerom, PKP InterCity najprawdopodobniej jeszcze w tym roku uruchomią bezpośrednie połączenie kolejowe z Łodzi na warszawskie lotnisko. – PKP InterCity złożyły wnioski do PKP Polskich Linii Kolejowych o przydzielenie tras pociągów na Lotnisko Chopina w Warszawie i stację Warszawa-Służewiec. Przewoźnik planuje uruchomienie kilku par połączeń, głównie relacji Łódź Fabryczna–Lotnisko Chopina, obsługiwanych pociągami PesaDART. O szczegółach planowanych połączeń oraz ofercie na przejazdy będziemy mogli informować dopiero po przydzieleniu tras pociągów przez PKP Polskie Linie Kolejowe – poinformowała „Do Rzeczy" Anna Zakrzewska z biura prasowego. – Chcemy obsługiwać nowy dla nas rynek – pasażerów lotniczych, a także zapewniać dogodne połączenia z i do pracy na obszarze stacji Warszawa-Służewiec, w pobliżu której znajduje się biznesowe centrum stolicy. Jeszcze jest za wcześnie, by mówić o szczegółach współpracy z Polskimi Liniami Lotniczymi LOT – zastrzegają jednak PKP InterCity.

WARSZAWA CIĄGLE ROŚNIE

Wśród polskich portów lotniczych najwięcej pasażerów obsługuje Lotnisko Chopina w Warszawie. Według danych ULC z jego usług w 2018 r. skorzystało ponad 17,7 mln osób. To o 13 proc. (ponad 2 mln osób) więcej niż w roku 2017. W 2018 r. duże wzrosty zanotowała większość lotnisk regionalnych, z czego największy wzrost procentowy odnotował port lotniczy Poznań-Ławica, w którym liczba pasażerów wzrosła o 33,8 proc., czyli o 622 tys. osób do 6,759 mln.

Na pierwszym miejscu pod względem wzrostów ilościowych było lotnisko Katowice-Pyrzowice, które obsłużyło 4,825 mln pasażerów, czyli prawie o milion więcej niż w roku ubiegłym (wzrost o 24 proc.). Świetne wyniki odnotowały też lotniska Kraków-Balice, przez które przewinęło się w sumie 6,759 mln osób (o 16 proc., czyli o 930 tys. pasażerów więcej niż rok wcześniej) oraz Wrocław-Strachowice (przybyło 488 tys. pasażerów, 17 proc.). W grupie lotnisk obsługujących poniżej miliona pasażerów rocznie najlepsze wyniki osiągnęło

eprasa.pl 4e0c707824

lotnisko Bydgoszcz-Szwederowo (25 proc. wzrostu do 398 tys. pasażerów), Rzeszów--Jasionka (o 11 proc. więcej, czyli 769 tys.) oraz Port Lotniczy Lublin (wzrost 6 proc. do 454 tys. pasażerów).

Dane za pierwszy kwartał tego roku potwierdzają optymistyczne prognozy ekspertów. W pierwszym kwartale obecnego roku warszawskie lotnisko obsłużyło blisko 3,7 mln pasażerów, z czego w ruchu międzynarodowym podróżowało aż 3,3 mln osób. Lotnisko Chopina odprawiło ok. 1,2 mln osób w ruchu transferowym, co stanowi wzrost prawie o 20 proc. rok do roku. Bez wątpienia największy polski port lotniczy staje się więc coraz ważniejszym punktem na mapie międzynarodowych połączeń lotniczych. Niestety, Warszawie nadal daleko jest do największych europejskich hubów. Dla porównania londyńskie Heathrow obsłużyło w pierwszym kwartale 17,937 mln osób (wzrost o 1,4 proc. rok do roku). Port lotniczy Paryż-Roissy-Charles de Gaulle odnotował od stycznia do końca marca 16,481 mln pasażerów (wzrost o 5,7 proc.). Lotnisko Amsterdam-Schiphol obsłużyło w tym okresie 15,486 mln osób (1,6 proc. więcej niż rok wcześniej). Przez port lotniczy we Frankfurcie przewinęło się zaś niemal 14,8 mln pasażerów (2,5 proc. wzrostu).

POTRZEBNY POLSKI HUB

Do szybkiego rozwoju Polska potrzebuje dużego hubu. Eksperci PwC pozytywnie oceniają więc plany powstania Centralnego Portu Komunikacyjnego. – W tym momencie w tej części naszego regionu istnieje pewna nisza. Powstanie CPK uwolni potencjał ruchu lotniczego, dzięki czemu stanie się on jednym z istotnych międzynarodowych hubów komunikacyjnych. Dla sukcesu tego scenariusza niezwykle ważne będzie właściwe zaprojektowanie pozostałych komponentów, tj. transportu kolejowego i drogowego – mówi Agnieszka Gajewska, partner w PwC, lider zespołu ds. finansowania projektów inwestycyjnych oraz sektora publicznego w Europie Środkowo--Wschodniej.

Władze mają tego świadomość. Według rządowych deklaracji nowy polski hub – integrujący transport lotniczy, kolejowy i drogowy – ma być najważniejszą polską inwestycją infrastrukturalną. Koszty związane z realizacją pierwszego etapu inwestycji szacowane są na poziomie do 35 mld zł, w tym 16–19 mld zł na realizację części lotniskowej, 8–9 mld zł – kolejowej i 7 mld zł – drogowej. Rząd wciąż nie ogłosił jednak dokładnej lokalizacji nowego lotniska. Część ekspertów optuje więc za tym, aby zamiast w Baranowie pod Warszawą, gigantyczne polskie lotnisko zbudować pod Łodzią.

Projekty budowy nowych portów o przepustowości powyżej 40 mln pasażerów są już realizowane w innych krajach, m.in. w Turcji (Stambuł) czy też w Niemczech (Berlin). Jednocześnie ze względu na dynamicznie rosnący ruch tranzytowy, rozbudowywane są lotniska w Moskwie i w Monachium. W tureckim Stambule od kilku tygodni działa megalotnisko, które do 2030 r. ma się stać największym portem lotniczym świata. Sześć pasów startowych, cztery terminale pasażerskie i 165 rękawów mają wówczas pozwolić Turkom obsłużyć nawet 200 mln pasażerów rocznie. I chociaż zapowiedzi władz w Ankarze brzmią wyjątkowo buńczucznie (port lotniczy świata Hartsfield-Jackson w Atlancie, który od 21 lat zajmuje pierwsze miejsce wśród najruchliwszych na świecie, obsłużył w 2018 r. 107 mln pasażerów, w tym 12,5 mln pasażerów międzynarodowych), to nie są niemożliwe do zrealizowania.

Jeszcze w tym roku CPK wybierze doradcę strategiczno-technicznego. Ma to być jedno z wielkich lotnisk azjatyckich lub zachodnich

ŚLADEM TURKISH AIRLINES?

Podobnie jak w Polsce ruch lotniczy w Turcji rośnie o ponad 10 proc. rocznie. Analogii do Polski jest więcej. Gdy przed kilkoma laty w Turcji zapadała decyzja o budowie megalotniska w Stambule, linie Turkish Airlines przewoziły podobną liczbę pasażerów, co obecnie LOT. Dzisiaj Turkish Airlines są jedną z największych linii lotniczych świata i to właśnie od dalszych sukcesów tureckiego przewoźnika zależy to, czy megalotnisko w Stambule okaże się dobrą inwestycją. Tylko pierwszy etap rozpoczętej w 2014 r. budowy pochłonął ponad 10 mld dol. (równowartość 38 mld zł). Władze w Ankarze zdecydowały się budować megalotnisko, mimo że w regionie – w Dubaju i w Dosze – funkcjonują ogromni konkurenci. Szybkie tempo prac w Stambule zostało jednak okupione śmiercią co najmniej 30 robotników. Mimo to, choć oficjalnie lotnisko otwarto w październiku zeszłego roku, nie udało się uniknąć opóźnień w uruchomieniu lotów: najpierw miały być one przeniesione ze starego portu 31 grudnia 2018 r., potem na początku marca, a ostatecznie udało się to dopiero na początku kwietnia obecnego roku. Analitycy PwC podkreślają, że rozwój lotnisk w Stambule czy w Moskwie idzie w parze ze strategią wzrostu narodowych przewoźników stawiających m.in. na ruch tranzytowy w swoich macierzystych hubach. Na nowym lotnisku w Stambule bazę mają Turkish Airlines (dotychczasowy port obsługuje rejsy cargo oraz VIP), Atlanta prosperuje dzięki bazie amerykańskiej linii Delta Air Lines, a lotnisko w Dubaju wypełniają pasażerowie przewożeni przez dubajskie Emirates Airlines.

Tylko taka strategia może też przyczynić się do sukcesu CPK, który w 2027 r. ma mieć przepustowość na poziomie 45 mln pasażerów, a docelowo – za kilkadziesiąt lat – ma obsługiwać ponad 100 mln osób rocznie. W tym roku spółka odpowiedzialna za budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego przeszła tzw. Test Prywatnego Inwestora dla części lotniskowej. Przeprowadzony przez EY test określający m.in. podstawowe parametry inwestycji i weryfikujący argumenty ekonomiczne przemawiające za jej budową wykazał, że stopa zwrotu w przypadku CPK wynosi niemal 10 proc.

CPK ma więc szanse stać się głównym hubem w Europie Środkowo-Wschodniej. W połowie kwietnia spółka odpowiedzialna za powstanie przyszłego megalotniska przedstawiła 60 przyszłym partnerom biznesowym wstępną koncepcję części lotniczej: równoległe drogi startowe – w pierwszym etapie dwie, docelowo cztery, terminale: pasażerski, cargo i general aviation oraz stacja kolejowa zintegrowana z terminalem. – Jeszcze w tym roku planujemy zlecić przygotowanie tzw. masterplanu, czyli jednego z najważniejszych dokumentów podczas planowania portu lotniczego, który będzie zawierał szczegółowe założenia rozwoju CPK w perspektywie ok. 20 lat. Wcześniej wybierzemy doradcę strategiczno-technicznego, czyli zarządcę dużego portu przesiadkowego na świecie, który ma doświadczenie w projektowaniu i budowie takiej infrastruktury i wie, jak na niej dobrze zarabiać – mówi „Do Rzeczy" Konrad Majszyk , dyrektor komunikacji w spółce CPK. Spekuluje się, że może to być jedno z wielkich lotnisk azjatyckich, np., Changi, Incheon, Narita, lub np. brytyjskie Heathrow. Nazw potencjalnych partnerów spółka jednak na razie nie potwierdza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

TEST „DO RZECZY": MOBILNY ZESTAW NA MAJÓWKĘ

Długi weekend coraz bliżej. Warto więc zabrać do plecaka sprzęt, który pozwoli szybko uzupełnić zapas energii w ulubionych gadżetach. Do testów wzięliśmy kompaktowy powerbank Hama Power Pack PD-12S. Jego zalety to aluminiowa obudowa, wyjścia USB typu A i typu C oraz stosunkowo duża pojemność (12 tys. mAh pozwala czterokrotnie naładować iPhone'a X lub niemal trzykrotnie potężnego Samsunga Galaxy S10 Plus). Zastosowanie technologii Qualcomm Quick Charge 3.0 powerbank o maksymalnej mocy wyjściowej 18W/3A znacząco skraca czas potrzebny na uzupełnianie energii w gadżetach. Dwa gniazda wyjściowe pozwalają z kolei na jednoczesne ładowanie dwóch urządzeń, dzięki czemu można w podróży naładować np. dwa smartfony lub np. telefon i tablet, aparat cyfrowy czy nawet laptop.

Minusy? Szkoda, że producent nie zdecydował się dołożyć diody LED, która z powerbanku czyni też podręczną latarkę. Jeżeli wolimy urządzenie „trzy w jednym", to na rynku dostępne są powerbanki, które poza diodą LED mają wbudowaną wagę bagażową, czy powerbanki będące jednocześnie latarką i głośnikiem. Poza tym na rynku dostępne są już modele, których pojemność wynosi 20 tys. mAh. Cena: 149 zł.

Drugie z testowanych urządzeń to Hama QI Inductive Turbo Fast Charger. Indukcyjna ładowarka o klasycznym wyglądzie ma niewielkie wymiary (9 cm x 9 cm x 2 cm) i waży zaledwie 90 g – bez problemu można ją więc wrzucić do plecaka. Gadżet pozwala szybko naładować wszystkie urządzenia wyposażone w technologię ładowania w standardzie QI. Wystarczy położyć na ładowarce smartfon lub „inteligentny" portfel (choć naprawdę inteligentne będą dopiero te, które będą potrafiły same na właściciela zarabiać), a te uzupełnią potrzebną energię bezprzewodowo. Testowany model dysponuje mocą wyjściową wynoszącą 15 W, dzięki której radzi sobie z uzupełnianiem energii w smartfonach wyraźnie szybciej niż wiele podobnych ładowarek indukcyjnych, w których ładowanie jest zazwyczaj dużo wolniejsze niż w przypadku połączenia przewodowego. A jeśli wyjątkowo nam się spieszy, to w zestawie znajduje się

szybka ładowarka Quick-Charge 3, za pomocą której można telefon naładować w tradycyjny przewodowy sposób. Jednocześnie producent zapewnia, że zoptymalizowany proces ładowania oszczędza akumulator i wydłuża jego trwałość (tego jednak nie byliśmy w stanie sprawdzić w krótkim teście). Minus? Tak jak we wszystkich innych modelach ładowarek indukcyjnych wadą jest to, że choć ta energię przekazuje bezprzewodowo, to samą ładowarkę trzeba już za pomocą kabla podłączyć do gniazdka elektrycznego lub do powerbanku. Cena: 149 zł. ©℗

Jacek Przybylski

BIOMIMETYCZNA WAŻKA

Jeśliby szukać przykładów sukcesów biomimetyki w ostatnich latach, czyli sytuacji, gdy człowiek, szukając rozwiązań technologicznych, inspiruje się przyrodą, to MetaFly – biomimetyczna ważka – mogłaby być jednym z nich. Producenci zapewniają, że niebawem ich projekt wyeliminuje drony, i nie jest to wcale wykluczone. Podstawową różnicą jest technologia lotu – MetaFly rzeczywiście porusza się w powietrzu dzięki napędowi wytwarzanemu ruchem skrzydełek, rzeczywiście też trajektoria lotu przypomina lot robaczków latających. Oczywiście o ile byłyby zmutowane do rozmiarów hot doga. Sterowana jest za pomocą miniaturowej konsoli, ma zasięg do 100 metrów odległości i 320 stóp wysokości, zabezpieczona przed uderzeniami np. o ścianę albo starciem z dziobem ptaka, zasilana baterią pozwalającą na 8 minut lotu.

Przy czym oprócz tego, że lata... udając skutecznie zmutowaną ważkę, nie ma na razie żadnych innych opcji, np. rejestrowania lotu czy wykonywania zdjęć. Mamy więc do czynienia z zabawką, ale projekt jest całkiem perspektywiczny. MetaFly kosztuje ok. 300 zł. Zamawiać można na Kickstarterze z dostawą w sierpniu.

CLIP I ROWER ELEKTRYCZNY

Czary-mary, jedno małe urządzenie i rower tradycyjny zamienia się w rower elektryczny. Jeśli się wyczerpie bateria, to wystarczy urządzenie odpiąć i naładować je w biurkowej ładowarce. Urządzenie, o którym mowa, nazywa się Clip. Jest na tyle lekkie, by zmieścić się w plecaku, a montujemy je w specjalnej ramie nad przednim kołem, tak by po włożeniu dotykało opony niczym dynamo. Montaż zajmuje kilka minut, a sam Clip jest uruchamiany za pomocą aplikacji smartfonowej i zaczyna obracać się z ustaloną prędkością, zmuszając również koła bicykla do ruchu. Urządzenie waży ok. 1,7 kg. Niestety, producenci nie podają, przez jaki czas po jednym naładowaniu Clip jest w stanie zmuszać koło do ruchu.

Cena: ok. 3,5 tys. zł. Zamawiać można na Kickstarterze. Czy warto? Należy się zastanowić, czy nie lepiej podobną kwotę przeznaczyć na prawdziwy rower elektryczny. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X4)

eprasa.pl 4e0c707824

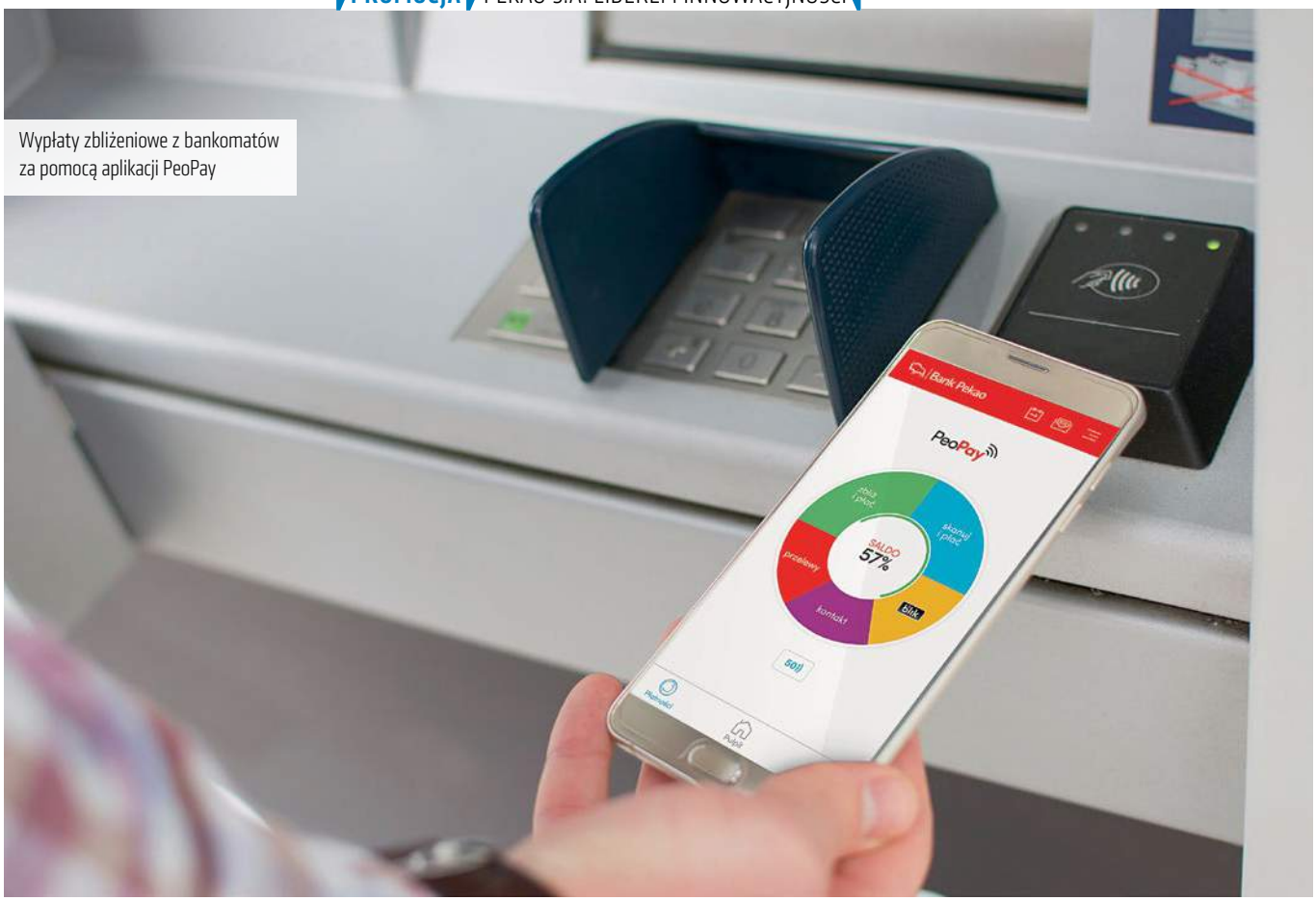

Wypłaty zbliżeniowe z bankomatów za pomocą aplikacji PeoPay

Cyfrowa transformacja polskiego żubra

Klienci detaliczni mogą otworzyć konto w Banku Pekao, wykonując zdjęcia dowodu osobistego oraz robiąc sobie seflie w smartfonie. Aplikacja PeoPay umożliwia również zbliżeniowe wypłaty pieniędzy z bankomatu. Z kolei mikroprzedsiębiorcy mogą błyskawicznie odebrać terminal do obsługi kart. To kolejne innowacje, które Bank Pekao wprowadził w ramach strategii „Siła polskiego żubra".

Założony w 1929 r. Bank Pekao S.A. obecnie jest jedną z największych instytucji finansowych Europy Środkowo-Wschodniej. Jednocześnie to jeden z najbardziej innowacyjnych polskich banków. Jako pierwszy bank uruchomił w Polsce bankomat, wydał pierwszą kartę kredytową, uruchomił biuro maklerskie i zastosował w praktyce biometrię w bankowości. Ostatnio postawił zaś na cyfrową transformację. – Po kilkunastu miesiącach intensywnych działań nastawionych na innowacyjność, modernizację i efektywność możemy już porównywać się z największymi instytucjami finansowymi na świecie. Nie chcemy jednak na tym poprzestać. Zależy nam zarówno na zadowoleniu naszych obecnych klientów, jak i pozyskiwaniu nowych. Wierzymy, że wprowadzane innowacyjne rozwiązania odpowiedzą na zmieniające się potrzeby rynku i potwierdzą naszą mocną pozycję w polskim systemie bankowym – mówi Michał Krupiński, prezes zarządu Banku Pekao.

KONTO „NA SELFIE"

Jeszcze kilka lat temu nikt nie myślał o bankowości w telefonie komórkowym czy na tablecie. Obecnie z tzw. bankowości mobilnej korzysta już ponad 10 mln Polaków. Z badań wynika też, że aplikacji

eprasa.pl 4e0c707824

bankowych Polacy używają chętniej niż mieszkańcy innych państw europejskich. Banki nad Wisłą prześcigają się więc w innowacyjnych rozwiązaniach. Również Bank Pekao stale udoskonala swoją aplikację PeoPay, która z poziomu smartfona umożliwia szybki i bezpieczny dostęp do konta, kart płatniczych, a także informacji o kredytach i oszczędnościach.

– Bankowość mobilna to teraźniejszość, ale i przyszłość całego sektora bankowego. Klienci oczekują coraz nowszych i bardziej innowacyjnych rozwiązań. My takie rozwiązania im dajemy. Nasze innowacje są odpowiedzią na oczekiwania klientów, ponieważ to właśnie we współpracy z nimi je wypracowujemy – mówi Marek Tomczuk, wiceprezes zarządu Banku Pekao, odpowiedzialny za bankowość detaliczną.

Nowi klienci Banku Pekao z innowacji mogą korzystać już przy zakładaniu rachunku, co jeszcze nigdy nie było tak proste i szybkie. Do utworzenia nowego konta od kilku miesięcy potrzebny jest jedynie komputer, a od niedawna wystarczy tylko smartfon. Cały proces jest łatwy i przyjazny dla użytkownika. Wystarczy zainstalować aplikację PeoPay (jest ona dostępna zarówno na smartfony z systemem Android, jak i iOS). Następnie już w aplikacji wybiera się opcję „załóż konto" i wypełnia prosty wniosek. Do założenia konta potrzebne są następnie zdjęcia obu stron dowodu osobistego. Weryfikacja tożsamości odbywa się szybko za pomocą selfie (trzeba wykonać trzy zdjęcia twarzy pod różnym kątem).

W sumie cały proces trwa ok. 10 minut. Tak otwarty rachunek jest od razu aktywny, co oznacza, że można dokonywać przelewów, a także płacić smartfonem, np. za pomocą BLIKA. Wizyta w oddziale jest konieczna dopiero wówczas, gdy chce się np. zwiększyćlimity operacji powyżej poziomu 20 tys. zł.

SMARTFON ZAMIAST KARTY

Bank Pekao wprowadził również wypłaty zbliżeniowe w bankomatach za pomocą PeoPay. Aby wypłacić gotówkę, wystarczy po prostu zbliżyć telefon do bankomatu. Nowe rozwiązanie sprawia, że klienci Pekao w zasadzie nie muszą już nosić ze sobą karty płatniczej.

A to nie koniec innowacji. Użytkownicy bankowości mobilnej banku nie muszą już również przepisywać kodu otrzymanego SMS-em, aby zatwierdzić transakcje w bankowości internetowej. Od niedawna autoryzacja jest dokonywana bezpośrednio w aplikacji bankowości mobilnej. Już wcześniej Pekao, jako pierwszy bank w Polsce, wprowadził autoryzację transakcji do 200 zł za pomocą odcisku palca.

Kolejne ułatwienie czeka także użytkowników systemu BLIK (jednorazowy 6-cyfrowy kod pozwala bezpiecznie płacić za zakupy, a także wpłacać i wypłacać pieniądze w bankomatach). Klienci Pekao mogą już także realizować płatności powtarzalne BLIK. Usługa ta pozwala szybciej zrealizować comiesięczne płatności: rachunek za telefon czy inne cykliczne opłaty. – Cyfrowa transformacja w Pekao to działania zmieniające bank w wielu obszarach. Wszystkie nowości, które oferujemy naszym klientom, realizują jeden zasadniczy cel: chcemy, by korzystanie z usług banku – niezależnie, czy jest to smartfon, komputer, czy oddział – było szybkie, wygodne i przyjazne dla klienta – mówi Bartosz Zborowski, dyrektor Departamentu Innowacji i Płatności w Banku Pekao S.A.

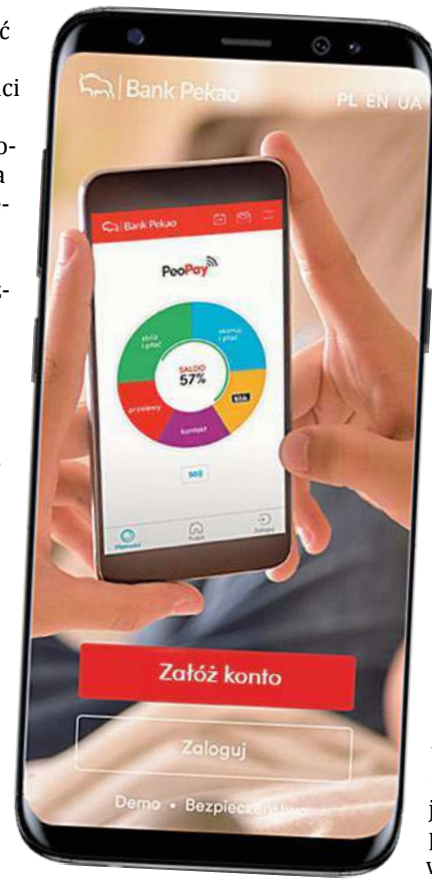

DLA PRZEDSIĘBIORCÓW

Pekao S.A. obsługuje nie tylko klientów detalicznych. To jednocześnie największy bank korporacyjny – klientem banku jest co druga polska firma.

W zeszłym roku bank zdecydował się na znaczne inwestycje w rozwój usług akceptacji kart. W ramach jednego z projektów zmieniających oblicze tego biznesu, Pekao udostępnił nowy, innowacyjny proces umowy o terminal płatniczy i znacznie ułatwił sposób jego uzyskania. Przedsiębiorca wybrany przez siebie terminal może odebrać w placówce od razu po podpisaniu umowy. Następnie przedsiębiorca dostaje SMS z kodem aktywacyjnym, który pozwala na aktywację urządzenia i rozpoczęcie akceptacji płatności za pomocą terminala. Dzięki temu bank skrócił czas potrzebny od podpisania umowy do momentu umożliwienia akceptacji płatności.

Rozwiązanie to stanowi rewolucję w porównaniu z dotychczasowym procesem, gdzie klient po podpisaniu umowy czekał kilka dni na wizytę serwisanta i instalację urządzenia. Nowy proces został entuzjastycznie przyjęty nie tylko przez klientów, lecz także przez doradców bankowych, którzy dodatkowo otrzymali narzędzie do przygotowywania dokumentów dla klienta. Obecnie cały proces generowania i akceptacji umowy zajmuje obecnie mniej niż 10 minut.

Pilotażowa dystrybucja terminali do sieci wyselekcjonowanych oddziałów rozpoczęła się w styczniu 2019 r. Obecnie terminale płatnicze można odebrać już w ponad 260 placówkach, czyli wszystkich obsługujących klientów segmentu biznes. W pozostałych oddziałach detalicznych klient może podpisać umowę i zamówić kuriera lub serwisanta.

ERA OTWARTEJ BANKOWOŚCI

Realizując wymagania unijnej dyrektywy PSD2 (Payment Services Directive II) – otwierającej drzwi do innowacji produktowych w zakresie usług płatniczych i bankowych – Bank Pekao S.A. w połowie marca udostępnił testowy interfejs (API) dla fintechów i banków chcących przygotować się do świadczenia usług agregacji rachunków i inicjowania płatności. To ważny krok w przygotowaniu się do ery otwartej bankowości.

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. ANDY BROWNBILL/AP/EAST NEWS

Dziewczyna z Raszyna

Łukasz Zboralski

Iga Świątek ma wszystko to, co powinna mieć tenisistka światowej klasy. Ma też czas, by ten potencjał wykorzystać

Finał ostatniego turnieju we włoskim Lugano. Na ławeczce do odpoczynku Iga Świątek, 17-latka spod Warszawy. Po przegranym pierwszym secie (3:6) ze starszą o dekadę Słowenką Poloną Herzog Polka przegrywa 2:3 i zanosi się już na koniec gry. Do zmęczonej i trochę sfrustrowanej zawodniczki podchodzi jej trener Piotr Sierzputowski. Mikrofon przy transmisji pozwala usłyszeć słowa. Iga jest lekko rozżalona, a trener cierpliwie podaje wskazówki. Mówi, żeby dać trochę pograć rywalce, żeby zmusić ją do wysiłku. – Pograj jej wysoko na backhand, ja nie mam pewności, że to się uda, ale spróbuj tego – podpowiada.

Polka wraca na kort. I choć w przerwie wyglądała na lekko zniechęconą, to z żelazną konsekwencją stosuje strategię trenera. Wygrywa gem za gemem i w końcu całego seta 6:3. A potem zanosi się na sensację, bo młoda Polka rozpoczyna decydującego seta od dwóch wygranych gemów. Gdy nadchodzi kolejny słabszy moment, trener przychodzi do ławki. – Taka sama rozmowa jak wcześniej – mówi do podopiecznej. Dodaje, żeby grać odważniej, że jak się przegrywa przy dobrej grze, to przecież tak nie boli.

Iga wraca i znów gra lepiej, ale nie udaje się jej dogonić Słowenki. Nie wygrywa swojego pierwszego turnieju WTA. Jednak do kraju powraca jako pierwsza rakieta polskiego kobiecego tenisa.

Obrazy z Lugano bardzo wiele mówią o zaletach najlepszej obecnie polskiej tenisistki i o tym, jak dobry i profesjonalny ma sztab. Iga gra nowoczesny kobiecy tenis, w którym oprócz finezji liczą się też siła i agresja w uderzeniu. Czasy, gdy kobiety grały delikatniej, dawno za nami. W kobiecym tenisie nie ma już tylko jednej siłaczki – Sereny Williams. Kobiety grają dziś mocno.

EPOKA PO RADWAŃSKIEJ

– Tenis kobiecy rzeczywiście bardzo się zmienił i wygląda zupełnie inaczej niż jeszcze 12 lat temu – potwierdza Adam Romer, redaktor naczelny magazynu „Tenisklub". – Iga Świątek jest bardziej dostosowana do tego, co teraz dzieje się na kortach światowych, niż była Agnieszka Radwańska. Dzisiaj można już powiedzieć, że te ostatnie dwa trudne lata Radwańskiej wynikały

eprasa.pl 4e0c707824

właśnie z tego, że ona nie przystawała do stylu, który zaczął rządzić – czyli do tego, że obok samej dobrej gry, wspaniałej techniki i myślenia, potrzebne jest jeszcze mocne przygotowanie fizyczne. Radwańska nigdy nie była tak przygotowana jak Woźniacka czy Kerber. A Iga ma to od początku. Ona się wyróżnia. Świetnie przygotowana kondycyjnie, z dużym wachlarzem zagrań. I to ona w meczach dąży do zdobycia punktów i wygranej, a nie czeka na błąd rywalki tak, jak często działo się to w przypadku Radwańskiej – dodaje.

Ekspert zwraca też uwagę na inny rodzaj przewagi. Iga Świątek od początku ma cały profesjonalny sztab – trenera Sierzputowskiego, trenera rozwoju ogólnego, psychologa. Agnieszka Radwańska startowała z ojcem i dopiero po jakimś czasie postawiła na profesjonalny sztab. To oznacza szybszą o kilka lat profesjonalizację dzisiejszej rakiety numer jeden nad Wisłą.

OD PŁYWANIA DO ODBIJANIA

Chociaż także Iga wylądowała na kortach głównie dzięki ojcu. Tomasz Świątek to były wioślarz AZS-AWF Warszawa. W 1988 r. startował w czwórce podwójnej na olimpiadzie w Seulu – dopłynęli na siódmym miejscu. I to tata parł do tego, by Iga i jej starsza siostra Agata zajmowały się sportem. Od początku jednak chciał, by była to kategoria indywidualna. Dziewczynki mieszkające w podwarszawskim Raszynie trafiły więc najpierw na basen, a potem na korty.

I choć to Agata najpierw odbijała piłkę z trenerami, a Iga jedynie oglądała, to dziś starsza siostra nie zajmuje się już profesjonalnie tenisem. Wybrała medycynę. A młodsza zaczyna się przebijać w rankingu WTA – po turnieju w Lugano awansowała na 88. pozycję (tuż przed 27-letnią Magdą Linette – 89). W setce najlepszych znalazła się szybciej niż jej starsze koleżanki. Agnieszka Radwańska zrobiła to, gdy miała ponad 18 lat, Marta Domachowska – prawie 19, Urszula Radwańska – blisko 22, a Magda Linette – prawie 24 lata.

Jak sama przyznawała w wywiadach, na kortach pomagają jej odrobina życiowej niesforności, zadziorność, nieustępliwość. Było to widać od wczesnego etapu na korcie. Adam Romer zauważył Świątek dużo wcześniej, zanim zaczęło być o niej głośno w Polsce. – Z dziewczętami jest prościej, szybciej widać, z której będzie dobra zawodniczka – tłumaczy szef magazynu „Tenisklub". – Iga wyróżniała się już jako 13-latka innym stylem gry, potencjałem uderzeń, zaciętością. I w przypadku dziewcząt jest tak, że tylko te, które we wczesnym wieku są liderkami, robią potem czasem wielką karierę. U chłopców jest inaczej. Potrafią wyskoczyć do wielkiego świata tenisa ci, którzy jako nastolatkowie byli w dalszym szeregu – tłumaczy.

Ojciec Igi Świątek – Tomasz Świątek – też był sportowcem, wioślarzem. Z córek najpierw chciał zrobić pływaczki. Potem zabrał je na korty FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

TRUDNY SZCZYT

Sama Iga jasno stawia sobie cel – chce być w tenisowej elicie. Jej otoczenie dobrze wie, że jest na wczesnym etapie tej drogi. Dlatego raczej rozsądnie tonuje nastroje, niż promuje nową gwiazdę. W ubiegłym roku, przed wyjazdem na eliminacje do Australian Open, jej trener podkreślał w mediach, że celem jest nauka. Wyszła nadzwyczaj dobra lekcja, bo Świątek wygrała mecz pierwszej rundy. Odpadła dopiero w drugiej. I jej bliscy nadal tonowali ewentualną presję. A ta w Polsce jest, bo kibice złaknieni są następczyni Radwańskiej.

Część tenisowych ekspertów widzi Świątek co najmniej w TOP 50 najlepszych na świecie. Czy jednak wedrze się do światowej czołówki, wcale nie jest takie pewne. Zwłaszcza że sytuacja w kobiecym tenisie mocno to dziś utrudnia. Nie ma grona wyłącznie kilkunastu liderek, które systematycznie i ciągle wygrywają wszystko. Poziom się wyrównuje. Ławka oczekujących na sukces jest długa.

– No i trzeba pamiętać, że Iga nie jest jedynym objawieniem wśród dziewcząt. Tych z roczników 2000–2001 jest w pierwszej setce rankingu kilka – wskazuje Romer. I wylicza: – Jest świetna Ukrainka Dajana Jastremska, jest druga Ukrainka, młodsza od Polki Maria Kostiuk, która w ostatnim Australian Open jako 15-latka doszła do czwartej rundy. Wymieniłbym jeszcze Amerykankę Amandę Anisimovą, która w tym samym czasie, gdy trwał turniej w Lugano, wygrała turniej w Bogocie. No i są jeszcze Rosjanka Anastasija Potapowa czy czarnoskóra Amerykanka Cori Gauff, której już prorokuje się, że będzie drugą Venus Williams.

Potencjał i praca to wiele, ale czasem i to nie wystarczy. Warto wspomnieć choćby młodszą siostrę Agnieszki Radwańskiej – Urszulę, która jako 17-latka prezentowała niezwykły potencjał i jej styl gry był bardziej podobny do Świątek niż do siostry. Wygrywała wówczas juniorski Wimbledon, ale na kortach trudno jej było okiełznać emocje. Jeszcze pięć lat temu była 29. na świecie. Dzisiaj ta 28-latka ma w rankingu pozycję numer 261. Wciąż gra, ale zajmuje się też promowaniem własnej marki torebek UR.

– Iga ma „papiery", żeby do tej czołówki wejść. Czy jej się uda? Jestem ostrożny – mówi Adam Romer. – Czy to tylko kwestia czasu, gdy wygra turniej wielkoszlemowy? Poszedłbym zapalić w kościele świeczkę, żeby tak się stało, ale ręki sobie uciąć nie dam.

Najbliższy poważny sprawdzian tego, czy Polka zbliża się do czołówki – w maju. Iga Świątek zagwarantowała sobie już udział we French Open.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Polki w aktualnym rankingu WTA

- **88** – Iga Świątek (17 lat)
- **89** – Magda Linette (27 lat)
- **172** – Magdalena Frech (21 lat)
- **230** – Katarzyna Kawa (26 lat)
- **261** – Urszula Radwańska (28 lat)
- **300** – Katarzyna Piter (28 lat)
- **317** – Maja Chwalińska (17 lat)
- **727** – Natalia Siedliska (23 lata)

eprasa.pl 4e0c707824

W domu, nie w szpitalu

Katarzyna Pinkosz

Liczba psychiatrów w Polsce w przeliczeniu na 100 tys. mieszkańców jest najniższa w Europie. A my coraz częściej mamy problem z psychiką

FOT. ADOBE STOCK

Niedawno w Polsce odbywał się Europejski Kongres Psychiatrii – do Warszawy przyjechała rekordowa liczba 4250 lekarzy. Mówili o tym, że model opieki musi zmienić się o 180 stopni. – Konieczne jest przejście z opieki w dużych szpitalach do opieki środowiskowej w domu pacjenta. Pobyt w szpitalu psychiatrycznym często nie poprawia jakości życia chorych i powinien być ostatecznością – mówi prof. Silvana Galderisi, prezes Europejskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

DRZWI OBROTOWE

Zmiany widać nawet w języku. Takie sformułowania jak „schizofrenik", „chory psychicznie" coraz częściej zastępowane są słowami „osoba ze schizofrenią" lub „w kryzysie psychicznym". – Chcemy, by pacjent wrócił do życia, które ma dla niego znaczenie – dodaje prof. Galderisi. We Włoszech, w Niemczech, krajach skandynawskich przechodzenie od opieki szpitalnej do ambulatoryjnej w środowisku pacjenta zaczęło się już 20 lat temu. W Polsce dopiero raczkuje, a system stworzyć trudniej m.in. dlatego, że dramatycznie brakuje kadr. W Finlandii, Norwegii na 100 tys. mieszkańców przypada 24 psychiatrów; w Polsce – zaledwie dziewięciu. W kolejce do poradni trzeba czekać kilka miesięcy, a jeśli pacjent potrzebuje pilnie pomocy, to pozostaje wizyta prywatna lub pobyt w szpitalu. Brakuje też psychologów, psychoterapeutów, pracowników socjalnych i praktycznie nie ma możliwości udzielenia pomocy na etapie, gdy choroba nie jest jeszcze w pełni rozwinięta.

Od października 2018 r. wystartował pilotaż Narodowego Programu Ochrony Zdrowia Psychicznego. W pilotażu NFZ płaci nie „na pacjenta", tylko „na każdego mieszkańca" (gminy, powiatu, dzielnicy – w założeniu centrum zdrowia psychicznego, które organizuje opiekę, powinno się nią objąć ok. 50 tys. osób). Gdy pacjent doświadcza tzw. kryzysu psychicznego, on lub rodzina udaje się do centrum, a tam koordynator decyduje, jaka pomoc jest potrzebna (np. psychologiczna, psychiatryczna w poradni, szpital). W pilnych przypadkach pomoc ma być udzielona w 72 godziny.

Eksperci chwalą zasady pilotażu, uważają jednak, że nie poszły za nim wystarczające pieniądze. W założeniu centra zdrowia psychicznego miały pokryć 10 proc. powierzchni Polski. Zabrakło jednak właściwego finansowania i w rezultacie powstało 27 ośrodków, które „pokryły" 3 proc. powierzchni Polski – mówi prof. Jerzy Samochowiec, prezydent elekt zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

Nowych form opieki nie da się rozwinąć bez dodatkowego finansowania. – Jeśli pieniędzy nie będzie, to szpitale pozostaną zatłoczone, bo nadal mamy dużo zgłoszeń. Mimo że nie chcemy przetrzymywać pacjentów w szpitalu i wolimy, by leczyli się w poradni, często wkrótce po wypisie wracają do szpitala. Zwykle powodem jest brak wsparcia pacjentów w domu i poradni, przerywanie przyjmowania leków i pogorszenie stanu chorego – mówi prof. Agata Szulc, prezes zarządu głównego Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego.

– Szef kliniki psychiatrycznej w Monachium pokazywał, że w 1,2-milionowym mieście jest 2,5 tys. hospitalizacji rocznie, tymczasem w 400-tysięcznym Szczecinie mamy ich aż 4 tys.! Niestety u nas większość chorych metodą „obrotowych drzwi" wraca do szpitala. Przyczyny są różne: brak leczenia środowiskowego, ale też pewne przyzwyczajenia rodzin. Rodzina czasem woli oddać pacjenta do szpitala – dodaje prof. Samochowiec.

KU TERAPII PERSONALIZOWANEJ

W Europie mówi się o konieczności personalizowanej terapii, braniu pod uwagę przy wyborze leczenia czynników środowiskowych. W opracowywaniu przez prof. Wolfganga Gaebela z Uniwersytetu Heinricha Heinego w Düsseldorfie wytycznych leczenia schizofrenii brali udział m.in. pacjenci, ich rodziny, psychologowie, psychiatrzy, pracownicy społeczni, udało się też opracować wskaźniki jakości leczenia.

W Polsce do takich rozwiązań daleko. Najbardziej doskwiera jednak brak koordynowanej opieki. – Był duży entuzjazm dla wprowadzania opieki środowiskowej i jest nadal. Jednak finansowanie było zbyt małe, dlatego część potencjalnych centrów zdrowia psychicznego wycofała się z pilotażu. Zmiany są konieczne, jednak nie powiodą się bez podniesienia wycen procedur psychiatrycznych. Na to czekamy – przyznaje prof. Samochowiec.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4e0c707824

FOT. ARCHIWUM AGATY SZULC

Z prof. Agatą Szulc, psychiatrą
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Żyć ze schizofrenią

KATARZYNA PINKOSZ: Na schizofrenię choruje ok. 1 proc. osób, co oznacza, że w Polsce jest to prawie 400 tys. osób. Dlaczego dochodzi do jej rozwoju?

AGATA SZULC: Jest wiele teorii, mówi się o podłożu genetycznym, na które nakładają się czynniki neurorozwojowe, np. różnego rodzaju infekcje czy niedożywienie kobiety w ciąży, a także czynniki okołoporodowe. Do tego dochodzą jeszcze problemy okresu dorastania. Muszą one jednak paść na podatny grunt: mózg już wcześniej nie rozwijał się tak, jak powinien.

Skoro do pierwszych zmian dochodzi w okresie prenatalnym, to dlaczego choroba ujawnia się tak późno?

Rozwój choroby jest powolny, gdy na niektórych pacjentów popatrzymy retrospektywnie, wtedy widać, że coś zaczynało się dziać już wcześniej, jednak w pewien sposób to sobie kompensowali. Wiek 19–25 lat, kiedy często ujawnia się choroba, to czas, gdy młody człowiek podejmuje decyzje życiowe, wybiera studia, pracę. To wyzwania, mózg musi więcej z siebie dać.

To znaczy, że być może będzie można wcześniej zapobiegać schizofrenii lub wcześniej ją rozpoznawać?

Być może będzie można w przyszłości pobrać krew osobom z grup ryzyka – to np. dzieci osób chorujących – i poszukać w niej pewnych markerów predysponujących. Dzięki temu być może udałoby się zapobiec rozwinięciu schizofrenii.

Już dziś ważne jest, by chorobę jak najwcześniej rozpoznać i leczyć. Dlaczego?

Im wcześniej zaczyna się leczyć, tym większa szansa na zatrzymanie choroby lub zmniejszenie obciążenia nią. W każdym kolejnym nawrocie – a w większości przypadków jest to choroba nawrotowa – dochodzi do zmian w mózgu, które potem trudno odwrócić. Poza tym przy każdym ataku pacjent „wypada" z życia, co niekorzystnie wpływa na jego funkcjonowanie. Teraz zbliża się okres matur, egzaminów, zawsze obserwuję w tym czasie więcej zachorowań czy zaostrzeń. Taka osoba – jeśli nie zda matury lub innego egzaminu – wypada na kilka miesięcy, czasem na rok. Poza tym każdy kolejny epizod uszkadza mózg. Warto jak najszybciej rozpoczynać leczenie, również dlatego, że pacjenci na początku choroby lepiej na nie reagują.

W ostatnich latach pojawiały się jednak nowe leki w schizofrenii. Są skuteczne?

Gdy zaczynałam pracę, większość leków to były leki starszej generacji, które powodowały wiele skutków ubocznych. Już od lat 90. mamy możliwość stosowania w Polsce leków nowej generacji, znacznie skuteczniejszych. Niestety, większość to leki doustne, które trzeba przyjmować codziennie, a pacjenci często o tym zapominają. Przerwanie terapii najczęściej powoduje nawrót choroby i kolejny jej atak.

Dlatego w takich przypadkach zalecamy stosowanie leków długodziałających, które można przyjmować co dwa tygodnie, co cztery, a są już dostępne takie, które wystarczy przyjmować raz na kwartał. Oznacza to, że cztery zastrzyki w roku chronią pacjenta przed nawrotem choroby. Leki, które moglibyśmy podawać raz na kwartał, w Polsce nie są jeszcze refundowane, choć mamy nadzieję, że to się zmieni.

Podczas odbywającego się niedawno w Polsce kongresu Europejskiego Towarzystwa Psychiatrycznego eksperci z Węgier pokazywali dane, że terapia lekami długodziałającymi jest efektywniejsza.

Tak, to bardzo wygodne leczenie, stosowane już w większości krajów Europy. Bezpieczeństwo tych leków jest nawet wyższe, skuteczność również, gdyż nowoczesna technologia powoduje, że lek jest uwalniany stopniowo w równych dawkach. Najważniejsze jest jednak to, że dzięki temu można zapobiec nawrotom choroby. Chorzy mogą normalnie funkcjonować. Oczywiście konieczne jest też wsparcie bliskich i psychoterapia, rehabilitacja, psychoedukacja itd., jednak niezbędne jest też przyjmowanie leków.

Mimo że psychiatrzy powtarzają, iż schizofrenia jest po prostu chorobą, którą trzeba leczyć, w społeczeństwie wciąż pokutuje mit, że osoba z tą chorobą może być niebezpieczna. Może?

Bardzo ważna jest edukacja społeczeństwa i zmiana stosunku do chorych pacjentów. Nie można łączyć obrazu chorych psychicznie z przemocą i ze zbrodnią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Agata Szulc – jest psychiatrą, prezesem Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, kierownikiem Kliniki Psychiatrycznej Wydziału Nauki o Zdrowiu WUM.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

prof. Istvan Bitter, Uniwersytet Semmelweisa w Budapeszcie:

U ok. 80–85 proc. pacjentów, u których wystąpił jeden epizod schizofrenii, pojawiają się kolejne. Dlatego ważne jest nie tylko leczenie w okresie epizodów, lecz także zapobieganie nawrotom. Tak długo, jak pacjent będzie przyjmował zapisany lek, nie wystąpi nawrót. Połowa pacjentów po pierwszym epizodzie schizofrenii nie idzie do apteki ani nie wykupuje leków. U pacjentów, którzy nie będą długofalowo przyjmować leku, będą pojawiały się objawy choroby: urojenia, omamy. Najwyższy wskaźnik nawrotów choroby, hospitalizacji, przedwczesnych zgonów występuje u pacjentów, którzy nie przyjmują leków. Dysponujemy jednak lekami długodziałającymi podawanymi w iniekcjach raz na dwa tygodnie, raz na miesiąc, a nawet raz na kwartał. W 20 krajach Unii Europejskiej stosowane są już leki, które pacjenci przyjmują raz na trzy miesiące.

eprasa.pl 4e0c707824

JACEK KOMUDA

GRZECHY PIASTÓW

Krzyżowiec kontra Jaćwingowie

Henryk zwany Sandomierskim był przedostatnim synem Bolesława Krzywoustego, zasłynął zaś jako pierwszy krzyżowiec, który walczył w Ziemi Świętej i po powrocie przybliżył braciom i poddanym wiedzę o Królestwie Jerozolimskim i krucjatach. Bohater mający w chwili śmierci ojca sześć albo osiem lat – gdyż Długosz podaje jako datę jego narodzin rok 1132, ale historycy raczej ją podważają – przeznaczone miał przez ojca księstwo sandomierskie, które powinien wydzielić mu starszy brat Władysław zwany Wygnańcem.

Do pełnoletniości pozostawał pod opieką matki – Salomei z Bergu – która jako oprawę wdowią otrzymała ziemię łęczycką. Ma się rozumieć, że Władysław Wygnaniec dzielnicy nie oddał, usiłując bezskutecznie zjednoczyć Królestwo Polskie; młodszy brat otrzymał ziemię sandomierską dopiero po klęsce najstarszego i wypędzeniu go w 1146 r.

Henryk długo jednak miejsca w kraju nie zagrzał; korzystając z przerwy w walkach między Wygnańcem a jego braćmi, w roku 1154 „zebrał zastęp zbrojny z samych ochotników i z wyborem rycerstwa popłynął do Ziemi Świętej", powierzając opiekę nad dzielnicą bratu Bolesławowi Kędzierzawemu, który po zwycięstwie pod Poznaniem został nowym seniorem nad pozostałymi synami Krzywoustego.

Henryk przybył w chwili, kiedy klęskę poniosła druga wyprawa krzyżowa – prowadzona przez królów: Francji Ludwika VII i Niemiec Konrada III Hohenstaufa. Maszerujące bowiem z Bizancjum wojska niemieckie zostały rozgromione w bitwie pod Doryleum, a cesarz wraz z resztkami oddziałów przyłączył się do króla Francji, który z kolei wylądował w Ziemi Świętej w 1148 r. Niestety krzyżowcy podjęli fatalną decyzję o ataku na Damaszek, oblegany zaledwie przez pięć dni. Niezgoda doprowadziła do tego, że wojska wycofały się spod miasta, ponosząc ogromne straty. Jak pisze Steven Runciman: „Legenda o niezwyciężonych rycerzach z Zachodu, zrodzona w wielkich dniach pierwszej krucjaty, rozwiała się kompletnie. Odżył dawny duch świata muzułmańskiego".

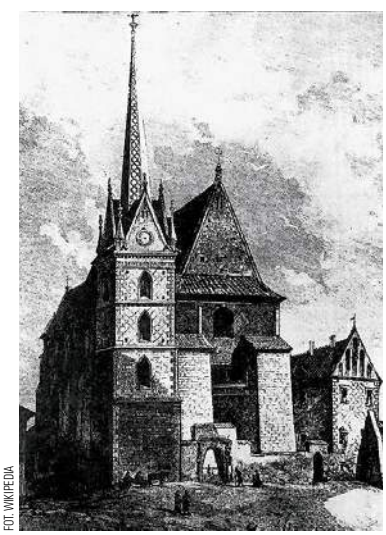

FOT. WIKIPEDIA

Być może Henryk Sandomierski uczestniczył już w krucjacie króla Konrada, brak jednak na to źródeł. Poświadczona jest tylko jego późniejsza samodzielna wyprawa do Ziemi Świętej w 1154 r. Niestety kronikarze nie przekazali nam, co książę wówczas zdziałał. Długosz podaje, że bił się pod rozkazami króla Baldwina III, walczącego z Nur-ad Dinem, władcą Syrii, który usiłował podbić Królestwo Jerozolimskie i inne posiadłości frankijskie w Ziemi Świętej znane jako Outremer. W 1153 r. Baldwin zdobył Askalon należący do sułtanatu Egiptu i zwycięstwo to miało stać się jednym z ostatnich, które rycerze krzyżowi odnieśli nad Turkami i Arabami. W tym samym bowiem czasie Nur-ad Din zajął Damaszek, który był niezależnym emiratem, poważnie zagrażając chrześcijańskim królestwom.

Prawdopodobnie polski książę wziął udział w licznych utarczkach i wyprawach na Saracenów; jak pisze Długosz: „Zabawiwszy tam rok cały i straciwszy znaczną liczbę rycerzy – już to w boju poległych, już to odmienności powietrza znieść nie mogących, wrócił zdrowo do ojczyzny".

Henryk Sandomierski sprowadził nam joannitów, którym w 1163 r. nadał w Zagościu nad Nidą komandorię, szpital i kościół, tworząc pierwszą siedzibę zakonu rycerskiego w Polsce. Mając daleko do Ziemi Świętej, postanowił zorganizować własną krucjatę w Polsce. Wykorzystując to, że Prusowie napadali na Mazowsze, namówił Bolesława Kędzierzawego do zorganizowania wyprawy przeciwko poganom i zmuszenia ich do przyjęcia chrześcijaństwa.

Kadłubek uściśla, że zebrano wówczas wojsko, by zaatakować Jaćwingów, którzy jednak okazali się twardsi od Saracenów. Wciągnęli wojsko Piastów w zasadzkę, podsuwając mu zdradzieckich przewodników. Jaćwingowie zaatakowali wojska Henryka i Bolesława w wąskim przejściu, zadając im ciężką klęskę. W bitwie poległ pierwszy polski krzyżowiec – książę Henryk Sandomierski – nie pozostawiwszy potomka. Pochowano go w kolegiacie w Wiślicy, którą sam ufundował. Jego księstwo otrzymał najmłodszy syn Krzywoustego – Kazimierz zwany potem Sprawiedliwym. ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

GRZEGORZ LATO ROZPOCZYNA SEZON GRILLOWY

W czasach, kiedy ganiałem po boiskach za piłką, byłem częstym gościem w Argentynie, gdzie rozsmakowałem się w stekach. Po meczach goszczono nas wspaniałymi stekami z mięsa specjalnego gatunku argentyńskich krów. W przeciwieństwie do naszych wysmażonych schabowych tam podawano nam krwiste steki, które uwielbiam i które pokochały również moje wnuki.

W ogóle lubię dobre mięso, dlatego często grilluję. Uwielbiam polędwicę i steki z grilla, a ostatnio rozsmakowałem się w żeberkach. Dobre żeberka wcale nie tak prosto przygotować na grillu, ale mam dla państwa sprawdzony sposób, który podpowiedział mi kiedyś zawodowy kucharz. Żeberka wychodzą chrupiące na zewnątrz, a mięso ze środka rozpływa się w ustach. Podaję je z kiszoną kapustą z grilla. Zapewniam – niebo w gębie.

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

Grillowane żeberka z kiszoną kapustą

Składniki:

- żeberka
- ketchup
- miód
- musztarda
- oliwa z oliwek
- sól, pieprz, ziele angielskie

Przygotowanie:

W garnku zagotowujemy wodę przyprawioną solą, pieprzem i zielem angielskim. Na gorącą wodę wrzucamy żeberka i gotujemy je ok. 2 godz. Wyjmujemy i obsuszamy. Przygotowujemy marynatę z ketchupu, odrobiny miodu, musztardy i oliwy z oliwek. Smarujemy mięso i kładziemy na grilla. Pieczemy ok. 10 min na każdej ze stron, przewracając dość często ze strony na stronę i smarując naszą marynatą.

Kapustę kiszoną przed położeniem na grilla zawijamy w folię aluminiową. Razem z żeberkami z dodatkiem dobrej musztardy stworzy wspaniały zestaw. Życzę smacznego. ©℗

oprac. raw

Grzegorz Lato – piłkarz, reprezentant Polski, trener, działacz piłkarski, były prezes PZPN, były senator.

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Są takie dobre

Zaczęły się szparagi, wprawdzie na razie tylko hiszpańskie, ale dobre i to. Na polskie jeszcze chwilę poczekamy, jeśli będzie cieplej i trochę popada, bo wiosna jest bardzo sucha w tym roku.

Postanowiłam, że w sezonie nie będzie u nas jednego dnia bez szparagów. Zobaczymy, czy się uda.

Szparagi to naprawdę warzywna arystokracja. Smaczne, eleganckie, o pięknej formie. Dietetycy chwalą ich niską kaloryczność, wysoką zawartość witaminy K, B1 oraz włókna, właściwości przeciwzapalne i antyoksydacyjne. Lubią je kucharki za łatwe i szybkie przygotowanie – zielone wystarczy przełamać, odłamując zdrewniały koniec, gotować pięć minut w lekko posolonej i ocukrzonej wodzie z cytryną.

Opowieść o szparagach przeczytałam w uroczej książeczce zmarłej niedawno Marii Iwaszkiewicz „Z moim ojcem o jedzeniu". Córka Jarosława, pisarka, dziennikarka, wspaniała gawędziarka, prowadziła przez wiele lat „kultową" jadłodajnię w Czytelniku. Znała, jak to się mówi, wszystkich i wszyscy ją znali. Zmarła niedawno w wieku 95 lat i zasmuciło mnie, że nikt o niej nie napisał. A zasługiwała na to. Razem z nią odchodzi pokolenie pamiętające czasy przedwojenne, skamandrytów… Przytoczę fragment, bo książka wydana w roku 1980 nie jest łatwo dostępna.

„Szparagi rosły u nas w ogrodzie […]. Był to duży kawałek, prawie 1500 metrów kwadratowych, z boku rosły ciemne późne wiśnie i dwie białe czereśnie. Szparagi hodowało się u nas w podłużnych kopcach. Chyba zaprowadził je jeszcze pierwszy ogrodnik Antkowiak, a do perfekcji doprowadził następny, Czech Molisz. Przepadałam za zbieraniem szparagów. To było takie poszukiwanie jak zbieranie grzybów. U nas zbiera się szparagi białe, czyli wyjęte z piasku, jeszcze nie zzieleniałe pod wpływem powietrza. Zielone jada się we Francji i we Włoszech. […] trzeba było je wypatrzyć, zanim przebiją piasek kopca i wtedy zerwać, a właściwie wyciąć długim nożem o prostym zakończeniu.

FOT. ADOBE STOCK

Nóż taki wprowadzało się w ziemię „po linii" łodygi i wycinało się szparag, który wystarczyło tylko delikatnie wyciągnąć, nie łamiąc łebka. Na pierwszy zbiór szło się bardzo rano, o świcie. Na drugi – przed zachodem słońca. […] I tyleż dwa razy dziennie się szparagi jadło. Sezon szparagowy nie trwa długo, sześć tygodni najwyżej. Uczeni w piśmie mówią źle o szparagach: że nie mają żadnej wartości i temu podobne ponure insynuacje. Ale co z tego, kiedy są takie dobre". ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

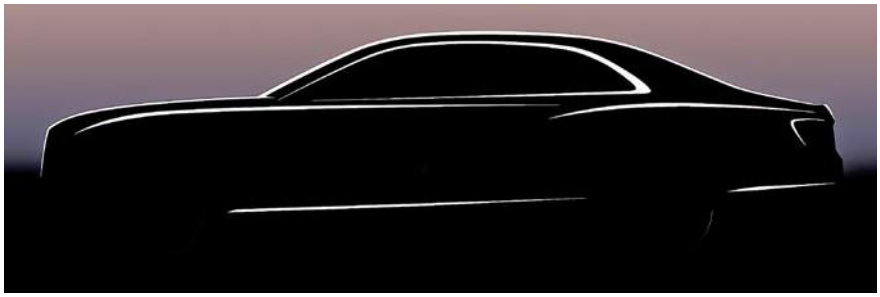

BENTLEY KUSI NOWĄ LIMUZYNĄ

Brytyjski producent luksusowych samochodów zapowiada nową generację modelu Flying Spur, czyli produkowanej od 2005 r. czterodrzwiowej limuzyny. I chociaż nie ogłoszono jeszcze nawet daty oficjalnej premiery (nieoficjalnie spekuluje się, że może się odbyć latem obecnego roku lub dopiero w przyszłym roku), to już teraz producent zdradza pierwsze szczegóły dotyczące groźnego konkurenta takich aut jak Rolls-Royce Ghost czy Mercedes-Maybach klasy S. Wiadomo, że nowy Bentley Flying Spur powstanie na platformie MSB, na której zbudowano model Continental GT czy Porsche Panamerę. Najprawdopodobniej dostępny będzie w trzech wersjach silnikowych. Najmocniejszą jednostką będzie sześciolitrowy, 12-cylindrowy silnik o mocy 626 koni mechanicznych i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 900 Nm. Nieco słabszy będzie czterolitrowy silnik V8 o mocy 542 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 770 Nm. Z kolei jednostkę bazową stanowić ma hybrydowy 2,9-litrowy silnik V6. Maskę limuzyny zdobić będzie zaś automatycznie wysuwana i chowana figurka Bentleya.

ZIELONA FALA DLA INTELIGENTNYCH AUT

Audi rozwija system, który pomaga kierowcom w unikaniu czerwonych świateł. Dzięki wykorzystaniu technologii o nazwie GLOSA (green light optimized speed advisory) auto komunikuje się z miejską infrastrukturą i na ekranie komputera pokładowego podaje kierowcy informację, z jaką prędkością powinien jechać, aby mógł liczyć na „zieloną falę". Obecnie technologia pozwalająca samochodom na komunikowanie się z infrastrukturą jest jednak jeszcze mocno ograniczona. Odpowiednie systemy są zamontowane dopiero na niemal 5 tys. skrzyżowań w takich amerykańskich miastach jak Dallas, Denver, Houston, Kansas City, Las Vegas, Los Angeles, Nowy Jork, Orlando, Phoenix, Portland, San Francisco i Waszyngton. W przyszłości dane te będą wykorzystywane przez auta autonomiczne. Jak zauważa portal Automotive News Europe w 2017 r., z infrastrukturą na skrzyżowaniach mogły komunikować się tylko modele A4 i Q7. W 2018 r. Audi dołożyło do tej listy modele A5 i Q5, a w tym roku technologię tę wykorzystują wszystkie modele marki za wyjątkiem A3, TT oraz R8. Podobne systemy testują już również inni producenci samochodów. Z amerykańskich badań wynika, że tego typu komunikacja może znacząco poprawić bezpieczeństwo na drogach – wykorzystanie systemu GLOSA zmniejsza bowiem liczbę przypadków gwałtownego przyspieszania i hamowania. Kierowcy, którzy wiedzą, że bez problemów przejadą na zielonym, wjeżdżają również na skrzyżowanie z mniejszą prędkością. Szacuje się także, że gdyby każdy samochód na Ziemi „wiedział", jakie będzie światło na najbliższym skrzyżowaniu, to globalna emisja dwutlenku węgla zmniejszyłaby się o niemal 500 mln ton rocznie.

UBER IDZIE NA GIEŁDĘ

Amerykański transportowy gigant złożył wniosek o wejście na giełdę. Przy okazji Uber ujawnił, że z jego aplikacji skorzystało w 2018 r. ponad 91 mln użytkowników (34 proc. więcej niż rok wcześniej), jego łączne straty w ciągu ostatnich pięciu lat wyniosły ponad 12 mld dol., a tylko w zeszłym roku aż 1,8 mld dol. Szefowie firmy wprost ostrzegają też ewentualnych inwestorów, że w najbliższych latach Uber nie spodziewa się zysku. Mimo to wartość firmy szacowana jest na 90–100 mld dol.

AUTOBUS GIGANT

Aż 250 pasażerów może zabrać na pokład chiński autobus przegubowy BYD K12A. Najdłuższy tego typu pojazd o elektrycznym napędzie mierzy aż 27 m długości. Jak podaje producent, na jednym ładowaniu model ten może pokonać 300 km i rozpędzić się maksymalnie do 70 km/godz. Autobus będzie jeździł po stolicy Kolumbii, Bogocie.

ROZBITE DLA GWIAZDEK

Instytut Euro NCAP rozbił kolejne nowe modele, które niedawno trafiły na rynek. Tym razem testom zderzeniowym poddane zostały Citroën C5 Aircross oraz Range Rover Evoque. Ten ostatni zdobył komplet pięciu gwiazdek, uzyskał m.in. aż 94 proc. punktów w kategorii bezpieczeństwo dorosłych. Gorzej wypadł Citroën C5 Aircross, który co prawda w wersji z pakietem systemów bezpieczeństwa zdobył komplet pięciu gwiazdek, ale w wersji podstawowej – już tylko cztery gwiazdki. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (X5)

eprasa.pl 4e0c707824

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY"

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

MAREK KOZAK
„ZAMKI, PAŁACE, DWORY W POLSCE"

ANDRZEJ NOWAK
„NIEPODLEGŁA! 1864-1924 JAK POLACY ODZYSKALI OJCZYZNĘ"

~~386 ZŁ~~ > **149,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 239 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4e0c707824

SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Janiszewski jak Graczyk

Mam przed sobą obszerny biogram generała dywizji Michała Janiszewskiego opracowany i zamieszczony w książce Janusza Królikowskiego „Generałowie i admirałowie Wojska Polskiego 1943–1990" (Toruń 2010). Na końcu znamienna i krótka informacja: „mieszka w Konstancinie k. Warszawy", która dzisiaj nabiera wyjątkowego znaczenia. Otóż to, co dla historyków interesujących się elitą LWP było oczywiste, dla śledczych z IPN w Katowicach już takie nie było.

W akcie oskarżenia przygotowanym przez prokuratorów IPN w Katowicach w 2007 r. w stosunku do członków WRON i twórców stanu wojennego zabrakło Janiszewskiego, gdyż uznano go w tym czasie za zmarłego! (postanowienie prokuratora KŚZpNP-IPN z 25 lipca 2007 r.). W rzeczywistości Janiszewski zmarł dopiero 3 lutego 2016 r.

Analiza faktów związanych z „uśmierceniem" w lipcu 2007 r. gen. Michała Janiszewskiego jest świetnym przykładem legendarnej już niekompetencji historycznej, a może i złej woli niektórych prokuratorów zatrudnionych w IPN. Wiadomo przecież, że dysponują oni dostępem do systemu PESEL. Wiadomo też od lat, gdzie mieszkał generał, a jego adres jest dostępny dla każdego w aktach osobowych żołnierza przechowywanych w IPN (druga część tych akt – z lat 1990–1991 przechowywana jest w CAW WBH).

Poza tym 16 marca 2009 r. weszła w życie ustawa PO-PSL odbierająca przywileje emerytalne byłym funkcjonariuszom SB i członkom WRON. Ustawą tą został objęty gen. Janiszewski (jako członek WRON), a archiwiści z IPN w porozumieniu z ZUS zajęli się jego sprawą. Wystarczyło zatem porozumieć się wówczas wewnątrz IPN, by wykluczyć możliwość zgonu generała. Innymi słowy – nie było żadnych przeszkód, by wykluczyć możliwość zgonu żyjącego wówczas bliskiego współpracownika Wojciecha Jaruzelskiego.

Dlaczego tak się stało – nie wiem. Wiem tylko, bo to udało mi się ustalić, że jeden z prokuratorów, który w tej sprawie podejmował decyzje, już w IPN nie pracuje. Pracują natomiast nadzorcy śledztwa i jego przełożeni. Prezes IPN zapowiedział w tej sprawie wewnętrzną kontrolę w pionie śledczym IPN, zaś poseł Krzysztof Brejza, na którego wniosek skierowany do IPN całą sprawę odkryto, złożył zawiadomienie do prokuratury (słusznie!).

Cała ta skandaliczna historia jest jeszcze jednym dowodem na to, że pion śledczy IPN powinien czym prędzej zostać z IPN usunięty i włączony do prokuratury powszechnej. Od lat mam na ten temat wyrobione zdanie. Utwierdziły mnie w tym przekonaniu takie sprawy jak: 1. odmowa ścigania płk. Mirosława Petelickiego (tak – to ojciec Sławomira), który najpewniej dokonał mordu na Żydach dla zysku (razem z Piotrem Woyciechowskim złożyłem w tej sprawie zawiadomienie do prokuratury), ale ze względu na opieszałość śledczych spokojnie sobie zmarł; 2. sprawa śledztwa w sprawie rzekomego fałszowania akt przez SB w sprawie Lecha Wałęsy; 3. śledztwa w sprawie bezprawnego przetrzymywania akt wytworzonych przez organy bezpieczeństwa państwa przez rodziny Kiszczaków, Jaruzelskich, innych; 4. śledztwo w sprawie kpt. Romualda Rajsa „Burego" itp., itd. Zresztą podobnych historii jest więcej, a nawet wykraczają one poza pion śledczy IPN i dotyczą także prokuratorów lustracyjnych IPN (że wspomnę tylko komedię związaną z ostatecznym uratowaniem Wałęsy w lipcu 2010 r. przez prok. Piotra Stawowego z Biura Lustracyjnego IPN w Krakowie, który uznał, że książka „SB a Lech Wałęsa" nie wniosła w stosunku do procesu lustracyjnego z 2000 r. w zasadzie żadnych nowych dowodów).

Swego czasu przygotowałem nawet projekt wyłączenia pionu śledczego IPN i skończenia z sądową lustracją w Polsce. Jednak polityczni decydenci się temu sprzeciwili, uznając, że Polaków należy utrzymać w iluzji ścigania bandytów nazistowsko-komunistycznych przez pion śledczy IPN, a agentów bezpieki przez Biuro Lustracyjne IPN.

Liczba „skuch" prokuratorskich w IPN jest tak duża, że nie może być przypadkowa. Zresztą niektóre z nich zgłaszałem osobiście śledczym. W zasadzie bez skutku. Zawsze kiedy myślę o tych niesprawiedliwościach, przypomina mi się historia kpt. Edwarda Graczyka – funkcjonariusza SB, który zwerbował w grudniu 1970 r. Lecha Wałęsę jako TW ps. Bolek. Sąd lustracyjny, który lustrował w 2000 r. Wałęsę, uznał, że Graczyk „nie żyje". Nawet tej fundamentalnej okoliczności nie wzięło pod uwagę Biuro Lustracyjne w 2010 r., rozpatrując mój wniosek o ponowną weryfikację oświadczenia i procesu lustracyjnego Wałęsy. Znów zwyciężył ubekistan przebrany w szaty IPN! ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl 4e0c707824

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Usuwanie uczniów i tatuaży

Każdemu wiadomo: nauczyciele powinni zarabiać lepiej. W ustroju sprawiedliwym społecznie każdy nauczyciel powinien dostać ferrari i prywatny samolot. Dlaczego? A niby dlaczego nie? Sky's the limit. Zresztą niebem też nie ma się co ograniczać, skoro prywatni ludzie już sobie kosmosują.

Jak się nasz rząd tak chwali, że ma te pieniądze, to niech daje. Proste? Proste. Albo niech się nie chwali, rząd jeden. Przecież w wyniku swoistej edukacji „my ci wszystko postawimy na głowie" narody europejskie już wiedzą, że pieniądze biorą się z drukarni i z zasypywania dziury VAT-owskiej. No bo niby skąd? Przecież nie z pracy. Jakby brały się z pracy, to połowa tłuściutkiej Europy nie siedziałaby na zasiłkach. A jak ma za mało na zasiłki i dodatki ten rząd, to może niech on się weźmie do roboty? Proste? Proste. Może niech zabierze tym, którzy coś tam mają.

Podobno jak się ukradnie tysiąc złotych, to się idzie do więzienia, a jak milion, to się uprawia wyrafinowaną inżynierię podatkową. We wszystkich gospodarkach w ustrojach przerozwiniętych zabiera się tym, którzy mają, i daje tym, którzy mają mniej, i w ten sposób nikt za wiele nie ma, nikomu się specjalnie nie chce robić, ale władza ma poczucie władzy, bo rozdaje pieniądze, a to podstawowy atrybut władzy.

Naprawdę trudno dziś znaleźć kogoś, kto powie: „Zarabiam za dużo". Światowe media ekonomiczne informowały o jakimś Stevie Jobsie, który będąc szefem Jabłka, zarabiał jednego dolara rocznie. Był tu jednak pewien trick, i nie chodzi o to, że oszczędzał straszliwie na higienie (pracownicy mówili, że zalatywało od niego bynajmniej nie perfumą). Otóż ten Steve dostawał akcje, dzięki którym był miliarderem. Poza tym zwracano mu koszty podróży prywatnym samolotem (Steve'owi mogą, to nie mogliby nauczycielom pozwracać?).

W każdym razie nauczyciele protestują, ponieważ mają uczniów. To taka moja teoria. Gdyby nie mieli uczniów, to przecież by nie protestowali. Natomiast – to taka moja teoria – nauczyciele nie mieć uczniów, bo nie robią im egzaminów i ZNP to nawet złożył wniosek do NIK, żeby te egzaminy, które przeprowadziły łamistrajki, nie były uznane. Teraz taki uczeń nieuznany przez nauczycieli może mu okazać brak szacunku poprzez naruszenie nietykalności ciała pedagogicznego. No i wtedy nie będzie już uczniem, tylko osadzonym. Krótko mówiąc – nie będzie ucznia.

Może o to nauczycielom chodzi, żeby ich tak usunąć? Tymczasem ostatnia żona Michała Wiśniewskiego postanowiła z powodu rozwodu usunąć tatuaż z jego imieniem. Po naradzie z kolegami z siłowni mamy radę dla pani porzuconej: w tym przypadku zamiast usuwać, można coś dopisać. Jakieś na przykład krótkie słowo. Ewentualne sugestie na priv. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Cena strajku

Jedna z moich przyjaciółek – pielęgniarka – gdy rozmowa w gronie znajomych zeszła na temat strajku nauczycieli, opowiedziała następującą anegdotę. „Ja się generalnie z ich postulatami zgadzam, nauczyciele zarabiają za mało. Byłabym hipokrytką, gdybym odmawiała prawa do strajku, jednocześnie jakiś czas temu sama strajkując, a później wspierając lekarzy rezydentów. Tylko wiesz, jaka była między nami a nauczycielami różnica?" – zapytała. „Słucham" – odparłem, będąc ciekaw jej odpowiedzi. „My nie odchodziliśmy od łóżek pacjentów. Nie zostawialiśmy ich samych sobie, na chwilę przed operacjami. Nawet gdy koleżanki prowadziły głodówkę, wykonywały swoje obowiązki. Większość nauczycieli zostawiła jednak uczniów samych w momencie egzaminów, tego nie umiem zrozumieć" – stwierdziła.

Inny obrazek. Matka mojego dobrego kolegi, nauczycielka w Lublinie, powiedziała, że na ostatniej prostej przed maturami strajkować nie będzie, bo „nie tak ją w domu wychowywano". „Wiesz, czego ona się nasłuchała od nauczycieli, którzy do strajku przystąpili? Takich ludzi wytyka się palcami. Przyjaciółka, z którą 10 lat dojeżdżała do szkoły, przestała się do niej odzywać. Oczywiście najbardziej radykalni to nie ci, którzy realnie uczą, ale przynajmniej u niej w liceum – wuefiści i bibliotekarki" – powiedział.

Idźmy dalej. Sosnowiec – ubrani na czarno nauczyciele tworzą szpaler „witający" tych pedagogów, którzy zdecydowali się przyjść do ich szkoły, aby umożliwić gimnazjalistom napisanie testu kończącego ten etap kształcenia. Jedno z liceów ogólnokształcących – kartka przyklejona do drzwi pokoju nauczycielskiego. „Osoby niebiorące udziału w strajku proszone są o wykonywanie czynności służbowych poza pokojem nauczycielskim". Podpisano „Komitet Strajkowy". W wolnych chwilach ci sami ludzie nagrywają antyrządowe piosenki, w których z ponurymi minami śpiewają, że „nauczyciel nie świnia", a Kaczyński woli dać więcej na krowę i tucznika niż na pedagoga. W innych dziękują za wsparcie telewizji TVN.

Jak to wszystko posklejać, gdy strajk już się skończy? Jak ci ludzie i ci uczniowie będą ze sobą po wszystkim pracować? Jak będą na siebie patrzeć? Co będą myśleć, gdy znowu szkoła wróci na stare tory? Czy będzie miała siłę realnie się zmienić, zreformować Kartę nauczyciela, przygotowywać do życia i kreatywności, a nie do odhaczania programów? Ogromna odpowiedzialność spoczywa w tej chwili zarówno na rządzie, jak i na tych, którzy słusznie domagają się podwyżek, ale muszą pamiętać, że nie każda droga do tego celu odbywa się bez nieodwracalnych strat. Do matur został miesiąc. To dzisiaj sprawdzian dla obydwu stron tego sporu – jeśli zostanie oblany, to zapłacą za niego nie tylko uczniowie. ©℗

eprasa.pl 4e0c707824

OKIEM BLOGERKI

Pochwała anarchii

KATARYNA

„GAZETA WYBORCZA": *MEN i Regionalne Izby Obrachunkowe powołują się na ustawę o rozwiązywaniu sporów zbiorowych, według której pracownikom pensja za czas strajku się nie należy. Wypłacanie nauczycielom wynagrodzeń za dni, kiedy nie pracowali, byłoby – ich zdaniem – naruszeniem dyscypliny finansów publicznych. Warszawa, Wrocław, Gdańsk, Katowice, Olsztyn, Łódź – wszystkie te samorządy deklarują jednak, że nauczyciele nie stracą finansowo na strajku. Chcą wypłacać protestującym dodatki motywacyjne czy nagrody, które „zrekompensowałyby" niższe pensje.*

Ustawa o rozwiązywaniu sporów zbiorowych mówi całkiem jasno – za czas strajku pracownikowi nie przysługuje wynagrodzenie, z kolei ustawa o finansach publicznych bardzo precyzyjnie reguluje zasady wydatkowania środków publicznych i bez wątpienia wypłacanie pracownikom nieprzysługujących im wynagrodzeń jest jej naruszeniem. Nie ma więc sensu zmiękczać przekazu, sugerując jakąkolwiek uznaniowość – prawo jest tu jasne. I jeśli prezydenci miast rządzonych przez opozycję obiecują, że za czas strajku nauczycielom zapłacą, to obiecują złamanie prawa. Nawet jeśli będą uważać, że „tylko" je obchodzą. Zabawne, choć niestety wcale nie zaskakujące, że „Gazeta Wyborcza" zawsze tak wyrywna do pouczania o praworządności przy okazji strajku nauczycieli z wyraźną aprobatą opisuje pomysły opozycji na złamanie przepisów, żeby zagrać na nosie PiS. Nie wolno wypłacać pensji za czas strajku? To wypłacimy dodatki motywacyjne i nagrody, przeznaczając na to pieniądze, jakie mamy w budżecie na docenianie najlepszych. Zapłacimy więc słabemu nauczycielowi, bo na strajku wyśpiewał, że „dwa tysiące na jego koncie to jak strzał z pioruna w prącie", ale potem już nie starczy na nagrodzenie tych, którzy w swojej karierze błysnęli czymś więcej niż brakiem tekściarskiego talentu.

Oczywiście, żeby zapłacić nauczycielom za strajk fikcyjnymi nagrodami, trzeba będzie jeszcze napisać jakieś zupełnie lipne uzasadnienie jako podkładkę pod taką nagrodę, czyli po prostu nakłamać. Mam nadzieję, że każdy, kto spróbuje zapłacić za strajk pieniędzmi przeznaczonymi na docenianie najlepszych nauczycieli, poniesie surowe konsekwencje, bo tylko wtedy nauczyciele zachowają jakikolwiek mandat do wychowywania uczniów w poszanowaniu elementarnej uczciwości.

To, że nauczycielom podwyżki się należą, jest dla mnie tak samo oczywiste jak to, że grożąc storpedowaniem matur i zostawieniem maturzystów na drugi rok w ostatniej klasie, wzięli ich za zakładników. I z każdym kolejnym dniem strajku muszę coraz więcej wysiłku wkładać w przypominanie sobie, że ci wyzywający od „świń" swoje koleżanki i kolegów, którzy uratowali egzaminy ósmoklasistów, to tylko agresywna mniejszość, która dość bezmyślnie daje właśnie swoim uczniom lekcję, że bullying to tylko jeden z wielu akceptowalnych środków nacisku.

Mam nadzieję, że nauczyciele – wbrew Broniarzowi i zagrzewającej ich do boju opozycji – nie sięgną po argument ostateczny i nie zablokują matur. Mam też nadzieję, że jeśli w poczuciu odpowiedzialności odstąpią od najbardziej radykalnej formy strajku, rząd nie potraktuje tego jako kapitulacji i powodu do zostawienia nauczycieli z niczym. Niestety, obie te nadzieje mają raczej kruche podstawy. Przegraliśmy już wszyscy, otwarte pozostaje pytanie tylko, jak bardzo i ile czasu zajmie nam pozbieranie się. ©℗

PODSŁUCHANE

A honoraria?

Panie przewodniczący, musi pan jakoś zakończyć ten strajk.
Ale jak, panie Grzegorzu? Myśli pan, że mnie tam ktoś w ogóle słucha? Poza tym – co ja mam im powiedzieć, skoro jesteśmy w... nie powiem czym.

To już nie mój problem. Mamy nasze badania, poparcie wam dramatycznie spada, to się odbija na nas. Mnie tylko to interesuje.
Ale ja już zapłaciłem nawet honoraria za piosenki!

Że co, słucham?
Za piosenki. A co pan myślał, że to nauczyciele sami układają? No bez przesady, oni aż tak zdolni to nie są.
Zamówiłem taki pakiet, ze 150 protest songów, do podziału na cały kraj. I jeszcze mam w puli z jedną trzecią. Szkoda marnować.

U kogo pan to zamówił?
Znani artyści, tylko mogę powiedzieć. Pewien Zbigniew, pewna Maria... Muzyka, teksty, wszystko jest.
O, tu mam na przykład taką piosneczkę, na melodię „Płynie Oka": „Kopnę Kaczora w zad, czy to jawa czy sen, poleci se Kaczor, poleci se Kaczor, aż mu skończy się tlen!". Dobre, co nie?

Tia... Niech pan skończy ten strajk. Zanim wykorzystacie wszystkie piosenki. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„W okrągłym stole z nauczycielami PISowi chodzi także o zalanie mediów określeniem »OKRĄGŁY STÓŁ«, by zatrzeć w narodzie pamięć o prawdziwym OKRĄGŁYM STOLE z 1989".

***ZBIGNIEW HOŁDYS**, muzyk, na Twitterze*

eprasa.pl 4e0c707824

fot. Jerzy Gumowski

Educatio

Felieton niniejszy mówi o szkole i nauczycielach, lecz nie dlatego, że kwestia belferska jest dzisiaj *„gorącym kartoflem”* na rodzimej scenie politycznej. Uważam, że strona rządowa ma rację, iż prosalonowe władze ZNP chcą dowalić PiS–owi przedwyborczo (ergo: działają dla opozycji), wszelako uważam też, iż pensje nauczycieli są skandalicznie niskie i winny być radykalnie podniesione (vulgo: rozumiem strajk). Nie temu zamieszaniu poświęcam jednak mój tekst, lecz generaliom, fundamentalnym problemom szkół.

Filozof Janusz Kapusta (mój niegdysiejszy student z uczelnianych wykładów o Historii Kultury i Cywilizacji) machnął bardzo słuszną sentencję: *„Nauczanie kształci — jego brak zniekształca”*. Rozumiał to doskonale cesarz Napoleon Wielki, *„wprowadzając prawem powszechny przymus edukacyjny na poziomie podstawowym”* (Damian Kubiak, 2015) plus równie pionierskie szkolnictwo dla dziewcząt, co nie przeszkadza niektórym (np. Marek Budajczak z Wydziału Studiów Edukacyjnych Uniwersytetu poznańskiego) twierdzić, że pierwsi zrobili to Prusacy 200 lat temu (1819). W Polsce dzięki Napoleonowi obowiązkowe szkolnictwo ustanowiono już roku 1810. Bardzo się ono zmieniło przez minione dwa stulecia — długo były to zmiany modernizacyjne i udoskonaleniowe, lecz za ostatnich dekad są to zmiany degeneracyjne, stanowiące świadectwo haniebnego regresu. Notuje tę zapaść cały glob. Głośny czarnoskóry sędzia Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, Clarence Thomas: *„ — Moja mama mówi, że odkąd z klas szkolnych usunięto Boga, szkoły poszły do piekieł”*. Poszły tam za sprawą lewackich epigonów komucha Gramsciego (*„kulturowy marsz przez instytucje”*), którzy opanowali całe szkolnictwo globu. Steve Bannon (była *„prawa ręka”* Donalda Trumpa), działający dziś szeroko w Europie dla rewitalizacji antySalonu, swą diagnozą triumfu lewackiego przywołał właśnie szkolnictwo: *„ — Powodem jest fakt, że konserwatyści oddali lewakom stery edukacyjne, zezwolili «postępowcom» wdrażać wewnątrz szkół «marksizm kulturowy»”* (2018).

Na Starym Kontynencie ten proces gnilny szczególnie forsownie realizuje Francja (gdzie lekcje o kulturze Średniowiecza zostały już lokalnie zastąpione obligatoryjnym lansowaniem islamu tudzież historii Mahometa, i gdzie — jak raportuje Bogdan Dobosz — *„określenie «szkoła republikańska» stało się synonimem szkoły lewicowej”*), lecz wiele krajów (Hiszpania, Dania, Holandia, Skandynawia) idzie tą samą ścieżką. W Polsce jeszcze marginalizowaną, co nie znaczy, że priwiślińskie szkolnictwo jest wolne od zarazy lewactwa — przeciwnie: polskie środowiska nauczycielskie oraz akademickie, także kadry kuratoriów, są z gruntu lewicowe, silniej (o paradoksie!) niż za PRL–u. Świadectw tego *„przechyłu na lewo”* można dać multum — od treści programów lekcyjnych, po zestaw lektur obowiązkowych; Krzysztof Ziemiec: *„ — Paradoksalnie, za komunistycznych czasów naszego dzieciństwa zestaw lektur był o wiele bardziej patriotyczny niż w tej chwili. Szkoła zrezygnowała z wychowania patriotycznego, w bardzo szerokim znaczeniu, bo według mnie to dotyczy także naszej kultury”* (2014). Kłania się tu konsekwentne degradowanie nauczania historii. Ziemiec pyta: *„Gdzie jest miejsce na wychowywanie młodych przez historię?”* (2016). Inni dodają: gdzie jest miejsce na chronologiczne wpajanie dziejów? — przecież lekcje historii bez chronologii są jak lekcje przyrody bez biologii, nie mają sensu. Łukasz Warzecha: *„Chciałbym mieć nadzieję, że program nauczania historii zostanie przywrócony do sensownej postaci, którą posiadał kiedyś, z normalną chronologią i dziejami Polski ukazanymi na tle dziejów świata”* (2017).

∞

Kanclerz Jan Zamoyski (XVI w.): „Takie będą rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie”

∞

Wypieraniu chronologii przez genderologię towarzyszy w rodzimych szkołach coraz powszechniej testologia vel testomania, czyli sprawdzanie wiedzy żaków uproszczone do poziomu loteryjki–zgadywanki typu quizowego (jak w „Milionerach”). Karuzela testów: cztery podpowiedzi–odpowiedzi, postaw krzyżyk obok którejś. Radosław Zenderowski (politolog z UKSW): *„Młodzież, która przychodzi na studia po testowych liceach, nie potrafi dyskutować i wymieniać poglądów, oni potrafią wyłącznie stawiać krzyżyki”* (2014). Red. Warzecha: *„Mam nadzieję, że wróci systematyczna, pamięciowa nauka podstaw z różnych dziedzin, że zamiast idiotycznych testów wrócą wypracowania i swobodne odpytywanie”* (2017).

Znaczna liczba nauczycieli marzy też o powrocie elementarnej dyscypliny do szkół. Będąca nauczycielką żona mojego partnera technicznego (skład i łamanie tekstów), Adama Wojtasika, poleca uczniowi wykonać jakieś szkolne zadanie, a dziecina odwarkuje szczerząc ząbki:

— Nie będzie mi pani rozkazywać!

W sumie winniśmy to ocenić jako dość łagodne, jeśli porównamy z publiczną skargą pedagoga w roku 2012: *„Na zajęciach czternastoletni uczeń powiedział do mnie: «— Spierdalaj, cwelu!». Dyrektor nawet go nie ukarał”*. Liczba dzieciaków, które z domu rodzinnego nie wyniosły kultury osobistej (savoir–vivre'owej), gwałtownie wzrasta, m.in. dlatego, że przekaz medialny (internetowy, telewizyjny) mocno barbaryzuje/wulgaryzuje obyczaje, lecz i dlatego, że szkoła znosi tradycyjne rygory, dając przyzwolenie chamstwu. Brak dyscyplinarnych norm zmienia polskie *„placówki oświatowe”* w piekiełka pełne przemocy (według badań dotyka ona 65% uczniów i 25% belfrów), nie wolne od tak bandyckiego tupetu rozwydrzonych gówniarzy, że fach pedagoga zaczyna pretendować do wpisania na listę *„profesji wysokiego ryzyka”*. Cała Polska oglądała (dzięki tv) belfra z głową w kuble wsadzonym mu przez uczniów, którzy to sfilmowali *„komórką”*, i cała Polska mogła czytać lament innego pedagoga: *„Z własnej praktyki wiem, że podstawowy problem polskiej szkoły to upadek dyscypliny, wszystko inne jest jego pochodną. Dwóch–trzech mających poczucie bezkarności młodych chamów potrafi rozwalić każdą lekcję”* (2009). Winien jest temu zaprzedany cielcowi *„tolerancji”* kult patologicznego permisywizmu, kretyńsko utożsamiany przez Salon z humanizowaniem rygorów szkolnych.

Dzisiejsza priwiślińska szkoła, starająca się być placówką opiekuńczą miast dydaktyczną, nie wychowa nam właściwych elit. Może trzeba sięgnąć po tradycyjne anglosaskie rozwiązania? Prof. Aleksander Nalaskowski (eksdziekan Wydziału Nauk Pedagogicznych toruńskiego UMK): *„ — Anglia, chociaż lubi szkolne eksperymenty i otwiera się na każde pedagogiczne wariactwo, zachowała kilka szkół, w których uczniowie noszą fraki oraz słomiane kapelusze, i nikomu nie daje tych szkół ruszyć. Bo starcza pięć–sześć szkół, by wykształcić prawdziwe elity. Tam, gdzie się walczy o edukację najlepszą, przybiera ona model XIX–wieczny”* (2016). U nas przybiera ona siermiężny model masowej produkcji przygłupów w każdym stadium: od podstawówek do *„śmieciówek”* (mnożących się pseudowyższych uczelni, które rokrocznie wypluwają rzesze ćwierćinteligentów dumnych z kupionego dyplomu, co jest masakrą prestiżu akademickiego — Piotr Witwicki o takich pseudouniwerkach: *„ — Jedynym realnym ich dokonaniem jest zdezawuowanie tytułu magistra”*, 2018).

Jako puenta dwie diagnozy. W internetowym piśmie **„Polis”** autor o *„nicku”* Free Your Mind ostrzegł: *„Jeśli nie zmienimy systemu edukacji na wszystkich piętrach, odwołując się do tradycji przedwojennych — to proces degradowania cywilizacyjnego Polski zajdzie tak daleko, że nie będzie go można odwrócić dla wydobycia kraju z zapaści kulturowej”* (2009). Analogicznie przestrzega Rafał Chwedoruk (wykładowca na UW): *„ — Mamy do czynienia z początkiem zapaści cywilizacyjnej w Polsce o niewyobrażalnych skutkach. To wynik rozmontowywania systemu edukacyjnego w ciągu ostatniej dekady”* (2012). ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl 4e0c707824

100 MILIARDÓW ZŁOTYCH

NAJWIĘKSZY BANK KORPORACYJNY W POLSCE

Bank Polski

100 1919/2019

Wartość finansowania podmiotów gospodarczych przez PKO Bank Polski przekroczyła 100 miliardów złotych. To najwięcej spośród wszystkich banków w Polsce.

Dane na podstawie sprawozdań finansowych banków za 2018 r.